

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/392

1980



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Zb. BYRSKI :

BEZ DETENTE I BEZ ZBROJNEJ KONFRONTACJI

D. ELLIOTT : **KWIATY OGLĄDANE Z SIODŁA**

W. BARDZKI : **CNOTA I POLITYKA**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI - K. A. JELEŃSKI :

ROZMOWA O IWASZKIEWICZU

SPIS RZECZY

—	<i>Podziękowania J. J. Lipskiego i PPN</i>	3
Zbigniew Byrski:	<i>Bez détente i bez zbrojnej konfrontacji</i>	5
David Elliott:	<i>Kwiaty oglądane z siodła</i>	22

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z Cambridge</i>	37
Zbigniew M. Fallenbuchl:	<i>Wielka niewiadoma sankcji gospodarczych</i>	47
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	55

K R A J

Witold Bardzki:	<i>Cnota i polityka</i>	62
KSS „KOR”:	<i>Oświadczenie w sprawie Katynia</i>	67
—	<i>List otwarty uczonych krakowskich</i>	68
—	<i>Sprawa Chojeckiego</i>	68

SĄSIEDZI

—	<i>Obejrzyj się ze skruczą...</i>	74
Zespół Problemowy PPN:	<i>O stosunkach z Niemcami</i>	75
Borys Lewyckij:	<i>Prawosławie na Ukrainie sowieckiej</i>	82
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	93
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	99
E. Żagiel:	<i>Kronika litewska</i>	102

CI, CO ODESZLI...

K. A. Jeleński, G. Herling-Grudziński:	<i>Rozmowa o Iwaszkiewiczu</i>	105
Zygmunt Mycielski:	<i>Wspominając Nadie Boulanger</i>	113

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>O mojej manii samobójczej</i>	117
---------	----------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Krajowiec z Poznańskiego:	<i>Droga narodowa według Jana Szczepańskiego</i>	122
Janina Katz Hewetson:	<i>Czysty, mały głos</i>	128
Mikołaj Piątek:	<i>„Porcja wolności” Marka Tarniewskiego</i>	131
Jadwiga Kwiatkowska:	<i>Wydawnictwo T.K.N.-u</i>	133
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	136



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	140
---	----------------------------	-----



W. Brylewski, E. Karwiński, S. Kouś, J. Kowalski, A. Kurczab, J. J. Lipski, A. Nasielski:	<i>Listy do Redakcji</i>	143
---	--------------------------	-----

DOKUMENTY

—	<i>Apel prawników krakowskich</i>	151
—	<i>172 Konferencja Plenarna Episkopatu Polski (fragmenty)</i>	155

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1980

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA), po raz 4-ty — \$100,00	F. 420,00
Jan Jaworowski, Bloomington, Ind. (USA), po raz 11-ty — \$42,00	F. 178,00
Anna i Jarosław Paszyńscy, Buena Park, cal. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. płk. dypl. Leona Kolbuszewskiego — \$25,00	F. 105,00
R. A. Quas de Penno, Wilmington, De (USA) — zamiast kwiatów na grób Krystyny Michalskiej — \$18,00	F. 33,60
Edward Puacz, Chicago, Ill. (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Zygmunta Hertza — \$50,00	F. 210,00
Dr St. Scholer, Wesseling (RFN), po raz 4-ty	F. 95,00
Bezimiennie z Pittsburgh, Pa. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Zygmunta Hertza — \$150,00	F. 630,00
Maria Winowska, Paryż — dla uczczenia pamięci śp. Zygmunta Hertza	F. 300,00
Jan Zaściński, Montreal, Que. (Kanada) — na Fundusz im. Zygmunta Hertza	F. 200,00
Z zapisu testamentowego śp. Niny Sereda, wielkiej Przyjaciółki Kultury, nadesłał wykonawca testamentu adw. Jan Zaściński	F.3.585,00



Bezimiennie z USA na pomoc dla represjonowanych — \$100,00	F. 420,00
Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej — na dorazną pomoc dla represjonowanych w Polsce — \$500,00	F.2.100,00
Związek Przyjaciół Wsi Polskiej, Oddział im. Rataja z Chicago — na Uniwersytet Ludowy w Zhroszy Dużej — \$100,00	F. 420,00



Redakcja Pomostu wraz z grupą młodych z „Pokolenia Związku Narodowego Polskiego” (USA) na wydawnictwo <i>Puls</i> — \$500,00	F.2.100,00
Grupa Pokolenie z Chicago przekazuje \$150,00 z czego na:	
Redakcję <i>Gospodarza</i> — \$50,00	F. 210,00
Redakcję <i>Placówki</i> — \$50,00	F. 210,00
Obronę Edmunda Zadrożyńskiego — \$50,00	F. 210,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

Stefan Pachna, Parsippany, N.J. (USA) — \$100,00	F. 420,00
Jan Kaczanowski, Kerpen (RFN) — DM 20,00	F. 46,49
Stanisław J. Zaremba, Bordentown, N.J. (USA) — \$10,00	F. 42,00
Polska Kolonia Byłych Wojskowych i Stowarzyszenie Katolickie w Gandawie (Belgia)	F.1.100,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159-tej)

Podziękowania

Kwiecień 1980.

Szanowny Panie Redaktorze!

Korzystam z okazji, jaką jest dla mnie pobyt na Zachodzie, by złożyć Panu serdeczne podziękowanie za inicjatywę i pracę związaną ze zbiórką pieniędzy na Fundusz Samoobrony Społecznej KSS „KOR” i Fundusz Pomocy Naukowej TKN. Czynię to zarówno w imieniu moich kolegów z Rady Funduszu Samoobrony Społecznej KSS „KOR”, z Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, z Towarzystwa Kursów Naukowych — jak i od siebie. Jako skarbnik FSS jestem szczególnie dobrze zorientowany w wysiłku, który Pan i Pańscy nieliczni współpracownicy podejmują codziennie na naszą rzecz — i w wadze tego dla całej naszej pracy. Jesteśmy tym bardziej wdzięczni, że wiemy, z jakimi trudnościami borykacie się w związku z niedawną śmiercią Pana Zygmunta Hertza, naszego wielkiego i niezapomnianego Przyjaciela — i z chorobami, ostatnio prześladowającymi Wasze grono. Na Pana ręce składam bardzo gorące podziękowania wszystkim ofiarodawcom, których nazwiska i nazwy czytamy na listach publikowanych w *Kulturze* i ofiarodawcom bezimiennym. Dzięki nim wszystkim możliwe jest wiele prac, na które zabrakłoby środków. Czuję się w obowiązku przesłać im wszystkim tą drogą nie tylko podziękowania — lecz również zapewnienie, że pieniądze przeznaczone przez nich na cele, których finansowaniem administruje Rada Funduszu Samoobrony Społecznej KSS „KOR” dochodzą do nas i są używane zgodnie z intencjami ofiarodawców i zarazem zgodnie z celami KSS „KOR” i TKN. Dzięki tym pieniądzom m.in. może działać nasze Biuro Interwencyjne, niosące pomoc represjonowanym i prowadzące systematyczną walkę z bezprawiem, wychodzą liczne czasopisma niezależne od cenzury, otrzymują pomoc wydawnictwa i prasa nie związane z KSS „KOR”, lecz z innymi ugrupowaniami opozycyjnymi itd. Dziękujemy!

Łączę wyrazy głębokiego szacunku dla Pana Redaktora i grona współpracowników *Kultury*,

Jan Józef LIPSKI

Pomoc okazywana przez emigrację polską krajowym ruchem wolnościowym ma podstawowe znaczenie dla ich możliwości działania i dla upowszechniania ich publikacji.

Gdyby nie pomoc emigracji w postaci środków technicznych, prowadzenie szerokiej działalności wydawniczej byłoby ogromnie utrudnione, ponieważ nabywanie materiałów poligraficznych w kraju drogą legalną jest prawie niemożliwe, a podejmowane próby prowadzą często do oskarżeń o nadużycia. Gdyby nie pomoc materialna, bardzo wielu ludzi, którzy utracili pracę albo stypendia naukowe z powodu głoszonych poglądów lub bezkompromisowej postawy moralno-ideowej, znalazłoby się bez środków do życia albo do kontynuowania studiów lub pracy naukowej. Gdyby nie pomoc w postaci przedrukowywania i upowszechniania wydawnictw krajowych, publikowanych w trudnych warunkach, obieg tych wydawnictw byłby znacznie bardziej ograniczony. Przede wszystkim jednak przedrukowywanie przez prasę emigracyjną publikacji krajowych przyczynia się do utrzymania więzi duchowej i politycznej kraju z wielomilionową rzeszą polskiego wychodźstwa.

Emigranci polscy, którzy wszyscy prawie musieli na obczyźnie zaczynać swoje życie od nowa, ciężką pracą zdobywając podstawy egzystencji, dają dowody ofiarności i trwałego patriotyzmu, dowody chlubnego kontynuowania tradycji Wielkiej Emigracji polskiej XIX wieku.

Składamy Polonii Zagranicznej serdeczne podziękowanie za wierną pamięć i pomoc. Sądzymy, że nasze podziękowanie jest zgodne z uczuciami wszystkich środowisk wolnościowych w Polsce.

POLSKIE POROZUMIENIE NIEPODLEGŁOŚCIOWE

Bez détente i bez zbrojnej konfrontacji

Treścią niniejszego artykułu będą uwagi dotyczące tematyki zawartej w eseju prof. Andrzeja Korbońskiego pt.: „Waszyngton, Moskwa i Europa Wschodnia, czyli kosmate myśli świeżo upieczonego Amerykanina” w Nr. 3/390 *Kultury*.

W odróżnieniu od wielu publicystów politycznych, autor przemawia do czytelnika językiem prostym, beznamiętnym i jakby się zdawało pełnym zdrowego rozsądku. Ale choć jego analiza sytuacji USA w świecie i dominujących w Ameryce kierunków zawiera wiele elementów prawdy, jego końcowe wnioski o „budowie mostów między Ameryką a ZSSR” i pomyślnych skutkach jakie przynoszą one nie tylko obudwu stronom, ale i krajom Europy Środkowo-Wschodniej są całkowicie pozbawione realizmu. Wynikają one z rozpowszechnionego wśród amerykańskich intelektualistów braku rozeznania prawdziwych intencji Sowietów i rozmiarów katastrofy, na skraju której znalazł się ich kraj. Obecny stan rzeczy — jak wszyscy wiemy — nie powstał w wyniku kataklizmu, ale na skutek wieloletnich procesów przy czynnym udziale amerykańskiej elity umysłowej. Z tego też, jak sądzę, powodu elita ta, jeśli nawet obecnie coraz liczniejszymi głosami uznaje pożalowania godny stan Ameryki we wszystkich dziedzinach, a przede wszystkim jej słabość i całkowity upadek prestiżu na świecie, niechętna jest szukaniu źródeł tych zjawisk. Wykrycie ich byłoby bowiem przyznaniem się do współodpowiedzialności za wiszącą nad ich krajem katastrofą. Dodatkowo obnażyłoby miałość umysłów tych zawodowych intelektualistów, których wpływ tak tragicznie zaważył na losach USA i Zachodu. Do spełnienia tak niemiłej roli nikt na świecie się nie kwapi.

Prof. Korboński jest jednym z tych przedstawicieli elity uniwersyteckiej, którzy mieli swój wpływ na bieg wydarzeń ostatniego piętnastolecia. Polemika z poglądami wyrażonymi w refe-

racie przygotowanym dla Departamentu Stanu, który zrelacjonował i omówił w *Kulturze*, będzie zatem polemiką nie tylko z nim, ale i z kierunkami, które przynajmniej do ostatnich czasów dominowały wśród amerykańskiej czołówki intelektualnej, zaangażowanej w procesach społecznych Ameryki. Jeśli się jednak uwzględni obecną chwilę — wiosnę 1980 roku — to prof. A. Korboński różni się bardzo od wielu swych uniwersyteckich i nieuniwersyteckich kolegów. Wiele zjawisk z dawna i uparcie ignorowanych lub niedostrzeganych przez szereg wykształconych ludzi tego kraju stało się nagle nie tylko widocznymi, ale podziały jak kuracja wstrząsowa. Nie na prof. Andrzeja Korbońskiego. Ten, jak widać z opublikowanego w *Kulturze* artykułu, zachował pogodę ducha niezmaconą żadną troską o to, co może przynieść Ameryce jutro. Mam tu na myśli oczywiście nie sprawy wewnętrzne, a w szczególności ekonomiczne, bo tą materią prof. Korboński we wspomnianym eseju się nie zajmuje, ale rolę USA w świecie w kontekście najważniejszym — stosunków z Sowietami. Według jego oceny bilans tych stosunków wykazał właściwie dodatnie saldo dla obydwu stron. Dodatkowo — i jest to wniosek niebłahy — przyniosły one również korzyść krajom demokracji ludowych — w tej liczbie Polsce. Z tej racji prof. Korboński nie widzi przyczyn, by polityki owych „zblizeń” i „pomostów” zaniechać. Ta właśnie teza, która jest chyba dla nas najważniejszą w opublikowanym przez niego artykule i referacie przygotowanym dla Departamentu Stanu budzi mój zdecydowany sprzeciw. Będę się więc starał podważyć optymizm Profesora i dokazać jak dalece ocena jego koliduje z rzeczywistością.

Tu wypada mi zacząć od przytoczenia dwóch opinii prof. Korbońskiego, które w moim przekonaniu są bardzo istotnym elementem jego wywodów. Na str. 98 prof. Korboński powiada: „Można się również zgodzić z tym, że kondominium sowiecko-amerykańskie w Europie, istniejące od końca drugiej wojny światowej, spełniło swe zadanie i linia demarkacyjna dzieląca obydwa państwa niemieckie jest jedną z najtrwalszych granic w historii obecnego stulecia. Fakt faktem, że okres 35 lat pokoju w Europie jest prawie dwukrotnie dłuższy od podobnego okresu po pierwszej wojnie światowej. Można z tego wyciągnąć wniosek, że USA i ZSSR, nie mówiąc o ich słabszych partnerach, są zainteresowane w utrzymaniu obecnego stanu rzeczy i przeciwne drastycznym zmianom w istniejącej korelacji czy konstelacji sił. Jeśli więc odprężenie sowiecko-amerykańskie i utrzymanie *status quo* leży w interesie narodowym Stanów Zjednoczonych, to odwrotna strona medalu czyli zmiana w obecnym stanie rzeczy i zaognienie stosunków między Waszyngtonem a Moskwą musi z tym interesem kolidować. *Tertium non datur*. Obecne ochłodzenie

tych stosunków związane z sowiecką interwencją w Afganistanie bynajmniej temu nie zaprzecza”.

Prof. Korboński informuje nas, że ZSSR i USA zainteresowane są w utrzymaniu „obecnego stanu rzeczy”. Ale — ponieważ „obecny stan rzeczy” ustawicznie się zmienia — nasuwa się pytanie — jakiego? Oczywiście tego, który powstał po interwencji w Afganistanie. Znając nastroje jakie panują w Waszyngtonie i historię wszystkich pogroźek Cartera, możemy nawet i w tym się zgodzić z prof. Korbońskim. Pod jednym warunkiem: że obecny — czyli po-afgański stan rzeczy się nie zmieni i będzie to ostatni pojałtański „nabytek” ZSSR. Gdyby Ameryka uzyskała taką gwarancję, prawdopodobnie w Waszyngtonie zapanowałby nastrój weselny, a Carter od jednego zamachu skreśliłby program dozbrajania Ameryki i unowocześnienia broni NATO. Ale wszyscy wiemy, że gwarancje takie nie istnieją. Ze jedyne co mogą Sowiety oferować, to solenne przyrzeczenie Leonida Breżniewa. Czy ktoś w nie wierzy? Wierzy w nie prof. Kennan, prof. Marshall Shullman. Cyrus Vance — jak sam twierdzi — już nie. Kto jeszcze? Nie wiemy. Czy wierzy w nie prof. Korboński? Stanowisko jego w tej kwestii nie jest jasne.

Z przytoczonej cytaty z artykułu prof. Korbońskiego wynika również, że nie tylko Stany Zjednoczone, ale także Sowiety (skoro „przeciwnie są drastycznym zmianom w korelacji czy konstelacji sił”) zainteresowane są w utrzymaniu obecnego stanu rzeczy w obrębie kondominium sowiecko-amerykańskiego w Europie. Możliwe. Sądzę nawet, że na najbliższą przyszłość można uznać taką ocenę za słuszną, mimo że liczba dywizji sowieckich w połączeniu z pozostałymi siłami Paktu Warszawskiego, uwzględniając ich rozlokowanie, wskazuje na ich zgoła nie defensywny charakter¹. Niemniej *status quo* w obecnej chwili i w tej strefie prawdopodobnie najzupełniej dogadza Sowietom. Chodzi tylko o to na jak długo, skoro, jak nam wiadomo, Politbiuro narzuca Zachodowi miejsce i czas swoich nowych podbojów wedle własnego kalendarza i własnego harmonogramu. Ale czy rzeczywiście o to tylko chodzi, żeby na linii Łaby panował spokój i o to, by sowieckie „Antonowy” któregoś dnia nie zaczęły lądować w okolicach Kolonii lub Kassel? Czy naprawdę prof. Korboński nie ma dość wyobraźni, żeby dopuścić, że Zachód można pokonać bez jednego wystrzału i to właśnie na linii dzielącej armie NATO i Paktu Warszawskiego? Wydawać by się mogło, że dla każdego kto dysponuje minimalną dawką zdrowego rozsądku jest oczywiste, że ambicje imperialne Sowietów na Bliskim Wschodzie mają wyraźny cel: wpędzić kraje Europy Zachodniej w ślepy zautek by

1. Zgadza się z tym również prof. Korboński (str. 87 jego artykułu).

postawić je w sytuacji, w której bez prób oporu będą musiały przyjąć dyktat sowiecki. Czym innym prof. Korboński może wytłumaczyć inwazję Afganistanu — kraju biednego i z ekonomicznego punktu widzenia całkowicie dla Sowietów nieatrakcyjnego — jak nie tym, że jest on tylko dogodną pozycją strategiczną dla dalszej ekspansji, której kierunek rozszyfruje bez trudu każdy zaznajomiony z geografią tej strefy?

Gdybyśmy nie starali się rozpoznać gleby, z której wyrasta niefrasobliwość prof. Korbońskiego i jemu podobnych, to można by przyjąć, że autor hołduje bardzo osobliwej strategii w postępowaniu z Moskwą. Jeśliby na przykład Leonida Breżniewa nawiedziła któregoś dnia myśl, by przychylnie odnieść się do prośby Komunistycznej Partii Islandii, zwracającej się akurat do niego o opiekę i bratnią pomoc nad jej krajem — i gdyby Leonid Breżniew w uwzględnieniu jej prośby wysłał odpowiednią ilość dywizji na tę odległą wyspę, by chronić ją przed atakiem imperialistów — czy i wówczas prof. Korboński obstawałby przy tym, że *status quo* w każdej innej części świata winno być uszanowane? Można to samo zagadnienie postawić prościej i lapidarniej: jeśli bandyta przyłoży mi nóż do brzucha, czyż nie mam prawa schwycić go za gardło, bo przecież on moje gardło zostawił w spokoju? Oczywiście nie podejrzewamy prof. Korbońskiego o taką naiwność i nie mamy wątpliwości, że w tej materii hołduje najprostszym zasadom zdrowego rozsądku. Przysłowiowy pies pogrzebany jest gdzie indziej. Prof. Korboński nie wierzy prawdopodobnie w globalne apetyty Sowietów i ich zamiary podporządkowania sobie świata.

Powiadamy „prawdopodobnie”, ponieważ pogląd prof. Korbońskiego, sformułowany w eseju, nie jest całkowicie jednoznaczny. Zbliżył nas do niego, przytaczając odpowiedzi na pytania postawione przez prof. Z. Brzezińskiego dwadzieścia lat temu pod tytułem: „Jakie były i są podstawowe interesy sowieckie w Europie Wschodniej” (str. 85 artykułu) i dodając do nich własny komentarz: „Pierwszym pytaniem, które należy postawić jest, czy cele te, sformułowane jakby nie było przed przeszło dwudziestu laty, są tak samo wiążące przy końcu dekady lat siedemdziesiątych jak w połowie lat czterdziestych, czy też zostały one zastąpione przez nowe dążenia i aspiracje ze strony Kremla”. Na pytania te prof. Korboński odpowiada twierdząco, uznając, że cele sowieckie nie uległy większym zmianom z jednym wyjątkiem, którego autor bliżej nie precyzuje, pozostawiając to widocznie domyślności czytelnika. Otóż sędzę, że głównym błędem prof. Korbońskiego jest jego twierdzenie, że cele sowieckie w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie uległy większym zmianom. Według mnie uległy zmianom i to bardzo istotnym. Z tego po-

wodu cytowane przez niego odpowiedzi prof. Brzezińskiego są zdecydowanie nieaktualne. Posługując się nimi prof. A. Korboński miesza przeszłość z teraźniejszością. W historii stosunków Wschód - Zachód był czas, gdy pierwszą linią obrony ZSSR były rzeczywiście kraje demokracji ludowych. Trzydzieści lat temu Sowiety w porównaniu z Ameryką były na tyle słabe, że mogły się lękać o całość swych pojałtańskich „nabytków”. Ale okres ten Moskwa ma już dawno za sobą. Obecnie Sowiety czują się całkowicie bezpieczne wobec ataku imperializmu zachodniego z tej prostej przyczyny, że imperializm ten jako groźba militarna przestał istnieć. Przez ostatnich kilkanaście lat Sowiety dokładnie spenetrowały procesy, które drażniły Amerykę, dochodząc do błędnego wniosku, że jeżeli Ameryka, Zachodnia Europa i Japonia są dla nich groźne — to jedynie przez samo swoje istnienie, w którym jak w zwierciadle odbija się chroniczne niedomaganie ich systemu. Militarnie nie grozi Sowietom ze strony Ameryki ani w ogóle NATO absolutnie nic. Z tego powodu, gdyby Moskwa życzyła sobie zachować pojałtańskie *status quo*, pieczętowane i afirmowane wiele razy, co, jak słusznie stwierdza prof. Korboński, jest jedynym pragnieniem Zachodu, Sowiety mogłyby w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa poświęcić się pokojowemu budownictwu i zredukować wydatnie swoje konwencjonalne i niekonwencjonalne siły zbrojne. Przywódcy na Kremlu doskonale zdają sobie sprawę, że gdyby się na taki krok zdobyli, nie pociągłoby to za sobą żadnego militarnego ryzyka. Powody są aż nadto jasne. Jakiż to polityk na Zachodzie ośmieliłby się wówczas powiedzieć: „Patrzcie! Sowiety się rozbrajają, wobec tego możemy na nie uderzyć i raz na zawsze pozbyć się wiszącej nad światem groźby!”. Głos taki uznano by za wypowiedź szaleńca. Przeciwnie. Gdyby Sowiety rzeczywiście zaczęły się rozbrajać, niezmiernie wpływowe koła na Zachodzie, marzące bez przerwy o pokojowym współżyciu i nieskrępowanej wymianie handlowej z Sowietami znalazłyby się w posiadaniu tak nieodpartych argumentów, uzasadniających konieczność analogicznego rozbrojenia Zachodu, że żaden z waszyngtońskich „jastrzębi” nawet nie ważyłby się podnieść głosu protestu. Innymi słowy, zarówno w minionej jak i nadchodzącej dekadzie Sowiety mogły i mogą — jeśli zechcą — uczynić to, na co nie mógł i nie może sobie pozwolić Zachód. Podczas gdy jednostronne rozbrojenie państw NATO pozostałoby na zawsze jednostronnym, czyniąc z niego łatwy łup dla sowieckich konkwestatorów, identyczna inicjatywa Moskwy spowodowałaby taką eksplozję tendencji antyzbrojeniowych i tak powszechną presję opinii publicznej, że ani amerykański Pentagon, ani żadne inne wojskowe *establishment* na Zachodzie nie byłoby w stanie im się oprzeć. Więcej — ci, którzy przestrzegają

obecnie świat przed sowiecką agresją nie tylko nie miałoby w tej sytuacji żadnego kontrargumentu, ale w obliczu nieodpartych faktów sami musieliby poprzeć ideę powszechnego i całkowitego rozbrojenia. W efekcie w ciągu niezmiernie krótkiego czasu budżety wojskowe państw Zachodu, jakkolwiek niezbyt wygórowane w proporcji do wydatków sowieckich, zredukowane zostałyby do sum symbolicznych². Jednocześnie olbrzymie kwoty, które pochłaniają obecnie na Zachodzie zbrojenia, szerokim strumieniem zaczęłyby płynąć na pokojowe inwestycje, badania naukowe, usługi oraz wzmoczoną produkcję artykułów konsumpcyjnych.

Jeśli powyższa wersja uznana zostanie przez czytelnika *Kultury* za bajkę o Żelaznym Wilku, to w świetle istniejącej rzeczywistości całkowicie się z nim zgodzę. Albowiem Sowiety nie są bynajmniej zainteresowane w pokojowym współzawodnictwie z Zachodem, a w szczególności z jego najbardziej zaawansowaną czołówką: Niemcami Zachodnimi, Japonią, Ameryką, Anglią i Francją. Z tej prostej przyczyny, że nie mają tu żadnych szans sukcesu. W ciągu 63 lat dzielących ich od Rewolucji przekonali się, że gospodarka ich jest we wszystkich dziedzinach chroma; że kalectwo to ma charakter organiczny i że wszelkie próby jej usprawnienia na gruncie istniejącego systemu władzy zawiodą. Zawiodą — gdy na Zachodzie panuje *prosperity*. Zawiodą jeszcze beznadziejniej, gdy Zachód przeżywa obecnie recesję i ciężkie konwulsje finansowe. Tak więc w warunkach gdy Sowiety przegrywają wyścig pokojowy w każdej sytuacji i w każdej koniunkturze jedyne co im pozostało to wyeliminowanie konkurentów — czyli systemów zachodnich. I to bynajmniej nie w imię zwycięstwa nauki Marksa - Engelsa - Lenina, ale po prostu w imię najzwyczajszego przetrwania. Najskuteczniejszą bronią dla likwidowania konkurentów — gdy inne środki zawiodą — jest monopol. Zdobycie tego monopolu to jedyny ratunek dla Imperium. Nie można go jednak inaczej osiągnąć jak tylko poprzez wyeliminowanie sprawniejszych ekonomicznie konkurentów. W ten sposób apologeci sowieckiego państwa mogą przy użyciu odpowiednio spreparowanej dialektyki udowodnić, że sowieckie plany opanowania świata są w istocie podyktowane samo-

2. Oczywiście nie oznaczałoby to wcale, że produkcja wszelkiej broni by ustała. Trwałaby nadal, ponieważ dopóki istnieje na nią zapotrzebowanie poza areną głównego konfliktu, dopóty broń nie przestanie być *towarem*, którego sprzedaż jest wysoce opłacalna. Ale to wszystko byłoby kroplą w morzu wobec astronomicznych sum wydawanych obecnie na zbrojenia. Nie należy też sądzić, że producentom broni na Zachodzie groziłoby bankructwo, ponieważ w przemyśle krajów rozwiniętych niezmiernie mało jest firm produkujących wyłącznie broń. W 90 % są to zakłady, które z taką samą łatwością jak w roku 1945 mogą się przestawić na produkcję pokojową.

obroną. Tak jest. No bo skoro usunięcie innych ustrojów jest warunkiem *sine qua non* jego istnienia...

Oczywiście druga z opisywanych przeze mnie alternatyw jest — w odróżnieniu od pierwszej (tj. współzawodnictwa pokojowego przy powszechnym rozbrojeniu zainicjowanym przez Sowiety) — znacznie bardziej realna. Z tego jednak, że jako możliwość jest realna bynajmniej nie wynika, że jest konieczna. Żeby zmniejszyć jej prawdopodobieństwo, trzeba zredukować liczbę ludzi na Zachodzie, którzy zawsze starają się wytłumaczyć każdy nowy podbój sowiecki względami obrony, walką wewnętrzną pomiędzy frakcjami na Kremlu itd. itd., byle tylko uspokoić siebie samych i udowodnić, że najlepszą polityką wobec Sowietów jest zachowanie anielskiej cierpliwości, ponieważ każdy odruch samobrony Zachodu może wywołać nieobliczalną reakcję ustawicznie zdenerwowanych władców na Kremlu³.

Dla przekonania tych, którzy sądzą, że oskarżanie Sowietów o zamiary dominowania nad światem jest produktem patologicznej antysowieckiej obsesji nie ma sensu wyliczać raz jeszcze rosyjskich podbojów ostatniego dziesięciolecia, gigantycznych zbrojeń i niekończących się kłamstw o ich pokojowych intencjach. Argumenty te były wielokrotnie powtarzane. Sądzę natomiast, że to, co zostało tu powiedziane o chronicznej niedomodze systemu sowieckiego może niektórych politycznych oponentów skłonić do zastanowienia się, czy owa „antysowiecka obsesja” nie ma racjonalnego podłoża.

Za czasów Chruszczowa, który oddawał się jeszcze złudzeniom pokojowego współzawodnictwa, Rosja w porównaniu z Ameryką była niezmiernie słaba. Stosunek sił strategicznych ZSSR i USA, według szacunku gen. Alexandra Haiga (b. dowódcy sił NATO), przedstawiał się 20 : 1 na korzyść Ameryki. Dlatego tzw. kryzys kubański z roku 1961 — rezultat nieprzemyślanej decyzji Chruszczowa, znanego ze swych nieobliczalnych kroków — nie był w istocie żadnym kryzysem. Ówczesne Politbiuro wiedziało, że w konfrontacji z Ameryką nie ma absolutnie żadnych szans i dlatego ustąpiło. Świat nie znajdował się wówczas bynajmniej na skraju katastrofy nuklearnej. Natomiast blokada Kuby uzmysłowiła sowieckim przywódcom jak dalece są bezsilni wobec potęgi militarnej Stanów. Gdy Chruszczowa usunięto, nowe kierownictwo wybrało inną drogę konkurowania ze swym potężnym adwersarzem.

Z kolei nasuwa się pytanie: jeśli ustrój sowiecki jest tak dalece niewydajny w zaopatrywaniu swych obywateli w najważ-

3. Bardzo plastycznie i przekonywująco przedstawił to zachowanie polityków Zachodu A. Kruczek w rubryce „W sowieckiej prasie” — *Kultura* Nr 3/390 z 1980 roku, str. 67 i 68.

niejsze artykuły konsumpcyjne i usługi, to w jaki sposób mógł osiągnąć takie sukcesy w dziedzinie zbrojeń, tym bardziej, że współczesna machina wojenna wymaga niezmiennie wydajnego i sprawnie funkcjonującego zaplecza ekonomicznego i naukowego. Odpowiedź na to pytanie nie jest zbyt trudna. Osiągnięcie przodującej pozycji w zbrojeniach wynikało z koncentracji wysiłków na pewnych wyselekcjonowanych gałęziach gospodarki. Zasadniczy kierunek rewitalizacji produkcji, po chaotycznych próbach uzdrowienia ekonomii przez Chruszczowa, zdeterminowany był również wyraźnym priorytetem specjalnych zadań — w tym wypadku rozszerzenia i unowocześnienia arsenału sowieckiego. Innymi słowy system sowiecki, który w ciągu swego sześćdziesięcioletniego istnienia ujawnił kompletną nieudolność w zaspakajaniu potrzeb ludności, skoncentrowawszy wysiłki na wybranych przez Partię dziedzinach (kosztem innych) spisał się znakomicie. System sowiecki można przyrównać do słabo uzdolnionego ucznia, który, nie będąc w stanie osiągnąć dostatecznych ocen z szeregu przedmiotów, ogniskuje cały swój wysiłek na jednym, w jego przekonaniu najważniejszym.

To, że Sowiety nie tylko zlikwidowały dystans jaki dzielił je w tej krytycznej dziedzinie od państw Zachodu, ale uzyskały imponujące sukcesy, wynikało jeszcze z innych przyczyn. Niektóre z nich wypada tylko przypomnieć, bo dyskutowano je wielokrotnie i do znudzenia. Inne wymagają nieco głębszej analizy. Pierwszym wstępnym czynnikiem implikującym pozostałe — była całkowita nieświadomość Zachodu co do wyboru, w obliczu którego stanęło kierownictwo sowieckie po usunięciu Chruszczowa. Drugim — wynikającym z pierwszego — było stopniowe udostępnianie nowej technologii, która właśnie zaczęła burzliwie rozwijać się w krajach kapitalistycznych, rewolucjonizując prawie wszystkie gałęzie przemysłu, transportu i usług. Nie wiedząc, że owa technologia zostanie zużytkowana przez Sowietów głównie dla celów militarnych i dla zmodernizowania tych działów gospodarki, które są ekonomicznym zapleczem wojny, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy lekkomyślnie sprzedawali licencje i eksportowały najnowocześniejsze urządzenia przemysłu elektronowego, sądząc że przyczynią się do sprawniejszego funkcjonowania sowieckiego przemysłu konsumpcyjnego. Jednocześnie gigantycznymi dostawami zboża ustawicznie osłaniały chroniczną piętę achillesową Sowietów — rolnictwo, zwalniając kierownictwo partyjne z troski o podniesienie jego wydajności. Rozumie się, że amerykańskich biznesmenów, których wizja świata ogranicza się do schematu zysków i strat, konsekwencje owego handlu zbożem nie obchodziły. Natomiast politycy waszyngtońscy wraz ze znaczną częścią intelektualistów dalej hołdowali katastrofalnym w swych

skutkach złudzeniom. Dalej marzyli o obłaskawieniu Kremla. Dalej wierzyli w szlachetne pokojowe współzawodnictwo, na którym skorzystać mogą jedynie obydwie strony. Oczywiście kulturowanie tych złudzeń leżało w interesie Kremla. Stąd powstały owe „pomosty” i „zblżenia”, które służyły tylko jednemu celowi, ale w jego nowym, poleninowskim wydaniu. O ile Lenin głosił hasło „Dogonimy i przegonimy Zachód”, wierząc przypuszczalnie, że komunizm oczaruje ludy całego świata wspaniałością swego systemu, Breżniew zawęził, a zarazem uzupełnił to hasło jednym słowem: „Dogonimy i przegonimy Zachód — militarnie”. Rozumie się, że nikt tego na Kremlu nie powiedział głośno. Nikt przecież nie ostrzega swej ofiary zapowiedzią, jaki jej los gotuje. Zwłaszcza w momencie, gdy ofiara jest o wiele silniejsza od swego oprawcy. A tak było na pewno w roku 1964, gdy Breżniew przejmował schedę po Chruszczowie.

Ponieważ w okresie owych rozciągniętych na lata miodowych miesięcy obydwie strony zgodziły się zaprzestać „zimnej wojny” — czyli wzajemnych pogroźek i propagandy w eterze, zdołano zlikwidować izolację przynajmniej niektórych krajów Europy Wschodniej. Likwidacja zaczęła się jeszcze za władzy Chruszczowa, krótko po XX Zjeździe Partii. Breżniew nie tylko nie miał powodu zaostreżać politycznego klimatu wobec Stanów, ale przeciwnie — mając na uwadze konkretne korzyści określone polityką zbrojeń, był jak najbardziej zainteresowany w złagodzeniu antagonizmu Wschód - Zachód, przynajmniej do czasu. W okresie konfliktu wietnamskiego Związek Sowiecki mógł czekać, póki opinia amerykańska na skutek tej w absurdalny sposób prowadzonej wojny nie dojrzeje. Gdy dojrzała, a tęsknota za położeniem kresu wszelkim zbrojnym spięciom osiągnęła apogeum, nastąpiła *détente*. Była ona z jednej strony owocem zimnej kalkulacji Breżniewa, z drugiej — krótkowzroczności Nixona i Kissingera. Że *détente*, która miała otworzyć nową epokę w stosunkach Wschód - Zachód, opłaciła się przede wszystkim Sowietom już wiemy. Wbrew temu co sugeruje prof. Korboński bilans nie jest dodatni dla obydwu stron. Bardzo wysokie saldo jest po stronie Kremla. Wystarczy tylko rozejrzeć się w siłach zbrojnych NATO i Paktu Warszawskiego w roku 1980 i porównać je ze stanem choćby sprzed 10 lat. Ale czyż bilans *détente* czyli „zblżeń i pomostów” należy liczyć tylko liczbą czołgów i pocisków międzykontynentalnych? Oczywiście, że nie. Trzeba uznać, że *détente* przyniosła inne owoce. Tu wypada zrobić choćby skrótyowy przegląd. Tak więc Sowiety wypuściły pewną ilość swych obywateli Żydów, a nawet znikomą liczbę nie Żydów. Turystyka się nieco wzmogła, choć minimalnie. Wielu sowieckich specjalistów wysłano na Zachód. Trzeba uznać, że niekoniecznie wszyscy

z nich mieli za wyłączne zadanie zbieranie informacji dla swej sowieckiej ojczyzny. Mimo pewnego, zresztą dość ograniczonego, ruchu dysydenckiego w ZSSR nie można uznać, że żywot poddanych sowieckich się polepszył. Słynna „odwilż” jest daleko za nami. Breżniew i jego Politbiuro raczej przykręciło śrubę. Nie ma też dowodów, aby pod względem materialnym mieszkańcom Sowietów żyło się łatwiej i lepiej. I nic dziwnego, albowiem nie w tym kierunku zmierzają wysiłki rządu i partii. Jeśli chodzi o tzw. swobody obywatelskie, to groteskowe próby wasyngtońskiego kaznodziei, by nawrócić Sowiety na swobody i miłość bliźniego nie dały najmniejszych rezultatów. Tu zgadzamy się z prof. Korbońskim. Wprowadzona przez Departament Stanu praktyka wystawiania poszczególnym krajom cenzurek z ocenami jak dalece przestrzegają swobody obywatelskie wydaje się zupełnie niepoważna. Przypomina raczej obyczaje stosowane przez nauczycieli w szkołkach niedzielnych, w których stawia się stopnie za złe lub dobre sprawowanie. Sądzę, że członkowie Politbiura — ludzie zimni i wyrachowani, ale nie odznaczający się nadmiarem wyobraźni — przyglądają się owym praktykom z niedowierzaniem, zastanawiając się co się za nimi kryje.

O ile *détente* nie przyniosła szczególnych dobrodziejstw mieszkańcom Związku Sowieckiego, dość poważne zmiany wniosła w sytuację takich krajów jak Polska. Czy były one jednak naprawdę rezultatem *détente* pomiędzy Imperium sowieckim a Zachodem? Chyba nie. Wprawdzie liberalizacja polityki paszportowej Gierka, wymiana naukowa i kulturalna zbiegły się chronologicznie z rozkwitem *détente*, ale nie sądzę, żeby zachodził tu jakiś związek przyczynowy. Gdyby był, objąłby również wszystkie inne kraje demokracji ludowych, co jak wiadomo, poza Węgrami i Polską nie nastąpiło. W Polsce nowa polityka zwiększonej tolerancji wiązała się przede wszystkim z zaburzeniami w 1970 roku na Wybrzeżu, z usunięciem starego kierownictwa i z nową, ambitną, ale — jak wiemy obecnie — lekkomyślną i krótkowzroczną polityką inwestycyjną nowej ekipy rządowej, która przyszła po Gomułce. Rozumie się, że samo zjawisko odmienności PRL-owskich zabiegów, zmierzających do usprawnienia gospodarki wraz ze wszystkimi wiążącymi się z nimi wewnętrznopolitycznymi implikacjami, które stworzyły w Polsce inny klimat niż w Czechosłowacji wynikało z innych — ogólniejszych — racji... To, że w Europie Wschodniej od kilkunastu co najmniej lat nastąpiło w poszczególnych krajach zróżnicowanie polityki wewnętrznej, a nawet w ograniczonej mierze zagranicznej, ma u podstaw inne powody, nie mające nic wspólnego z *détente*, a wynikające ze stopniowej ewolucji metod zarządzania całością Imperium przez Moskwę.

Biuro Polityczne już bardzo dawno pojęło absurd i szkodliwość zamordyzmu Stalina nie tylko w obrębie samego Związku, ale i na jego satelickich peryferiach. Z tego wynikała konieczność zwiększenia marginesu własnych decyzji organów kierowniczych KDL-ów. W ciągu 35-lecia ich istnienia rozumiano, że władze naczelne tych krajów, a zwłaszcza ich biurokracje, których los jest nieodwracalnie związany z przyszłością Imperium, zasługują na większą porcję zaufania. Że bezustanne ingerowanie w każdą indywidualną decyzję jest dla Moskwy nie tylko niepotrzebne, ale kłopotliwe⁴. Stąd zróżnicowanie praktyk politycznych w poszczególnych KDL-ach. Spośród nich w szczególnie trudnej i unikalnej pozycji znalazła się PRL. Głównie na skutek poważnych kłopotów ekonomicznych, wywołujących napięcie polityczne w kraju, i wzmożonej roli Kościoła kierownictwo partyjne zmuszone jest tolerować ruch dysydencki, bacząc jednocześnie, żeby nie przekroczył określonych granic. Czy wszystko to — jak sugeruje prof. Korboński — nazywać mamy zdobyczami, wynikającymi ze zbliżeń między dwoma głównymi supermocarstwami — Sowietami i Ameryką? Myślę, że nie. Ale genealogia zliberalizowania życia w Polsce, przy jednocześnie rosnących trudnościach ekonomicznych, nie jest w moich rozważaniach najważniejszym problemem. Znacznie ważniejsze jest inne zagadnienie: czy do niedawna istniejąca konstelacja zbliżenia i kooperacji z Sowietami jest rzeczywiście bezcenną zdobyczą, którą należy chronić i kultywować, a nie podważać oskarżeniami pod adresem Sowietów, wytwarzając w ten sposób stan napięcia? Wnioski z moich wywodów są jednoznaczne. Ta forma kooperacji, która istnieje — jedyna, w jakiej zainteresowana jest Rosja — służy interesom tylko jednej strony — sowieckiej. Tylko dzięki niej Moskwa uzyskała jedyną nad Zachodem przewagę jaka w granicach ich systemu władzy była możliwa, a mianowicie militarną. Konkluzja: tego typu „kooperację” należy przerwać. Kontynuowanie jej oznacza w najbliższej perspektywie kapitulację lub militarną konfrontację, wybitnie niekorzystną dla Ameryki, a tym bardziej dla Europy Zachodniej. Myślę, że nie jest jeszcze za późno, by

4. Jeśli sprawy przybierają niebezpieczny obrót, jak to miało miejsce w Czechosłowacji, Kreml ma zawsze możliwość wywierania różnorodnych nacisków, a gdy te zawodzą — wkroczenia zbrojnego. Wie, że Zachód nigdy nie będzie interweniował, jako że status pojałtański jest uświęcony i nienaruszalny. Rebelie typu praskiej wiosny czy dawniejsze — z burzliwego okresu postalinowskiego — nie zdarzały się zbyt często — ściśle biorąc, trzykrotnie, jeśli wyłączymy z nich „Polski Październik”, który zakończył się polubownie czyli gomułkowską kapitulacją na raty. Oczywiście i narody i rządy pozostające w orbicie sowieckiej są bogatsze w doświadczenie. Prof. Korboński zabiera głos i w tej materii. Jego uwagi i spostrzeżenia są w tym wypadku zupełnie trafne.

każdej z tych alternatyw uniknąć. W tym celu jednak nie wystarczy uprzytomnić sobie w pełni jak bliskie urzeczywistnienia są sowieckie plany panowania nad światem. Osobiście podejrzewam, że b. sekretarz Stanu dr Kissinger wraz ze swym asystentem dr. Sonnenfeldtem nie mieli wątpliwości co do zamiarów Moskwy. Wiedzieli, ale nie czynili nic, by zapobiec wcieleniu ich w życie. Jedyne co starali się zrobić to odwlec katastrofę. W tym celu Kissinger rozwijał aktywność w dwóch kierunkach. Jako sternik polityki zagranicznej Stanów prowadził coś w rodzaju antysowieckiej dyplomatycznej wojny podjazdowej, odbywając wspólnie z prezydentem Nixonem podróże do Pekinu, gdzie przyjmowani byli entuzjastycznie. Ale nie miejmy złudzeń, ani jeśli chodzi o podróże Nixona, ani ostatnio — Brzezińskiego. Chińczycy gotowi są związać się z Ameryką aliansem, ale nie mogą się łączyć z narodem, który utracił kompletnie instynkt samozachowawczy i wolę walki. Innymi słowy, nie zamierzają być mięsem armatnim dla amerykańskiej technologii wojny. Sojusz z nimi (o którym w Waszyngtonie głośno się nie mówi, żeby nie drażnić Sowietów) musi być oparty na zasadach równego ryzyka, a nie rachunku, w którym krew amerykańska lub ich europejskich aliantów jest nieskończenie cenniejsza od krwi Azjatów. ChRL czeka cierpliwie na ofertę, ale obserwując niewiarygodne popisy waszyngtońskich polityków i obłudną retorykę Cartera wkrótce może tę cierpliwość stracić. Nikt na świecie nie będzie wiązał swych losów z narodem, który swym bezwładem i krótkowzrocznym asekuranctwem wypisuje sobie świadectwo zgonu.

Podróże Kissingera i Nixona do Pekinu, kontynuowane później przez Forda i Brzezińskiego, były jedną z amerykańskich opcji na opóźnienie nadchodzącej klęski. Drugą opcją były niekończące się gwarancje i zapewnienia pod adresem Sowietów, że nikt na ich stan posiadania nie dybie. Że ich pojałtańskie nabytki są świętą i nienaruszalną własnością. W tych praktykach celował szczególnie dr Sonnenfeldt. W istocie te wszystkie zakłęcia i zapewnienia były zupełnie zbędne, ponieważ Rosja nie ma i nie miała od lat najmniejszych wątpliwości, że USA i cały kapitalistyczny Zachód nie marzy o niczym innym jak tylko o zachowaniu powojennego *status quo*.

Alte to co dogadza Zachodowi wcale nie dogadza Sowietom, wobec czego prof. A. Korboński i inni podobnie myślący muszą się liczyć z ciężkimi chmurami, które zawisły nad ich ojczyzną — Ameryką. Nie odwrócą ich ani modły baptystów, ani pokłony bite w stronę Moskwy, ani pogroźki bez pokrycia.

Jałta czyli nabytki sowieckie po drugiej wojnie światowej wymuszone zostały na Ameryce i Anglii przez Stalina, który nie

dysponował wówczas absolutnie żadnymi atutami. Jeśli się porówna wyczerpaną wówczas straszliwymi stratami Rosję i będącą u szczytu potęgi Amerykę z obecnym układem sił na świecie, to można się zastanowić, co powstrzymuje Biuro Polityczne przed jeszcze bardziej otwartą polityką agresji. Myślę, że tak jak nadal drżenie w sercach ludów Europy Wschodniej legenda o niezwalczonych Ameryce tak samo jeszcze działa ona hamująco na sowieckich przywódców. Znając poza tym wszystkie swoje słabości, wolą czekać aż sytuacja bardziej dojrzeje, a proces rozkładu Zachodu posunie się dalej. Niezbyt pomyślny przebieg kampanii afgańskiej jest dla nich potwierdzeniem dotychczasowej ostrożnej strategii. Tej mianowicie, że podboje „metodą salami” są najskuteczniejsze, ponieważ nie wywołują w Ameryce zbyt dużej paniki i nie uruchamiają syren alarmowych. Jeśli ma się delikwenta zlikwidować, zgrabniej taką operację przeprowadzić przy użyciu środków znieczulających lub przy lekkim uśpieniu. Kierownictwo sowieckie ma jeszcze dalsze powody do niepokoju. Żołnierz sowiecki nie okazał się najlepszy w walce z partyzantami afgańskimi. W ZSSR żadnych aktywnych rebelii nie ma. Ostatnie — w południowo-środkowych rejonach — wygasły w latach dwudziestych. Ale Politbiuro wie na jakiej beczce prochu spoczywa jego władza i nie ma wątpliwości, jakie skutki pociągnąć może za sobą klęska w Afganistanie. Dlatego chce jej uniknąć za wszelką cenę, nawet przy użyciu najbardziej barbarzyńskich środków zniszczenia. Temu celowi służy broń chemiczna, którą armia inwazyjna stosuje wobec partyzantów, ukrytych w najbardziej niedostępnych rejonach tego górzystego kraju.

Myślę wszelako, że nasyciona dynamitem łamigłówka narodowościowa Imperium bardziej powstrzymuje Biuro Polityczne w ich podbojach niż lęk przed bezzębnym lwem amerykańskim. Narody podbite przez Moskwę nie mogą liczyć na Stany Zjednoczone⁵. Odwrotnie, dla Ameryki, która nie może już liczyć ani na siebie ani na swych aliantów jedyną pozacchińską kartą pozostaje potencjalna możliwość rebelii ludów ujarzmionych przez Imperium — włączając w to samych Rosjan. Przyznając, że nie jest to ani zbyt mocna karta, ani szczególnie realna możliwość. Ale jeśli spojrzymy na świat trzeźwo jest ona realniejsza od oporu Ameryki. W tym stanie rzeczy jedyną nadzieją dla Polaków,

5. Jeśli ktoś jeszcze miał jakieś złudzenia, to ostatnie wydarzenia w Ameryce powinny go z tych marzeń ostatecznie wyleczyć. Świeżo przeprowadzone badania opinii ujawniły, że w wypadku poboru 30 % młodych Amerykanów wykręci się najzupełniej legalnie od służby wojskowej, wysuwając względy moralno-religijne (tzw. *conscientious objectors*). Z tego oczywiście nie wynika, że pozostałe 70 % pójdzie do wojska. Granica meksykańska jest przelotowa w obydwie strony.

Węgrów, Litwinów, Ukraińców i innych narodów związanych wspólnym losem jest rozpad Imperium sowieckiego. Nie musi to nastąpić, i przypuszczalnie nie nastąpi, w postaci eksplozji. Natomiast może się zdarzyć w wyniku powolnej erozji władzy i stopniowego paraliżu organów wykonawczych. Jeśli Sowiety doznają klęski w Afganistanie, będzie to ich pierwsza porażka w epoce Breżniewa. Ale sama porażka afgańska ani nie spełni roli detonatora ani nie podważy dostatecznie fundamentów Imperium. Musi ona być zsynchronizowana z innymi inicjatywami, drążącymi podstawy sowieckiej struktury ucisku. Dlatego wszyscy świadomi niebezpieczeństwa sowieckiego winni od Ameryki i jej aliantów oczekiwać, że przestaną karmić i zaopatrywać swego „potencjalnego adwersarza”. System władzy sowieckiej rozpadłby się już dawno pod naporem wewnętrznych trudności, gdyby nie ustawiczna pomoc Zachodu. Jest to prawda znana od dawna. Ostatnio nawet Amerykanie powtarzają stary żart, który zrodził się przypuszczalnie na warszawskiej ulicy: „Jeśli Sowiety podbiją cały świat, to gdzie będą kupować zboże?”.

Druga sprawa która leży w interesie narodów naszej strefy to przywrócenie na wokandę problemu jedności Niemiec. *Każde zjednoczone Niemcy*, bez względu na to czy będą demokratyczne czy nie, stanowić będą śmiertelne niebezpieczeństwo dla Sowietów. Federalna Republika może się lękać Moskwy. Niemcy Wschodnie mogą być jej satelitą. Gdy stworzą jedność, nie będą ani państwem satelickim, ani nie będą drżeć przed marsem na czołe Breżniewa. Zjednoczenie Niemiec musi prędzej czy później nastąpić. W sercu Europy nie może egzystować naród z wielowiekową tradycją istnienia, podzielony na dwa wrogie państwa. Nie ma też żadnych moralnych racji, aby jakkolwiek naród karać po wieczne czasy jego rozdarciem. W świetle historycznych doświadczeń idea zjednoczonych Niemiec wywołuje zrozumiały sprzeciw Polaków. Ale właśnie dlatego, że ich zjednoczenie w perspektywie historycznej jest nieuchronne, lepiej, że domagać się go będą przede wszystkim Polacy. W ten sposób wystawią sobie najlepsze świadectwo dojrzałości politycznej, odwagi i zrozumienia historii.

Niemcy zagrażały Polsce wtedy i tylko wtedy, gdy kraj nasz znajdował się między dwiema potęgami. I tak byłoby nadal, jeśliby Sowiety miały pozostać Imperium. Z chwilą jednak ich rozpadu i powstania niezależnej Ukrainy, Białorusi, państw bałtyckich, Rosja przestanie być potęgą i nie będzie już w stanie grozić światu swymi wyzwolenicznymi okupacjami. W propozycji mojej Zjednoczone Niemcy mogą być tą siłą, która w połączeniu z bojkotem ekonomicznym Stanów i ich aliantów doprowadzić może bez konfrontacji militarnej do tego, co się stało z cesarstwem

austro-węgierskim w wyniku długotrwałej i krwawej wojny. A wówczas, przy niepodległych narodach, odrodzonych na gruzach sowieckiego imperium, możemy się znaleźć na prawach równego państwa, pozostając w przyjaznych stosunkach z republiką rosyjską.

Dla wielu czytelników przedstawiona przeze mnie w bardzo ogólnym i skrótowym zarysie wizja brzmieć może jak marzenie ściętej głowy. Jeśli uważają oni, że znacznie prawdopodobniejsza jest nuklearna apokalipsa lub całkowita — choć na raty — kapitulacja Zachodu, nie mam sposobu ich przekonać. Wysunięta przeze mnie alternatywa oparta jest na aktualnym rozeznaniu obecnego stanu nastrojów w Ameryce. Świadomość niebezpieczeństwa sowieckiego utorowała sobie wreszcie drogę do znacznej części opinii amerykańskiej. Zachód, a w szczególności Stany Zjednoczone pragnęłyby je odwrócić ale bez ryzyka walki. Zakrawa to na nonsens, ale taki jest stan umysłów większości mieszkańców tego osobliwego kraju. Pragną zachować swój styl życia, swoje nawyki i przyzwyczajenia, ale bez wyrzeczeń, a tym bardziej bez nadstawiania karku. Żadna sprawa — włączając ich swobody — nie jest warta wojennej konfrontacji. Amerykanie, wbrew zapowiedzi Cartera, nie będą zapewne interweniować w wypadku zablokowania zatoki Perskiej — bo wówczas podniosą się ważne głosy protestu, że interwencja jest przedwczesna i nieuzgodniona ze wszystkimi zachodnimi aliantami. Że konflikt trzeba zlokalizować i zażegnać na drodze dyplomatycznej, a nie rozszerzać. Na ekranach telewizyjnych pokazywać się zaczęły mocno aluzyjne gryby atomowe, a na ich tle znakomita aktorka Jane Fonda nawoływać będzie rodaków do zrezygnowania z benzyny i korzystanie z energii słonecznej. Później ci sami Amerykanie, tylko o kilka lat starsi, nie będą się również bronić, gdy po szeregu dalszych częściowych kapitulacji wojska sowieckie zagrozą bezpośrednio terytorium Stanów — bo wówczas powiedzą, że na opór jest już za późno. I wtedy prawdopodobnie będą mieli rację, bo rzeczywiście będzie już za późno. Jeśli taki tragiczny rozwój wydarzeń rzeczywiście się w przyszłości rozwinie — nie będzie to rezultatem amerykańskiej krótkowzroczności i głupoty, ale czegoś zupełnie innego i znacznie groźniejszego. Można to nazwać taktownie asymetrią w ocenie wartości życia ludzkiego, jaka istnieje między krajami naszej strefy a Sowietami i państwami Trzeciego Świata. Ale można to określić terminem prostszym: patologicznym lękiem przed ryzykiem utraty życia. Gdzież tu logika? — zapyta oponent. Przecież 50 tysięcy Amerykanów ginie rocznie na drogach w wyniku hazardowej jazdy. Przecież gdyby ogłoszono ochotniczy zaciąg na kosmonautów, kto wie ile tysięcy młodych i starych zgłosiłoby się, by zdobyć sławę

i pieniądze. Tak, proszę państwa. Dla sławy, pieniędzy, a nawet z głupiej awanturniczości Amerykanin gotów jest lekkomyślnie zaryzykować życie i narazić się na kalectwo. Dla własnych korzyści — nawet niekoniecznie materialnych — tak. Ale wątpię czy uczyni to w obronie swego kraju i po to, by odeprzeć i ukarać najeźdźcę⁶. Wynika z tego, że na giełdzie moralności, na której nikt nie notuje strat i zysków, choć wartość życia ludzkiego nie spadała w skali absolutnej, inne niemodne tradycyjne wartości w ogóle się już nie liczą. Ten właśnie złowrogi dla przyszłości Ameryki i świata bilans nazywam „asymetrią”. Ta asymetria stanowi najgroźniejszą broń Sowietów, bo ani na obszarach Imperium ani w Trzecim Świecie władza nie sonduje opinii publicznej. Tam życie ludzkie jest nadal instrumentem walki o władzę lub podbojów jak 160 czy nawet kilkadziesiąt lat temu, gdy w bitwach pod Borodino, Lipskiem lub Verdun w ciągu kilkudniowych batalii ginęło więcej ludzi niż po stronie amerykańskiej w czasie wojny wietnamskiej. Nie proponuję tutaj bynajmniej naśladownictwa anty-moralności sowieckiej. Sądzę natomiast, że światli ludzie na Zachodzie powinni uznać jedną oczywistą prawdę: jeśli wartość życia ludzkiego na skutek przeobrażeń cywilizacyjnych w naszym świecie poszła tak wysoko w górę, to w tej samej proporcji winny podnieść swą wartość te imponderabilia, które uległy obecnie całkowitej dewaluacji. A wówczas zniknęłaby asymetria i przestałaby być instrumentem rozbrojenia Zachodu. Niestety tych ludzi światłych, którzy ową prawdę zechcieliby głosić nie słychać ani nie widać.

Naród, który jak Ameryka sam nałożył sobie pęta strachu jest skazany w stosunkach z obcymi na bezustanne upokorzenia.

6. Mam tutaj na myśli przeważający stan ducha tej części narodu, która żyje w wielkich miastach i w większym stopniu niż reszta ludności podlega wpływom tej grupy elity umysłowej, która kontroluje środki masowego przekazu — przede wszystkim zaś telewizję. Ludzie przemawiający z ekranów telewizyjnych; komentatorzy typu Waltera Cronkite'a, którzy są codziennymi gośćmi w amerykańskich domach, ponoszą lwią część odpowiedzialności za rozkład moralny Ameryki. Ale wbrew mojemu pesymizmowi poza hałaśliwą częścią publiczności żyjącej w metropoliach, ustawicznie domagającej się lepszych praw, wygodniejszego życia, nienawidzącej wszelkich obowiązków i wyrzeczeń, istnieje mniej dająca o sobie znać „milcząca większość”, o której wspominał kiedyś Richard Nixon. Czy jest ona większością — nie wiem. Ale — mamy powody wierzyć — że ta część narodu, do której nie docierają sondaże opinii publicznej jest inna. Amerykańskie *mass media* nie kształtują w tym stopniu jej światopoglądu jak mieszkańców Nowego Jorku, Detroit czy Los Angeles. Nie podniecają ich egocentryzmu i sobkowstwa. W tych ludziach — a są ich miliony — tlą się iskry, które w krytycznej chwili narodowego niebezpieczeństwa mogą rozniecić płomień patriotycznego buntu. Ten płomień może stać się początkiem ratunku nie tylko Ameryki, ale naszego gasnącego świata. Wypada nam tylko życzyć, by nie przyszło to za późno.

Doświadczył tego na sobie Carter w próbach zbliżenia z Meksykiem, w konflikcie z Iranem, w ofertach pod adresem Pakistanu. Imponująca niegdyś światu Ameryka staje się coraz częściej przedmiotem obelg i poniżenia. Czołowi politycy waszyngtońscy przełykają te gorzkie pigułki, udając, że nie dostrzegają upokorzeń. W ten sposób proces upodlenia Ameryki postępuje bez przeszkód po drodze wymoszczonej nieustającymi kapitulacjami. Gdyby nawet Amerykanie uzyskali samowiedzę o drążącej ich chorobie, daleko byłoby im do wyleczenia. Od czegoż bowiem są zawodowi politycy, schlebający wyborcom, zapewniający ich, że Amerykanie są narodem wspaniałym, potężnym i szlachetnym? Dlatego musimy przyjąć Amerykę taką jaką ona jest i odczytać rolę, którą może i będzie chciała odegrać w rozwijającej się bezkrwawej konfrontacji z Sowietami.

Tu należy w pewnym zrozumiałym skrócie użyć następującej perswazji: skoro nie chcecie w żadnej sytuacji ryzykować wojny z Sowietami — a taki jest głos opinii publicznej — i jeśli jednocześnie pragniecie podboje sowieckie powstrzymać musicie jako jedyną opcję przyjąć program minimalny, który ma szansę to zadanie spełnić. Tym minimalnym programem musi być pełne embargo ekonomiczne wobec Sowietów — dokładnie takie jakie stosujecie od lat wobec Kuby. Fidelowi Castro i jego reżymowi pomagają od lat Sowieti, bez których komunistyczna Kuba dawno by się już rozleciała. Jeśli tym samym embargiem — *wspólnie z zachodnimi aliantami* — obejmiecie Sowiety, nic nie zdoła wypełnić próżni ekonomicznej, która w jego wyniku nastąpi. Nie oznacza to oczywiście, że sytuacja ZSSR upodobni się do tej, w jakiej znalazłaby się Kuba w wypadku izolowania jej od sowieckiej pomocy, ponieważ Sowiety są innego kalibru krajem i dysponują nieporównywalnymi z tą małą wyspą rezerwami. Tym niemniej będzie to dla nich ciężki cios i kolosalne zachwianie ich kruchej równowagi ekonomicznej. Cała dotychczasowa polityka Moskwy do chwili okupacji Afganistanu wskazuje na to, że kierownictwo sowieckie lęka się ryzyka, że podejmuje decyzje w warunkach gwarantujących im pełny sukces. Inwazja Afganistanu, który zdawał się być łatwą zdobyczą, a okazał się trudnym orzechem do zgryzienia, przekonał ich, że dawna strategia, nacechowana cierpliwą ostrożnością, była słuszną.

Dlatego alternatywa solidarnego embarga Ameryki i aliantów — w warunkach kiedy cały Zachód psychicznie i militarnie nie jest gotów do przeciwstawienia się podbojom Rosji — jest jedyną praktyczną opcją na powstrzymanie Sowietów w ich dalszych podbojach.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 29 marca 1980 r.

Kwiaty oglądane z siodła

TURYSTA W CHINACH

Wkrótce po historycznej wizycie prezydenta Nixona w Chinach w 1972 roku nestor amerykańskich sinologów odwiedził ten kraj po raz pierwszy od 1949. Po jego powrocie do Hong Kongu tamtejsi uczeni i obserwatorzy Chin spodziewali się nie lada rewelacji. Byliśmy przekonani, że wnikliwość spostrzeżeń tego wybitnego uczonego po dziesięcioleciach przymusowego postu dodatkowo zaostriżyła się dzięki tej niezwyklej okazji bezpośredniego kontaktu z Chinami Ludowymi. Gdy doszło jednak do wynurzeń, z rozczarowaniem stwierdziliśmy, że ten wymowny specjalista ograniczył się do wyrażenia zdumienia, jak zielone stały się Chiny od czasu jego ostatniej wizyty. Niewątpliwie chińskie kampanie zalesiania są imponujące i mówią coś niecoś o charakterze tamtejszego systemu politycznego po 1949 roku, ale fakt ten nie objaśnia zadziwiającej niezdolności ekspertów chińskich do przekazania spragnionym informacji słuchaczom bardziej pogłębionego obrazu tego kraju.

Może nasza zdolność rozumienia Chin jest lepsza i wnikliwsza, gdy nie zakłócają jej pospieszne i powierzchowne wrażenia wyniesione z bezpośredniej obserwacji? Wznowienie kontaktów między USA i ChRL spowodowało proliferację błyskawicznych „podróży po Chinach” — krótkich (najwyżej kilkutygodniowych) objazdów o przeładowanym programie, który całkowicie paraliżuje inicjatywę umysłową podróżnego, zalewanego bez przerwy coraz to nowymi falami wrażeń wyniesionych z komun, fabryk, szkół i malowniczych miejscowości. Zachodni „ekspersi chińscy” ukuli nazwę na pospieszne i na ogół łatwowerne sprawozdania z tego rodzaju wycieczek: „markopolizm”. Ale być może już

sami Chińczycy lepiej uchwycili istotę tej sprawy w starym powiedzeniu: „ogłądać kwiaty z końskiego grzbieta”. Z tej perspektywy podróżny ma przed oczyma obraz niezakłóconego niczym piękna i harmonii. Bardziej złożony obraz rzeczywistości uzyskać można dopiero, gdy się ma okazję zsiąść na ziemię i popatrzeć dokładniej.

Latem 1979 miałem okazję zobaczyć Chiny po raz pierwszy od czasu, gdy 10 lat temu zacząłem studiować ich język, kulturę i politykę. Jako doktorant w Hong Kongu próbowałem w 1972 dostać się do Republiki Ludowej z grupą młodych sinologów amerykańskich, życzliwie na ogół nastawionych wobec Chin i liczących na to, że uda im się pójść w ślady pierwszej takiej grupy, która miała możliwość zwiedzenia ChRL w pierwszym okresie dyplomacji ping-pongowej. Wielu uczestników tej wycieczki było jeszcze w Hong Kongu gdyśmy się tam pojawili i ich opowiadania o osobistym kontakcie z wielkimi eksperymentami maoistowskimi pogłębiły jeszcze nasze rozczarowanie, gdy nie pozwolono nam na wjazd. W tym czasie ChRL przeniosła swe zainteresowanie z życzliwie nastawionych sinologów na bardziej wpływowe sfery społeczeństwa amerykańskiego, mogące mieć decydujący wpływ w okresie normalizacji stosunków.

W latach pomiędzy tą pierwszą próbą w 1972 a zrealizowaną podróżą w 1979 mój początkowy entuzjazm znacznie osłabł. W tym czasie wysłuchiwałem mnóstwa odczytów z przezroczami, wygłaszanych przez wracających z Chin turystów, i przeczytałem najrozmaitsze reportaże — zaczynając od konserwatysty Edwarda Luttwaka (oburzonego na to, co uznał za wycieczkę do potiemkinowskiej wioski) i równie konserwatywnego Josepha Alsopa (zachwyconego Mao i maoizmem) poprzez lewicowego liberała Jonathana Schella, którego pochwała pozytywnych aspektów życia w Chinach była lekko przyćmiona ubolewaniami nad tym, że zwykły kontakt z ludźmi w Chinach jest tak trudny, aż po sprawozdania Rossa Terrilla, w których pozytywny obraz życia chińskiego przeplata się z refrenem, wyrażającym zaniepokojenie losami tamtejszych intelektualistów. Co więcej, początkowy strumyczek ludzi, mających okazję odwiedzić Chiny urosł do rozmiarów wodospadu. Oryginalność podróży osłabła z uwagi na to, że ci sami emerytowani nauczyciele i paniusie z Beverly Hills, spędzający dotychczas wakacje na Hawajach, „robili” teraz turystykę chińską. W końcu kwaśnawa i nieczuła książka pt. „Chińskie cienie”, pióra belgijskiego historyka sztuki Pierre Rykmansa („Simon Leysa”) unaoczniała pogładowo ślepą łatwowerność powierzchownego turysty, nie potrafiącego dostrzec tysięcy drobnych i wielu ogromnych tragedii, obok których przechodzi, i wykazała, że krótka podróż po Chinach niewiele potrafi wnieść do

naszej wiedzy o tym kraju. Ponadto ostatnie prace, omówione przez Nicka Eberstadta w *New York Review of Books* sugerują, że czas już porzucić dawne nastawienie sinologów sprzed 1949, w myśl którego wszystko może iść tylko ku lepszemu, i popatrzyć na zadania stojące przed Chinami w najbliższej przyszłości: nadmierny przyrost naturalny, kurczącą się stopę wzrostu produkcji rolniczej i zacofaną technologię.

Ale mimo że oryginalność i świeżość kontaktu z Chinami ulotniła się, a z nią też iluzja lepszego ich zrozumienia w wyniku krótkiego pobytu, myśl o zobaczeniu ich na własne oczy i odświeżeniu mej wietrzejącej znajomości chińskiego była nadal pociągająca. Atrakcyjność tej perspektywy zwiększyła jeszcze oferta kierowania grupą zorganizowaną przez *Inland World Affairs Council of Southern California* — stowarzyszenie ludzi ze sfer akademickich, handlu i wolnych zawodów, zainteresowanych stosunkami międzynarodowymi, organizujące odczyty czołowych dyplomatów i polityków na tematy aktualne. Moim zadaniem jako „towarzyszącego naukowca” miało być podmalowywanie tła odbieranych wrażeń i pilotowanie grupy z miejsca na miejsce. Miałem się wkrótce przekonać, że obecność „osoby odpowiedzialnej” była wymaganiami stawianym wszystkim grupom turystów w Chinach. Chińczycy mają najwyższy wstręt do *luan* (anarchii) i myśl o tłumach turystów, chaotycznie wałęsających się po kraju, jest dla nich koszmarem.

Z tego względu każda grupa ma „osobę odpowiedzialną”, która jest wyłącznym pośrednikiem pomiędzy podróżnymi a Chińskim Biurem Podróży (*China Travel Service*), odpowiednikiem Inturista, zajmującym się większością „zagranicznych przyjaciół” w Chinach. Wszelkie prośby ze strony członków grupy muszą być przekazywane przez takiego kierownika grupy i odwrotnie, wszelkie informacje strony chińskiej przekazywane są grupie przez niego. Być może jest to pozostałość dawnej tradycji wybierania zaufanych obywateli celem „objaśniania praw dla ostrzeżenia nieoświeconych i opornych” i — jak to sformułował historyk Chin F. Wakeman — dla ustanowienia „pośrednictwa pomiędzy społeczeństwem ułożonym i jego wyrzutkami”.

Niedawno podjęta decyzja intensyfikacji turystyki — źródła dewiz — uczyniła to bardziej koniecznym niż kiedykolwiek. W ciągu ostatniego roku 200 tys. turystów zwiedziło Chiny, doprowadzając tamtejsze hotele, przewodników i tłumaczy do granic wytrzymałości. Stanowi to zasadniczą zmianę polityki wobec „zagranicznych przyjaciół”. Poprzednio organizowano raczej „grupy o wspólnych zainteresowaniach”, tzn. grupy chirurgów, inżynierów-elektryków, feministek, ping-pongistów czy filmowców, które można było zmieścić w specjalnie przystosowanych

programach objazdu. Konfucjańska idea, że każda jednostka i każda grupa ludzka winna pasować do określonej komórki istniejącej struktury społecznej wciąż jeszcze dominuje w Chinach, ale z wolna podważają ją hordy tak zróżnicowanych grup, że „ludzie o wspólnych zainteresowaniach” ustępują powoli nowej dla Chin kategorii społecznej: turystom.

W pewnym sensie nasza grupa była hybrydą złożoną z obu wspomnianych koncepcji. Mieliliśmy „wspólne zaplecze”, tzn. członkostwo naszej organizacji w Kalifornii i większość uczestników stanowili *businessman*’i i przedstawiciele wolnych zawodów z powiatów Riverside i San Bernardino. Wszyscy podróżowali już wiele i sporo z nich odwiedziło Związek Sowiecki. (Nieuniknione porównania wypadły dość korzystnie dla Chin). Co do mnie, to chociaż wiele już podróżowałem po Azji, byłem w Chinach po raz pierwszy i pierwszy raz jechałem w dużej grupie. Doświadczenie i wyrozumiałość moich towarzyszy podróży okazały się cenne na drodze. Mimo że wszyscy byliśmy zainteresowani polityką międzynarodową jedynymi wypadkami specjalnego traktowania nas były posiedzenie informacyjne w ambasadzie amerykańskiej w Pekinie na temat najnowszych wypadków w Chinach i zaplanowane spotkanie z Komitetem Przyjaźni z Zagranicą (najbliższym chińskim odpowiednikiem naszej organizacji), które nie doszło do skutku z powodu niewyjaśnionych trudności komunikacyjnych w Pekinie.

Pierwszym postojem był Hong Kong. Od czasu mego ostatniego w nim pobytu w 1973 usunięto ostatni symbol epoki kolonialnej: przysadzisty budynek poczty, okaz pompatycznej architektury kolonialnej; jednopiętrowa spuścizna przeszłości, trwająca całe dziesięciolecie pośród lasu 20-piętrowych drapaczy, ustąpiła wreszcie przed nieuniknioną funkcjonalnością szkła i betonu.

Klub krykietowy Hong Kongu, ostatnia placówka dawnego towarzystwa kolonialnego, zmuszony został do opuszczenia swego starannie utrzymanego terenu na jednej z najdroższych parcel świata pod solidarnym naciskiem chińskich kół finansowych, mających mało sentymentu dla jego symbolicznego znaczenia i bardziej zainteresowanych w realnych zyskach jakie dają zbudowane na jego miejscu wieżowce. Autobusy turystyczne, objeżdżające wyspę, przejeżdżają codziennie obok nowego *Cricket Clubu*, patetycznie osamotnionego wśród wzgórz za Hong Kongiem. Mimo że przewodnik poświęca dłuższą przemowę nowej restauracji McDonalda nad Repulse Bay, klub pominięty zostaje milczeniem. Wspomnieć też należy nowe metro, zbudowane z pomocą japońskich kapitałów i technologii. Ciekawe czy i jaki wpływ miały te wszystkie zmiany na nowych przywódców w ChRL i na ich decyzję wprowadzenia „czterech modernizacji”.

Z Hong Kongu do Kantonu (według nowej transkrypcji: Guanzhou) poleciliśmy samolotem: symbol nowych zmian w Chinach w ciągu ostatniego roku. Dawna praktyka, zmuszająca wszystkich pasażerów do opuszczenia pociągu z Hong Kongu w granicznym mieście Lo Wu, przeniesienia bagaży przez most i podania się kontroli paszportowej, by następnie wsiąść do chińskiego pociągu po drugiej stronie, została zarzucona w zeszłym roku i pociągi mogą obecnie dojeżdżać wprost do Kantonu. Komunikacja pomiędzy Hong Kongiem i Kantonem ma dość specjalne znaczenie, ponieważ jest to nie tylko główna brama wejściowa dla cudzoziemców odwiedzających Chiny, ale także dla *businessman*ów przyjeżdżających na kantońskie targi, organizowane co dwa lata, i dla licznych Chińczyków z Hong Kongu i Południowo-wschodniej Azji, odwiedzających krewnych w Kantonie i okolicy.

Na skutek tego Kanton jest obok Szanghaju najbardziej kosmopolitycznym miastem Chin. Cudzoziemcy i przywożone przez nich technologiczne dobra konsumpcyjne są tu traktowane jako zjawisko normalne. Kilka lat temu zbudowano tu szereg hoteli dla handlowców i zagranicznych Chińczyków, wśród nich hotel Dong Fang (naprzeciwko terenów targowych), przedmiot wieloletnich utyskiwań *businessman*ów, przyzwyczajonych do bardziej luksusowych pomieszczeń. Chcąc polepszyć urządzenia turystyczne sprowadzono całe skrzynie aparatów klimatyzacyjnych, by nieco ułatwić znoszenie denerwująco wilgotnego lata Chin Południowych. Stały się one symbolem trudności, jakie w Chinach towarzyszyć będą modernizacji — w oczekiwaniu bowiem na niezbędną decyzję urzędową, sankcjonującą ich założenie, przez cały sezon deszczowy leżały rdzewiejąc pod gołym niebem.

Kanton ma atmosferę typowego miasta Azji południowo-wschodniej: drzewami wysadzone ulice i arkady, mieszczące w sobie małe sklepiki. Odbyliśmy mało ciekawą wycieczkę statkiem po Rzecze Perłowej, na której głównym widokiem były ogromne slogany polityczne z czasów maoistowskich, umieszczone na dachach wszystkich większych domów wzdłuż rzeki. Kontrast z tablicami w pobliżu portu, reklamującymi lemoniadę 7-Up, zegarki Seiko i papierosy Marlboro był uderzający. Ten zwrot ku postawie konsumpcyjnej jest nieco dziwny, zważywszy, że Chińczycy nie mogą nabywać tych reklamowanych towarów. Być może (pomijając kilkanaście tysięcy dolarów miesięcznie w dewizach, jakie przynosi sprzedaż) pomyślane to jest raczej jako ilustracja nagrody w przyszłości niż zaspakajanie pragnień dzisiejszych: worek złota po drugiej stronie łączy Czterech Modernizacji.

Zwiedziliśmy nieuniknioną komunę: dobrze prosperującą plantację owoców ok. 20 km pod Kantonem. Jej najbardziej

zwracającymi uwagę rysami było imponujące ambulatorium z kilkoma lekarzami i kwalifikowanym personelem laboratoryjnym (jeden pracownik mówił znakomicie po angielsku) oraz nowo-wprowadzone przez komunę przedsięwzięcie: wypożyczanie turystom po dwa yuany (1 yuan = \$ 0,65) rowerów, na których mogą przejechać się kilkaset metrów ścieżką wiodącą do sklepu, sprzedającego malunki artystów ludowych. Osoby mniej awanturnicze mogą za te same dwa yuany przebyć ten dystans na wozie ciągnionym przez woły. Oprowdzała nas energiczna i inteligentna niewiasta, pełniąca funkcje osoby oficjalnie witającej, a także zajmująca się sprawami *public relations* i bytowymi pracowników. W kilku innych miejscach informacji udzielały również kobiety. Wbrew pozorom może to być w mniejszym stopniu oznaką emancypacji, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Witanie turystów jest ewidentnie zajęciem drugoplanowym. Być może nie powinno ono niepotrzebnie zabierać czasu mężczyznom.

„Krótkie wprowadzenie” — zmora turystów w Chinach od 1972 — zostało ostatnio znacznie stonowane. Dawny wielogodzinny monolog został zredukowany do kilkunastominutowej pogadanki, przypuszczalnie w wyniku zmiany chińskiej koncepcji traktowania „zagranicznych przyjaciół”. Imponowanie i przekonywanie wydają się obecnie nieco mniej ważne niż w pierwszych latach normalizacji. Poza tym wobec błyskawicznego wzrostu ilości turystów sami informatorzy doszli do kresu sił. O pewne informacje było trudno. Dokładna funkcja i stopień służbowy „osób odpowiedzialnych” stanowią wyraźnie punkt delikatny, pomimo że oficjalny egalitaryzm rewolucji kulturalnej został zdecydowanie odrzucony i istnieje wyraźna hierarchia władzy.

Co więcej w Hang-Czu, na naszym następnym postoju, w czasie wizyty w słynnej fabryce jedwabiu kilka interesujących spraw pozostało zdecydowanie niewyjaśnionych. Zapytałem, czy tak zalecany przez Mao bezpośredni udział dyrekcji w pracy fizycznej jest nadal przestrzegany. Odpowiedziano mi, że tak, ale kiedy starałem się zidentyfikować wśród robotników osoby tego pokroju, zapanowała konsternacja. Był to jedyny wypadek w czasie podróży kiedy nastawałem na odpowiedź na pytanie, dotyczące drażliwego tematu.

Postanowiwszy stwierdzić, czy istnieje jakakolwiek korelacja pomiędzy tym co nam się opowiada a rzeczywistością, grzecznie ale stanowczo poprosiłem naszą hostessę o wskazanie kogoś z kierownictwa, „zajętego produkcją”. Popatrzyła uważnie wzdłuż szeregów hałasujących maszyn, ale, najwidoczniej nie mogąc znaleźć nikogo, poprowadziła wycieczkę dalej. Ponowiłem prośbę. I znów nie widać było nikogo z kierownictwa. Po zwiedzeniu całej fabryki spytałem dlaczego poszukiwania nie dały żadnego

rezultatu. Podszedł majster i zaczęła się żywa dyskusja. Ostatecznie odpowiedź brzmiała: wszyscy oni pracują równocześnie w czasie *week-end'u* (akurat był zwykły dzień roboczy). Na wpół tylko przekonany, zastanawiałem się, po co w takim razie szukaliśmy ich po zakładzie, skoro wiadomo, że pracują tylko w czasie *week-end'u*, a poza tym ciekaw byłem jak wygląda produkcja fabryki w dniu, kiedy szefowie opanowują ją *en masse*. Jeden z amerykańskich korespondentów w Pekinie opowiadał mi później, że zwiedził tę fabrykę z grupą turystów i zaskoczył „osobę odpowiedzialną” pytaniem na temat objęcia zakładu przez żołnierzy Wyzwoleniczej Armii Ludowej w czasie strajku robotników w 1975 roku. Mimo że na ten temat wówczas nic nie pisano i że nie była to sprawa, której znajomości można było oczekiwać od grupy przeciętnych turystów, udzielona odpowiedź była szczerą i dokładną.

Hang-Czu jest jednym ze słynnych z pięknych widoków miejsc w Chinach; szczególnie sławny jest widok Xi Hu czyli Zachodniego Jeziora. Prezydent Nixon zwiedził malownicze pawilony nad Xi Hu w czasie swej podróży w 1972 i jest to klasyczne miejsce wycieczkowe dla dygnitarzy. Niektóre stare pałacyki z okręgu cesarstwa są naprawdę piękne i wieczorny spacer szerokimi chodnikami wzdłuż jeziora przy księżycowej pełni był niezwykle miły, zwłaszcza że natłok zwiedzających w ciągu dnia — rzecz, która psuje przyjemność zwiedzania wszystkich atrakcji turystycznych w Chinach — zmniejszył się, pozostawiając jedynie pary zakochanych, tulące się do siebie na ławkach parku otaczającego jezioro: pocieszająca oznaka tego, że ferwor ideologiczny nie jest jedyną więzią ludzką w Chinach. Należy dodać, że moim najbliższym zetknięciem z ideologią było przypadkowe spotkanie ze starszym wiekiem przewodnikiem w Hang-Czu, który — stwierdziwszy, że mówię po chińsku — spytał, czy byłem już kiedyś w Chinach. Odpowiedziałem, że jestem tu po raz pierwszy. Gdzie wobec tego nauczyłem się chińskiego? Na Tajwanie. „A — powiedział na to mrużąc oko — to znaczy, że to jest Pański drugi pobyt w Chinach”.

Kilka razy próbowałem ostrożnie wypadów w dziedzinę humoru politycznego, by wy badać reakcje. Pamiętając dawne opowiadania o twardym kontrowaniu wszelkich prób traktowania ideologii humorystycznie, i o oburzeniu w wypadku rzeczywistego czy domniemanego podśmiewania się z chińskich przywódców, nie bardzo wiedziałem jaki będzie rezultat. W jednym z miast nasza grupa miała jakieś trudności i nasz przewodnik oznajmił, że się tym zajmie. Powiedziałem po chińsku: „No, skoro Pan jest u steru, jestem całkiem spokojny” — cytując rzekome słowa Mao do Przewodniczącego Hua Kuo-fenga po

wyznaczeniu go następcą. Moje słowa zostały przyjęte uśmiechem rozbawienia.

Taka obraza majestatu ze strony cudzoziemca byłaby parę lat temu nie do pomyślenia. Obecnie poniektórzy wykształceni Chińczycy w czasie dyskusji na temat ekscesów Bandy Czterech pokazują w milczeniu pięć palców. Aluzja do Mao jest zrozumiała dla wszystkich. Lecąc samolotem z Szanghaju do Pekinu miałem przyjemną pogawędkę z ważnym funkcjonariuszem szanghajskiego Kapitanatu Portu. W czasie przelotu usiłowałem przeczytać całostronicowy artykuł w *Dzienniku Ludowym* na temat przemówienia Mao z 1956 roku (o muzyce) — chodziło w nim o uczenie się od cudzoziemców bez zatracania czysto chińskiej postawy. Zmęczony naszym przeładowanym programem musiałem przerwać, by trochę się zdrzemnąć. Powiedziałem do mego sąsiada, że nie obrażając Przewodniczącego Mao muszę się trochę przespać, zanim będę w stanie dobrać do końca artykułu. Pokiwał głową ze zrozumieniem i sympatią, myśląc może o własnych wrażeniach z lektury rozwlekłych wywodów Mao.

Wieczorem drugiego dnia pobytu w Hang-Czu nasz przewodnik załatwił nam bilety na występ tradycyjnej opery pekińskiej. Ta forma sztuki była w niełasce jako „feudalna” za czasów gdy Cziang Czing była wielkorządcą kulturalnym, i opery pekińskie dopiero niedawno zaczęły ponownie wystawiać tradycyjne opery w miejsce paru dozwolonych „oper proletariackich” z okresu rewolucji kulturalnej. Ponieważ opera taka trwa niekiedy trzy godziny bez przerwy, tylko parę osób z naszej grupy zdecydowało się na jej obejrzenie. Chińskie Biuro Podróży szybko wypełniło kontyngent przy pomocy tłumaczy z francuskiego, niemieckiego i japońskiego, by zapełnić wolne krzesła i uniknąć ambarasującej luki w skądinąd wypełnionym po brzegi teatrze. W wyniku tego każdy z nas miał osobistego tłumacza i dane mi było śledzić zawiłości sztuki w trzech wersjach: w przekładzie trudnego klasycznego języka na potoczny chiński z ewentualnymi uzupełnieniami po francusku z jednej strony i po niemiecku z drugiej. Sztuka nazywała się Li Hui-niang i opowiadała o losach skrzywdzonej przez nikczemnego urzędnika dziewczyny, która zmartwychwstała by połączyć się z ukochanym i zemścić się na krzywdzicielu. Punkt ciężkości przedstawienia spoczywał na miłości, pirotechnice i sztukach akrobatycznych. Mimo że obecny był też szef miejscowego wydziału kultury, nikt nie wydawał się oburzony brakiem treści politycznych i proletariackich.

W pociągu z Hang-Czu do Szanghaju spotkałem kanadyjskiego fizyka chińskiego pochodzenia i jego amerykańską żonę, wracających z 6-tygodniowego objazdu instytutów fizyki we wszystkich większych uniwersytetach chińskich. Mieli oni okazję zoba-

czenia dwóch aspektów życia w Chinach, które są niedostępne zwykłym turystom: ośrodków naukowych z jednej strony i biedy chińskiej wsi z drugiej. Fizyk potwierdził istnienie tendencji do zezwalania na szersze kontakty intelektualistów chińskich ze światem zewnętrznym — po dziesięcioleciu skrajnej ksenofobii, akcentującej konieczność całkowitej autarkii i niebezpieczeństwa podzielonej lojalności wśród intelektualistów pod wpływem kontaktów z cudzoziemcami.

Według oceny fizyka chińscy naukowcy są obecnie obeznani z rozwojem wiedzy w ich dyscyplinach (z wyjątkiem jego własnej specjalności), brak jednak sprzętu i urządzeń, a ponadto ambitny program modernizacji Chin ucierpiał poważnie przez utratę całej generacji w wyniku zamknięcia uniwersytetów w czasie rewolucji kulturalnej i obniżenia poziomu na kilka lat po ich ponownym otwarciu. Jednym z ważnych motywów chińskiego otwarcia na świat i nieśmiałych kroków w kierunku liberalizacji politycznej jest próba odzyskania zaufania warstw wykształconych, które w czasie rewolucji kulturalnej były prześladowane i piętnowane. Próba ta w znacznej mierze powiodła się i inteligencja wykazuje rzeczywisty entuzjazm wobec modernizacyjnego programu Teng Hsiao-pinga. Entuzjazm ten jest w znacznej mierze euforią wywołaną wyzwoleniem od zmyru rewolucji kulturalnej. Czy przetrwa on wszystkie nieuniknione porażki i trudności związane z chińskim pędem do unowocześnienia kraju — zobaczymy.

Drugi aspekt życia chińskiego, z jakim zetknęli się moi znajomi z pociągu to rozpaczliwa nędza wsi i izolacja od większości burzliwych wypadków politycznych w miastach. Fizyk był już uprzednio w Chinach z wizytą u krewnych na wsi w okolicach Kunagdong, a ponieważ działo się to w czasie panowania Bandy Czterech, z obawy przed zarzutem szerzenia rozkładowych wpływów zagranicy nie przywiózł tradycyjnych podarunków z Hong Kongu, takich jak wentylatory, rowery, radia, materiały czy produkty spożywcze. Krewni wytknęli mu to. Polityczna asceza miejskich ideologów ich mało lub wcale nie interesowała. Mimo że wieś ta znajduje się w tej samej prowincji co zwiedzana przez moją grupę wzorcowa komuna, należy do innego świata. Opis ten przypomni mi rozmowy z młodymi Chińczykami, których spotykałem w latach 1972-73 w Hong Kongu i którzy opisywali ponury żywot w zapadłych wsiach, do których ich „zesłano” w czasie rewolucji kulturalnej. Ponieważ byli nieobeznani z rolnictwem, mieszkańcy wsi traktowali ich jako niepotrzebny ciężar; w wiejskiej ekonomii, opartej na rodzinie jako podstawowej komórce gospodarczej, nie byli zdolni do życia; pamiętam przejmujące opowiadania o tym, jak ze zboczy wzgórz w Kunagdong wpatrywali się w łunę światła nad Hong Kongiem, widoczną na

dziesiątki kilometrów w głąb lądu chińskiego. Ich rozczarowanie Hong Kongiem po ryzykownej ucieczce wpłynęło przez Mirs Bay — mimo rekinów i niebezpieczeństwa utonięcia — nie przytłumiło ich wspomnień o tym, co ich popchnęło do ucieczki: nuda, nędza i brak przyszłości. Stwierdziwszy istotność tego problemu, rząd ograniczył mocno wysyłanie wykształconej młodzieży na wieś.

Podniesiono też ceny płacone za produkty rolnicze. Ceny podstawowych produktów takich jak ryż podniesiono o 20 % za obowiązkowe dostawy dla państwa, a o 50 % za dostawy ponad normę. Wzrosły też mocno ceny za inne produkty rolnicze. W wyniku polepszyły się warunki wymiany produktów rolnych w stosunku do przemysłowych i „nożyce” cen przymknęły się na korzyść chłopów. Jest to jednak ryzykowne pociągnięcie. O ile państwo nie będzie w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości towarów dla pokrycia zwiększonej siły nabywczej wsi, nastąpi nieunikniona inflacja. Wyższe ceny w miastach spowodują nacisk w kierunku podniesienia zarobków, co w połączeniu z przeprowadzonymi ostatnio w wielu działach przemysłu podwyżkami pensji zwiększy jeszcze tendencje inflacyjne.

Nasz jednodniowy pobyt w Szanghaju pozostawił mi dwa wspomnienia. Jedno to obfitość dóbr konsumpcyjnych i ogólny dobrobyt mieszkańców miasta, a drugie to silne niezadowolenie wśród młodzieży miejskiej. Wizyta w Domu Towarowym Nr 1 w Szanghaju pozwoliła stwierdzić istnienie dużej ilości towarów, z telewizorami włącznie. Odzież jest ściśle racjonowana (3-4 m materiału na osobę), ale można nabyć więcej płacąc o wiele drożej. Ceny są głównym mechanizmem racjonowania towarów, tak że mimo ich obecności na rynku zakupy produktów nie pierwszej potrzeby utrzymywane są na poziomie minimum. Kartki są niezbędne przy zakupach żywności. Kupno oleju, zboża a nawet miseczki klusek czy ryżu jest bez nich niemożliwe.

Z tego powodu każdy kto nie jest oficjalnie mieszkańcem danego miasta stanowi poważne obciążenie ekonomiczne dla swej rodziny. Kontrola ruchu mieszkańców tylko w rzadkich wypadkach dokonuje się drogą otwartej represji. Polega raczej na tym, że jest niesłychanie trudno przemieszczać się poza oficjalnie stworzonymi ramami. Bez stałej pracy i pozwolenia na zamieszkanie nie jest się w istocie rzeczy wykluczonym z normalnego życia miejskiego. Jest to realnym problemem dla bezrobotnych, a Chiny w tym roku dopiero przyznały, że liczba ich przekracza 10 milionów, a o wiele więcej jeszcze ludzi ma tylko pracę marginalną. Dla reżymu politycznego, który dotąd utrzymywał że bezrobocie jest w państwie marksistowskim niemożliwe jest to wyznanie niezwykle.

Jeszcze trudniejsza jest sytuacja młodzieży wracającej z wygnania, na jakie skazała ją rewolucja kulturalna. Zesłano na wieś ponad 22 miliony młodych Chińczyków i prawie połowa z nich powróciła do miast. Niektórym zezwolono na to oficjalnie, ponieważ państwo przystąpiło do likwidacji przymusowych wysiedleń. Wielu jednak wróciło nielegalnie i żyje obecnie w czymś w rodzaju ziemi nicyzej w chińskich miastach. To przede wszystkim ta pozbawiona szans grupa jest źródłem większości przestępstw (mimo to procent zbrodni i kradzieży jest zdumiewająco niski jak na tak liczną ludność). Ale nawet ci którzy wrócili legalnie stanowią problem, ponieważ ich edukacja została przerywana na skutek rewolucji kulturalnej, wobec czego perspektywa znalezienia przez nich pracy zgodnej z ich aspiracjami jest bardzo nikła. Dla zmniejszenia trudności związanych z bezrobociem państwo propaguje tworzenie „kolektywów miejskich”: grup młodzieżowych organizujących coś w rodzaju wspólnych przedsięwzięć. Ograniczają się one przede wszystkim do usług (dzieżyny niemal całkowicie zaniedbanej przez chińską gospodarkę) i polegają głównie na noszeniu bagaży na stacjach czy licencjach na sprzedaż napojów i jedzenia w miejscach publicznych.

Trudno opisać frustrację i desperację straconej generacji młodzieży miejskiej, która padła ofiarą rewolucji kulturalnej. Często zdarza się, że cudzoziemcy są zagadywani na ulicy przez młodych ludzi, którzy opowiadają im tragiczne historie zmarnowanych karier i ludzą się, że taki kontakt może im jakoś pomóc w wydestaniu się z Chin. Ja zostałem zaczepiony w ten sposób w czasie spaceru po Szanghaju, w dzielnicy oddalonej od Bundu, tzn. europejskiej dzielnicy nadbrzeżnej. Zdyszany młody człowiek podbiegł do mnie i biorąc mnie za ramię powiedział: „Mam panu wiele do opowiedzenia!”. W czasie dalszego spaceru po mieście opowiadał mi swoją historię, najpierw łamanym angielskim, później po chińsku. Zesłano go na wieś w czasie rewolucji kulturalnej i miał tyle szczęścia, że pozwolono mu wrócić, ale jego planowane studia przepadły raz na zawsze. Uczył obecnie angielskiego w stalowni na przedmieściach Szanghaju, by robotnicy mogli używać amerykańskich podręczników technicznych w miejsce rosyjskich. Za wszelką cenę chciał się dostać do Stanów Zjednoczonych, gdyż, jak mówił, w Chinach nie miał przyszłości. Chciał mnie zaprosić do siebie do domu — bardzo śmiało, a nawet ryzykowne przedsięwzięcie — ale musiałem wracać do mojej grupy, a następnego dnia już wyjeżdżaliśmy.

Tego samego wieczoru przechadzałem się z kilkoma uczestnikami naszej wycieczki po Bundzie. Znow zatrzymał nas podniecony młodzieniec. „Mam wam wiele do opowiedzenia!” oznajmił. Moi towarzysze weszli do restauracji, a ja znalazłem się

sam z tym młodym człowiekiem, który szedł bardzo blisko mnie i chwycił mnie za rękaw, jakby bał się stracić tę rzadką okazję kontaktu z cudzoziemcem. Zamierzał kiedyś zostać skrzypkiem, ale rewolucja kulturalna przerwała mu studia i został zesłany na wieś. Po powrocie udało mu się znaleźć pracę jako szofer ciężarówki. „Tu nie ma wolności” — mówił — „muszę się stąd wydostać”. Mimo że bardzo mu współczułem, nie mogłem się opędzić od myśli o wielu uzdolnionych muzykach prowadzących taksówki w Nowym Jorku. Jego wyobrażenie o wolności polegało na tym, że sądził, iż kraj taki jak Stany Zjednoczone nie tylko daje okazję do realizowania indywidualnych planów, ale także gwarantuje ich spełnienie. Już przedtem byłem świadkiem szoku, jakiego doznawała w Hong Kongu młodzież przybywająca z Chin gdy zdawała sobie sprawę z mniej widocznej strony wolności — całkowitej obojętności państwa i społeczeństwa wobec ich losu.

Zaciekawiła mnie śmiałość tego młodzieńca. Wszak tego rodzaju kontakty z cudzoziemcami zostały dozwolone dopiero w tym roku. Powiedział mi, że dobrze, że noszę chiński strój (miałem na sobie zapinaną pod szyję marynarkę, nabytą w Domu Towarowym Nr 1), ale prosił bym zdjąć odznakę uczestnika wycieczki turystycznej. Szliśmy w dół Nanjing Road, głównej ulicy handlowej Szanghaju. Zaprosił mnie gestem do wejścia do załoczonego sklepu i udając, że pokazuje mi jakiś towar wcisnął mi do ręki małą paczuszkę. Gdy ją później otworzyłem, znalazłem w niej dwie broszurki, jakąś chińską nowelę i podręcznik transkrypcji chińskiej w alfabecie łacińskim. Najwidoczniej bał się przychwycenia na przekazywaniu „tajemnic państwowych” cudzoziemcowi.

Wielokrotnie oglądał się przez ramię by stwierdzić czy nie jesteśmy śledzeni, ale na moje pytanie czy to niebezpieczne być widzianym z cudzoziemcem odpowiadał, że nie ma się czym przejmować. Posunął się nawet do tego, że zaczął rozmawiać ze mną o wewnętrznej polityce chińskiej, twierdząc że ma krewnego w Biurze Politycznym i orientuje się wobec tego w rozgrywkach wewnętrznych w Partii. Jednak dość ogólnikowy obraz stosunków pekińskich, jakim mnie uraczył, nie zawierał niczego co byłoby nieznane uważnym czytelnikom prasy zachodniej i zapewne też większości zorientowanych Chińczyków. I on pragnął kontynuować znajomość, ale z uwagi na nasz wyjazd było to niemożliwe.

Pekin był ostatnim etapem naszej podróży. Jeszcze przed zawiezieniem nas do hotelu poprowadzono naszą grupę do Pekin-skiego Sklepu Przyjaźni. Ten zarezerwowany dla cudzoziemców dom towarowy przypominał mi system PX stosowany w armii

amerykańskiej — ludność miejscowa nie ma tam dostępu. Ta pozostałość uprzywilejowania cudzoziemców jest szczególnym dysonansem w Chinach, zważywszy jak ważną rolę grała opozycja wobec tego rodzaju przywilejów w rewolucji chińskiej. W istocie jednak instytucja ta wiąże się z jeszcze dawniejszą tradycją: odseparowywania cudzoziemców w łatwo dających się kontrolować enklawach. A poza tym jest źródłem dewiz.

Przechodząc przez plac Tian An Men od strony bulwaru Czang An, przed pałacem cesarskim, doznaje się szoku na widok olbrzymiego pomnika Stalina: po lewej stronie placu stoją Marks i Engels, po prawej Lenin i Stalin. Biorąc pod uwagę przykre doświadczenie Mao ze Stalinem (który chciał go usunąć z kierownictwa Chińskiej Partii Komunistycznej w latach 30-tych, powstrzymywał od definitywnej rozgrywki z Czang Kai-szeikiem w latach 1944-46 i traktował jak uboższego krewnego w chińsko-sowieckich negocjacjach w początku lat 50-tych) trudno zrozumieć, dlaczego Mao żywił dla niego taki szacunek. Odpowiedzią jest przypuszczalnie Chruszczow. Mao był wściekły na niego za to, że nie porozumiał się z Chinami (ani z nikim innym) przed swym atakiem na Stalina na XX Zjeździe i wobec tego poślubił się gloryfikowaniem Stalina dla drażnienia Sowietów i sugerowania, że to Mao a nie Chruszczow jest właściwym następcą Marksa. Nawet biorąc to wszystko pod uwagę pomnik Stalina na tle obecnej liberalizacji w Chinach jest widmem nieco niepokojącym.

Jednakowoż nasza wycieczka zbiegła się z ponownym rozluźnieniem śruby politycznej, która została przykręcona w związku z niezwykle rozkwitem krytyki, formułowanej za pomocą plakatów na „Ścianie Demokracji” pod koniec 1978 roku. W tym czasie wciągano znających chiński cudzoziemców w dyskusje na temat jeffersonowskiej demokracji, i „100 kwiatów” kwitło znów w Chinach. Ten liberalny nurt został wiosną 1979 roku przyhamowany.

Jednym z powodów było to, że Chiny zajęte były wówczas „udzielaniem lekcji Wietnamowi” i jednemu z dysydentów zarzucano, że rzekomo udzielił informacji na temat ciężkich strat chińskich zagranicznemu reporterowi. Drugim powodem, jak mi powiedział znajomy dziennikarz spotkany w Pekinie, było rozluźnienie rygorów życia codziennego, które oburzyło chińską starą gwardię. Zachodnie tańce stały się dozwolone, ale zamiast fokstrotów z lat 1950-tych i ówczesnej mody (oficjalnie lansowana obecnie elegancja w Chinach) zaczęły się szerzyć dyskoteki i dzisiejsze stroje młodzieżowe. Kroplą która przelała czarę był widok chińskich dziewcząt domagających się od obcych mężczyzn płacenia za prawo udziału w tańcach 10 yuanów — około 25 % mie-

sięcej pensji tych młodych ludzi. Dla pamiętających dawne Chiny widok ten budził przykre wspomnienia. Tańce zostały czasowo wzbronione, a razem z nimi zahamowano liberalizację polityczną.

W momencie kiedy przybyliśmy do Pekinu sytuacja znów się zmieniła. Demonstrujący chłopcy z odległych prowincji urządzali *sit-in* u wrót Shongnanghai — pilnie strzeżonej dzielnicy mieszkaniowej dla przywódców chińskich w obrębie Zabronionego Miasta (demonstracje te później rozpędzono). O ulicę dalej Ściana Demokracji była oklejona setkami metrów gazetek ściennych — chociaż bardziej radykalne plakaty (np. taki, w którym marksizm został nazwany główną przeszkodą w rozwoju Chin) usunięto. Ostatniego dnia naszego pobytu w Pekinie, kiedy zwiedzaliśmy mauzoleum Przewodniczącego Mao na placu Tian An Men, na zatłoczonym placu odbywała się demonstracja zdemobilizowanych żołnierzy, protestujących przeciw zbyt niskim emeryturom.

Mao został usunięty z życia do świątyni zarówno w znaczeniu ideologicznym jak i fizycznym. Wprawdzie oficjalnie mówi się jeszcze z rewerencją o jego „myślach”, ale zostały one przeniesione ze sfery operacyjnej w symboliczną. Nawet fizyczna spuścizna Mao jest zagrożona. Wietnamski balsamator wyraźnie nie wysilił się przy pracy. Zwłoki Mao kurczą się w zauważalny sposób i co noc muszą być spuszczone do chłodni dla powstrzymania rozkładu. Trudno powstrzymać się od porównania tego z losami politycznego spadku po Mao.

Chiny są w trudnym okresie przejściowym. Polityczna sukcesja, którą Mao przygotował z myślą o młodszej generacji, zmieniła kierunek i stara gwardia wróciła do władzy. Mimo że polityka tej grupy wyraźnie cieszy się w Chinach popularnością, na horyzoncie widać też chmury. Jednym z głównych problemów jest kwestia: demaoizacja a nowa generacja przywódców. Łatwo mogłoby bowiem paść pod ich adresem kłopotliwe pytanie, co robili w czasach Mao, podobnie jak dla następców Chruszczowa niemiłe były pytania związane ze Stalinem. Co ważniejsze jeszcze, rząd będzie musiał zapewnić sobie sukcesy w dziedzinie modernizacji, unikając równocześnie przerośnięcia liberalizacji w rozpad polityczny i powrót do *luan* (anarchii), która dała pierwszy impuls chińskiej rewolucji.

Jest oczywiste, że 10-dniowy objazd „konno” nie pozwala na sformułowanie wielu odpowiedzi na trudne pytania dotyczące złożonej rzeczywistości Chin. Rzeczą najbardziej zapadającą w pamięć podczas tego krótkiego rekonensansu były osobiste kontakty z Chińczykami. Naszymi przewodnikami (z jednym wyjątkiem) byli ludzie sympatyczni, inteligentni, otwarci i bystrzy.

Technokrata którego spotkałem w samolocie do Pekinu był swobodny, miły i elokwentny. Reakcje zwykłych Chińczyków były rozmaite: od niepowstrzymanej ciekawości na widok Polaroidów, robiących gotowe zdjęcia, aż do nieukrywanej obojętności wobec mówiącego po chińsku obcokrajowca, pojawiającego się w nieoczekiwanych miejscach. Kilku członków naszej grupy zwiedzających urządzenia techniczne na budowach zostało uhonorowanych w stopniu najwyższym: zostali zaproszeni na herbatę w prywatnym mieszkaniu znającego angielski członka Chińskiej Akademii Nauk. Nieprzychylnie zostałem potraktowany tylko raz, i to w odpowiedzi na moją własną bezczelność, kiedy próbowałem jakoś sforsować ogromny mur otaczający zamknięty dziedziniec w Pekinie. Zostałem niezwłocznie przywołany do porządku przez jakiegoś starca, który powiedział z oburzeniem: „To jest prywatna posiadłość”. Ale czegoż można w końcu oczekiwać od nieokrzesanych barbarzyńców, nie potrafiących utrzymać w ryzach swej ciekawości!

Osobami które były w stanie „zsiąść z konia” i przyjrzeć się Chinom bliżej byli urodzeni za granicą Chińczycy oraz towarzyszące im żony czy mężowie. Ci potrafili opowiedzieć rzeczy bardzo różne od widzianych przez przeciętnego turystę: skargi na temat aroganckiej i nieudolnej biurokracji były tu rzeczą powszechną. Być może to ostatnie jest — wbrew opinii autora usuniętej ze Ściany gazetki ściennej — główną przeszkodą w modernizacji Chin. Ideologia i koncepcje rozwoju zmieniają się, ale zakorzeniona w tradycji biurokracja chińska trwa. Bawiący z wizytą podróżnicy styka się z tym problemem jedynie marginesowo, ale wystarczająco, by zrozumieć na czym polega. Być może analiza Mao była słuszna: wiedział, gdzie leży zło, ale lekarstwo było nieodpowiednie. Niełatwo będzie ocenić ewentualne sukcesy jego następców w dziedzinie unowocześnienia Chin. Ale na to by móc przyjrzeć się im dokładnie, przyszli podróżnicy będą musieli opuścić końskie grzbiety i poruszać się pieszo. Miejmy nadzieję, że będzie to możliwe.

David ELLIOTT

(Tłumaczył z angielskiego M. BRONSKI)

NOTA BIOGRAFICZNA

Prof. David ELLIOTT wykłada nauki polityczne (stosunki międzynarodowe) w Pomona College w Kalifornii. Spędził osiem lat w Azji, studiował na Yale University (B.A.) i Cornell University (Ph.D.).

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli i z Cambridge

UNIwersytety WŁADIMIRA BUKOWSKIEGO

— Jest pan „osobnikiem niezrównoważonym, politycznie i moralnie przekupnym, zachłannym na łatwy tęp...”. Ponadto jest pan odpowiedzialny za „akcje sabotażowe dokonane na polecenie imperialistycznych wywiadów”. To nieźle jak na młodego jeszcze człowieka. Skąd pan generał Semen Cwigun tak dobrze pana zna? Przypuszczam, że od kiedy Henryk IV założył w roku 1440 King's College w Cambridge, jeszcze żaden jego student nie miał takiej rekomendacji?

— Na pewno. Aby wrócić do równowagi studiuję drugi rok biologii ze specjalizacją fizjologii mózgu właśnie. Co do zachłanności to powiem, że sam muszę płacić za moje studia, bo biurokracja Jej Królewskiej Mości nie potrafiła znaleźć formuły stypendialnej zastosowalnej w mojej sytuacji, a o stypendium sowieckie raczej się nie starałem. Mam ciągle paszport sowiecki. Pan generał Cwigun, który mnie tak dobrze zna, choćby z tytułu swej funkcji (jest zastępcą Andropowa w KGB) zapomniał, mimo moich akcji sabotażowych, odebrać mi obywatelstwo ZSSR. Może zresztą chciał mi zrobić na złość i uniemożliwić otrzymanie brytyjskiego stypendium. W każdym razie utrzymuję się z praw autorskich z moich książek wydanych na Zachodzie, pomagam także matce, siostrze z synem (chorym) w Zürichu. Mam zresztą małe potrzeby, poruszam się na rowerze, wtedy kiedy artretyczne kolano (pamiątka z łagru) mi na to pozwala. A co do inwektyw Cwiguna, to po pierwsze jestem w dobrym towarzystwie, o Sacharowie powiedział to samo, a po drugie to dowód bezsilności KGB. On na pewno żałuje, że pozwolił mi wyjechać...

Pozwolił wyjechać to eufemizm. Przed wstąpieniem do King's College Władimir Bukowski zdążył ukończyć w Moskwie gimnazjum i pierwszy rok biologii, przeważnie jednak studiował na największym uniwersytecie sowieckim, to znaczy w wyższej szkole gułagu. Z 34 lat przeżytych w ZSSR

12 lat Bukowski spędził za kratami więzień, łagrów i szpitali psychiatrycznych KGB. Czytelnicy *Kultury* znają Bukowskiego z tych łamów i innych lektur, tylko więc kilka detali potrzebnych dla dalszego ciągu. Bukowski aresztowany był cztery razy za uprawianie wszystkich możliwych rodzajów dysydencji, od organizowania groźnych festiwali poezji pod pomnikiem barda rewolucji Majakowskiego aż po zredagowanie i wystanie za granicę skromnego tomiku poezji pt. „Nowa choroba psychiczna w ZSSR — opozycja”. Niebezpieczny schizofrenik Bukowski byłby więc faktycznie skazany na wieczny gułag, byłby, gdyby historia nie lubiła paradoksów.

18 grudnia 1976 roku specjalny samolot Aeroflotu wylądował na lotnisku Kloten pod Zurychem. Bukowski z rodziną mieli bilety w jedną stronę, reszta pasażerów, kilkunastu KGB-owców, w obie. Prawie w tej samej chwili lądowała maszyna Lufthansy (normalna, nie specjalna) z Santiago de Chile. Na pokładzie jeden pasażer miał bilet docelowy do Moskwy, bez powrotu do Chile. Był nim Luis Corvalan, sekretarz generalny chilijskiej partii komunistycznej. Wymiana była znakomicie zorganizowana i błyskawiczna. Kilka czarnych limuzyn przewiozło pasażerów i eskorty. W lekkiej szwajcarskiej mgiełce odzyskali wolność najbardziej „cenni” więźniowie polityczni marszałka Breżniewa i generała Pinocheta. Nie obyło się bez tzw. okolicznościowych słów wypowiedzianych przez obu byłych więźniów, po raz pierwszy bez ryzyka kryminału. „Życzę Corvalanowi wszystkiego najlepszego. Ja go rozumiem”, powiedział naiwnie renegat Bukowski. „Nie znam Bukowskiego. Nie uważam go za więźnia politycznego”, powiedział pryncypialnie rewolucjonista Corvalan. Po czym obaj odjechali w przyszłość. W przeciwnie strony.

Ponad 3 lata później Bukowski utracił już wygląd katorżnika. Ubrany jest swobodnie, skórzana kurtka i dzinsy zastąpiły garnitur *made in Poland*, w jaki przebrało go KGB na chwilę przed wyprowadzeniem z więzienia Lefortowo. Machorkę zamienił na Playersy, ale ciągnie jak dawniej, jednego za drugim...

— Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że przy okazji pańskiej wymiany po raz pierwszy jawnie, na oczach świata, skrzyżowały się, ba, zbiegły się interesy Breżniewa i Pinocheta. Co pan na to?

— Nic, normalna rzecz. Interesy dyktatur zawsze się zbiegają. Wystarczy spojrzeć na aktualną współpracę sowiecko-argentyńską. Moskwa torpeduje wszystkie próby umiędzynarodowienia kwestii praw człowieka w Argentynie, gen. Videla sprzedaje zaś w zamian Rosji wszystkie nadwyżki zboża i mięsa, tak aby pomóc jej skutecznie obejść amerykańskie embargo po-argkańskie. Kiedyś zaproponowałem nawet wymianę nie byle więźniów ale wprost Pinocheta z Breżniewem...

— Myśli pan, że byłoby lepiej?

— Lepiej nie, ale zabawniej. Mówiąc poważnie od dnia wymiany nie mogę się opędzić od Chile i cienia Pinocheta. Właśnie niedawno wytoczyłem i wygrałem proces przeciw pismu *New Scientist*, które pomówiło mnie o „przyjazne milczenie” wobec Chile...

— Dlaczego jest pan na to taki wrażliwy?

— Jestem po prostu zdziwiony naiwnością Zachodu, który nie widzi właściwie różnicy między groźbą niesioną przez reżym Breżniewa i Pinocheta. Miałem 14 lat kiedy Chruszczow wygłaszał swój referat na XX Zjeździe. Dowiedziałem się wtedy, że moi bracia i siostry wymordowali kilkadziesiąt milionów moich innych braci i sióstr i że to się nazywało „błędem kultu jedności”. Otóż następcy Stalina chcieli nas wszystkich naznaczyć tym śladem krwi i uczynić z nas swych współników. Kto odmawiał, ten szedł do kryminału...

— W Chile też idą. Pinochet to nie jest džentelmen z Cambridge...

— Nie, Pinochet to krwawy dyktator. Ale utożsamianie zjawisk o tak różnej skali może być groźne. Zacierają prawdziwe wymiary. Nie bronię Pinocheta ani Videli, ale to nie oni wysyłają wojska do Afganistanu, Etiopii i Angoli, nie mówiąc już o Węgrzech czy Czechosłowacji. A przede wszystkim nie wysyłają wojsk aby siłą zaprowadzić swoje panowanie i doktrynę jako najlepszy sposób na szczęśliwą przyszłość i załatwienie wszystkich trudnych spraw tego świata...

— Najlepszy może nie, ale jak na razie bardzo trwały. Poprzednicy Pinocheta i Videli, tacy np. jak Franco, Salazar czy pułkownicy greccy zostali wszyscy zastąpieni przez prawdziwe demokracje, Chruszczow natomiast przez Breżniewa, a Gomułka przez Gierka. A przecież pan nie sprzeciwia się tej idei czy praktyce totalitarnej, a sprzeciwia się takim pokojowym projektom jak igrzyska olimpijskie w Moskwie.

— Pomysł urządzenia igrzysk w Moskwie był i jest pro-totalitarny. Kiedy w 1930 roku powierzano Niemcom zorganizowanie olimpiady w roku 1936, nikt prawie nie znał Hitlera i nie wiedział, że igrzyska otwierać będzie twórca Oświęcimia. Kiedy w 1973 roku nadawano Moskwie tytuł miasta olimpijskiego, wszystko już było wiadomo o stalinizmie, łagrach, o imperializmie sowieckim i łamaniu ludzi i ich praw. Od dawna wołamy, że nie należy urządzać olimpiady w gułagu...

— Brukselski *Le Soir* i paryski *Herald Tribune*, pisma z którymi jestem nieco związany, wydrukowały jedne z pierwszych, jeżeli w ogóle nie pierwsze na kontynencie, to Pańskie hasło. Stało się tak nie bez mojego skromnego udziału, chociaż (co dobrze o mnie świadczy) ja akurat byłem przeciwny idei bojkotu olimpijskiego w wyjątkowym kontekście praw człowieka. Uważałem, i napisałem to w *Kulturze*, za co zostałem skarcony przez niektórych czytelników, że nie ma w polityce nic gorszego niż nierealne hasła, że bojkot olimpiady z powodu gwałcenia przez Breżniewa praw człowieka to właśnie jest nierealne hasło. Próba — mówiłem wtedy — przerzucenia na miotaczy pokojową kulą i pokojowym oszczepem odpowiedzialności za obronę praw czło-

wieka nie może się udać. Puchar piłkarski w Argentynie raczej to potwierdził. Pomysł bojkotu Argentyny zakończył się pudłem, natomiast obecność kilkudziesięciu dziennikarzy z tzw. wolnego świata skierowała uwagę opinii publicznej na dyktaturę Videli (za co mnie z kolei obsobaczyła argentyńska Polonia) i chyba spowodowała pewne zliberalizowanie reżymu. Dopiero sytuacja w Afganistanie...

— A jednak zmienił pan zdanie. Szkoda tylko, że tak późno...

— Chwileczkę, niech mi pan da skończyć. To nie ja się zmieniłem, to świat się zmienił. Bojkot olimpiady w imię praw człowieka nikogo by w ZSSR do demokracji nie namówił. Ludzie sowieccy — jak pan najlepiej wie — nie są na to specjalnie czuli, bojkot zostałby źle rozumiany, zamiast odruchu sumienia wywołałby odruch nacjonalizmu i solidarności z władzą atakowaną z zagranicy. Afganistan wszystko zmienił. Tu już nie chodzi o wolność kilku dysydentów, bardziej, przepraszam za cynizm, znanych na Zachodzie niż w Rosji. Z Kabulu wracają trumny. A na to ludzie sowieccy są ciągle czuli. U was wszyscy pamiętają wojnę, bez przerwy się o niej mówi. Łatwiej jest trafić do człowieka sowieckiego tłumacząc mu, że płaci koszty brudnej wojny w sowieckim — toute proportion gardée — Wietnamie, niż przekonując go, że odbiera mu się zabawę z powodu gwałcenia zupełnie nie rozumianej u was demokracji.

— To prawda, ale mniejsza już dziś o powody, wszystko się pomieszało, nie wymagam dla naszego hasła żadnej wyłączości. Nie tylko pan, prezydent Stanów też zmienił zdanie. Na nasze hasło bojkotu Waszyngton był głuchy, obudził się dopiero po Afganistanie. Niestety, jest coraz bardziej osamotniony, nawet w USA. Pańska Europa Zachodnia odmawia solidarności z USA wobec Iranu, Afganistanu, no i wobec olimpiady...

— Prezydent Francji uważa, że bojkot jako środek skutecznej presji stanowi pomysł „nieodpowiedni”...

— Nie powiedział jednak, jaki środek byłby odpowiedni. Tymczasem w istocie jest to dziś środek właściwie jedyny. Znam psychologię człowieka sowieckiego nieco lepiej niż prezydent Francji i jestem przekonany, że bojkot olimpijski jest jedynym dziś „cywilnym” skutecznym środkiem działania.

— Przecież Armia Czerwona nie wycofa się z Afganistanu tylko dlatego, że zabraknie w Moskwie kilku czarnych sprinterów... Pański przyjaciel gen. Grigorenko porównał w wywiadzie dla Figaro sytuację obecną do lat trzydziestych. Najpierw — mówi on — był Anschluss Austrii, potem najazd na Czechosłowację, ale Zachód obudził się dopiero 1 września 1939 w Polsce. I wtedy było już za późno. Teraz Afganistan wydaje mu się taką Czechosłowacją, uważa go za podstawowy egzamin odporności Zachodu. Czy pan rzeczywiście myśli, że bojkot olimpiady w

Moskwie zmieni plany sowieckie, czy pan sądzi, że bojkot olimpiady w Berlinie zapobiegłby drugiej wojnie światowej?

— Nie wiem, ale wiem, że bojkotu nie było, a wojna była. Nie wiem czy bojkot obecny wyprowadziłby Kreml z Afganistanu, ale brak jakiejkolwiek solidarnej reakcji Zachodu, brak widocznego protestu byłby zwyczajną katastrofą Zachodu i świata w ogóle. Igrzyska 1980 to pierwsza olimpiada w kraju komunistycznym, najbardziej masowe, fascynujące i pompatyczne widowisko, jakie Moskwa kiedykolwiek organizowała. Chodzi wszak o największą widownię w historii. Otóż w warunkach sowieckich można ukryć embargo zbożowe, bo jego wyniki nie są natychmiastowe, nie mówiąc już o tym, że w kraju endemicznych braków rynkowych jeszcze jeden „brak” nikogo nie zaskoczy (mięsa i przed embargiem nie było). Jeszcze łatwiej jest ukryć embargo naukowe czy technologiczne, można zakorkować wiadomości o zerwaniu czy zawieszeniu współpracy czy wizyty naukowej. Tylko jednej rzeczy nie da się ukryć przed ekranami telewizji w całym ZSSR i na świecie: braku zachodnich sportowców na stadionie w Łużnikach. Jest to więc jedyny sposób na poinformowanie ludzi sowieckich o tym, że ich rząd popełnił coś niewłaściwego, że popsuł im zabawę, do której, za cenę sporych wyrzeczeń, oni się od lat szykują. Panem, w przenośni, i tak nie ma, teraz zabrakłoby także i *circenses* już bez przenośni. Dlaczego Pańscy czytelnicy tego nie chcą zrozumieć?

— Może dlatego, że mają za dużo panem. Ja w każdym razie zrobiłem co mogłem, aby zrozumieli. Napisałem, choć to niepopularne, że sportowcy to też obywatele, że żołnierze to sportowcy w mundurach, że nie ma powodu, dla którego w chwilach być może decydujących dla świata ponosić mają odpowiedzialność buchalterzy i tokarze, a nie sportowcy; że mówiąc obrazowo, lepiej chyba nie posyłać sportowców niż posyłać wojsko. Odpowiedziano mi jednak, że to fałszywa alternatywa. Amerykanie są bardzo sami, Panie Bukowski. Ja i Pan to za mało na symbol zachodniej solidarności.

— Rzeczywiście. Uważam zresztą, że nawet gdyby pod jakimś fałszywym czy zakłamanym pretekstem Europa Zachodnia do Moskwy pojechała, to gdyby oczywiście nic się w międzyczasie nie zmieniło w Afganistanie, Amerykanie powinni w każdym razie zostać w domu. Carter uruchomił właściwie całą machinę Białego Domu aby spowodować bojkot. W wyniku obustronnej polityzacji stadion olimpijski stał się bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości terenem starcia Wschód-Zachód i obu super-potę. Jest rzeczą pewną, że bardzo wiele ważnych spraw w przyszłości zależeć będzie od zachowania Zachodu w sprawie olimpiady. W tych warunkach start sportowców amerykańskich w Moskwie stanowiłby kolosalne — brak mi właściwie przymiotników — zwycięstwo propagandowe, psychologiczne i polityczne Kremla. Zdjąłby faktycznie z porządku dziennego sprawę agresji w Afga-

nistanie, zrehabilitowałyby sowiecki imperializm, oznaczałyby kapitulację Waszyngtonu, umocniłyby autorytet Kremla i uratowałyby resztki jego autorytetu w kraju i za granicą, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata, gdzie względy prestiżowe tak bardzo się liczą.

— *Dlaczego Pan lekceważy Zachodnią Europę?*

Nie lekceważę. Obecność na starcie w Moskwie sportowców zachodnioeuropejskich bardzo by osłabiła nośność amerykańskiego bojkotu i byłaby opowiednio wykorzystana przez propagandę sowiecką. Ale tak naprawdę to człowiek sowiecki nie ma wielkiego szacunku dla Europy Zachodniej. Z wyjątkiem oczywiście NRF, Zachód to dla Sowietów synonim słabości i kapitulancstwa. Liczy się w ZSSR tylko jeden przeciwnik, USA i to w każdej dziedzinie: SALT i dżinsów, hamburgerów i wyścigu na Księżyc, technologii no i teraz sportu... Nikt w Pskowie czy Pińsku nie zna francuskiego laureata Nobla, który odmawia wizyty w Moskwie z powodu Sacharowa, ale każdy zna niedźwiadka Miszę (produkowanego masowo przez więźniów w gułagu) i zauważy, że mu brak amerykańskiego piątego kółka i że kuleje... Co zaś do Pańskiej uwagi na temat roli dziennikarzy zachodnich w Moskwie i ich kontaktów ze społeczeństwem sowieckim, to wydaje mi się, że Pan raczy żartować. ZSSR to nie Argentyna. Przedolimpijska czystka przybrała takie rozmiary, że nie będzie można w ogóle spotkać żywego dysydenta czy niekomformisty w Moskwie, nawet gdyby — co jest mało prawdopodobne — organizatorzy igrzysk pozostawili Pańskim kolegom czas i możliwości na interesowanie się czymkolwiek poza sportem i „Jezio-rem Łabędzim” w teatrze Bolszoj. Sacharow i inni wszystko to przewidzieli, uprzedzali was o tym, ale Zachód nie chciał słuchać...

— *Przepraszam bardzo. Sacharow napisał w tej sprawie list do Lorda Killianina, prezesa Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, ale o tym liście jego Lordowska Mość dowiedział się dopiero z mojego artykułu w prasie zachodniej. Poprosił o pełny tekst. Posłałem mu, załączając przy tym Pański artykuł na ten sam temat. Czy raczył odpowiedzieć?*

— Ani słowa oczywiście. Mniejsza o mnie, ale laureat nagrody pokojowej Nobla zasługiwał chyba na kilka słów. Dysydenci to nie jest odpowiednie towarzystwo dla dżentelmenów z komitetów olimpijskich. Na Wschodzie są to działacze partyjni, przeważnie zresztą z KGB; na Zachodzie — starszawi panowie, samo-nominaci, dobierający się na zasadzie absolutnie niekontrolowanej kooptacji, których racja bytu polega przecież na tym, aby igrzyska się normalnie odbywały. Za wszelką cenę. Nawet za cenę upokorzenia i niewoli tysięcy ludzi. Nic dziwnego, że Sacharow odpowiedzi od lorda nie dostał. Dostał natomiast odpowiedź z Kremla. Został zesłany do Gorki. Gdyby lord zechciał więc jeszcze odpowiedzieć, to musi zmienić adres na kopercie. Może znowu Pana poprosi o nowy adres?

— *Może, ale wątpię. Spotkałem zresztą kilku czcigodnych panów, w tym naukowców, którzy dziwili się z niesmakiem, o co ten cały szum. Gorki, cytowali oni swych sowieckich kolegów, to nie Syberia, Sacharow jest wolny i może pracować naukowo...*

— *Popracowaliby oni w tych warunkach i w tej wolności...*

— *Bądźmy sprawiedliwi. W tej sprawie lord nie jest osamotniony. Inni Anglicy nie byli lepsi. Na przykład w komisji praw człowieka ONZ w Genewie...*

— *Tak, to okropne i odrażające. ZSSR zrezygnował tam z podjęcia sprawy sytuacji w Irlandii Północnej, a Anglia zgodziła się na odroczenie o rok dyskusji nad sprawą Sacharowa. Rok to 365 dni. Do dyskusji nad casus Sacharow być może już się nie wróci, to człowiek zmęczony, Gorki daleko, miasto dla zagranicznych dziennikarzy zamknięte... W Hamburgu było podobnie.*

— *Pan ma na myśli tzw. „forum naukowe”?*

— *Tak, Hamburg to była ogromna szansa, naukowcy w ZSSR to kasta wrażliwa na przywileje i na kontakty z Zachodem. Otóż do Hamburga zjechało 400 mniej lub bardziej prawdziwych naukowców. Pierwsze trzy dni były obiecujące: zachodni uczeni, w tym laureaci Nobla, tłumaczyli Rosjanom, że dopóki Sacharow jest na zesłaniu, mowy nie ma o normalnej i rozsądnej współpracy. Potem ci najważniejsi wyjechali. Po 14 dniach dyskusji pozostali uchwalili rezolucję, w której jest co prawda aluzja do praw człowieka i wolności nauki, ale nazwisko Sacharowa nie jest nawet wspomniane. Powtórzyła się więc historia z konferencji w Belgradzie, gdzie komunikat końcowy nie wspominał nawet o prawach człowieka. Wynik jest taki sam. Po Belgradzie nastąpiła czystka, z której ruch dysydencki właściwie już się nie podniósł. Po Hamburgu sytuacja Sacharowa jeszcze się pogorszyła, nie mówiąc już o innych naukowcach przebywających już w gułagu: Szczarański, Orłow czy Kowaliow...*

— *Nie byłem w Hamburgu, ale niektórzy tzw. eksperci, którzy tam byli, przekonywali mnie, że forum i rezolucja końcowa były właściwie sukcesem Zachodu. Sowietci usłyszeli sporo prawdy, a rezolucja, która została w trakcie nocnych maratonów na Sowietach wymuszona, porusza jednak problem praw człowieka, wolności nauki, swobody podróży i kontaktów...*

— *To ogólniki, to nic nie kosztuje. A przede wszystkim, kto o tym wie? Nawet na Zachodzie o tym forum mało pisano. W Moskwie w ogóle nic, albo fałszywie. Według Moskwy delegacja z forum wróciła z tarczą: zniweczyła zachodni spiszek i nazwisko Sacharowa w komunikacie nie figuruje. Zachód się jeszcze raz ośmieszył. Co za naiwność. Po deportacji Sacharowa udało się nakłonić sześciu laureatów Nobla wykładających w Cambridge do podpisania listu protestacyjnego. Ale kto widział*

ten list. Tylko Breżniew, do którego był adresowany, laureaci odmówili bowiem ujawnienia treści i nazwisk. Kto w Pińsku i Pskowie wie, że był taki protest, kto wie o Hamburgu, kto wie o Afganistanie, kto poza matkami i żonami zabitych wie, że wracają trumny. Bojkot olimpiady to najlepsze *mass-medium*, tylko bojkot może ludzi sowieckich o tym wszystkim szybko i skutecznie poinformować. Ale co ja to Panu mówię, Pan to wie...

— Ale inni nie wiedzą, od Pana przyjmą to inaczej niż ode mnie. Twierdzą, że miesza sport i politykę.

— I słusznie, ale to nie Pan pierwszy miesza. To Sowietci. Dyskusja nad polityzacją sportu to absurd. Sport to jest polityka. Moskwa tego nie ukrywa. „Notatnik agitatora” napisał niedawno, że powierzenie ZSSR organizacji olimpiady to „potwierdzenie historycznej słuszności sowieckiej polityki zagranicznej”. Z Afganistanem włącznie... W każdym razie, jeżeli to prawda, że sportowcy nie powinni mieszać się do polityki, to nie powinni wobec tego jechać do Moskwy, bo startując w tych warunkach w Moskwie uprawiają politykę i to taką najgorszą. Ślepą. Przeciw sobie.

— Artykuł, który mi Pan przysłał, kończył się dramatycznie: organizowanie olimpiady w Moskwie — mówił Pan — to błąd polityczny, podłość moralna i zbrodnia na sprawiedliwość...

— Tak, i podtrzymuję to. Afganistan, setki aresztowań w Moskwie, masowe oczyszczanie stolicy ze „spekulantów, prostytutek i dysydentów”, jak to ładnie sformułował moskiewski komitet partii, deportacja „agitatorów” żydowskich, pierwsze od 7 lat, ale liczne aresztowania w Estonii (Tallin — miasto olimpijskie). Pan pamięta może rok 1957. Przed światowym festiwałem młodzieży usunięto z Moskwy tysiące ludzi. Większość nie wróciła. Pan pamięta może rok 1971. W czasie uniwersjady odbyły się demonstracje, a nawet mini-pogromiki anty-żydowskie, publiczność na meczach Izraela składała się głównie z żołnierzy i KGB-istów. Niech Pan to swoim czytelnikom przypomni. To się powtórzy...

— Właśnie przypominałem, że to ZSSR pierwszy w historii zastosował i proklamował pełny bojkot olimpijski z powodów politycznych. Stało się to w Amsterdamie w roku 1975, czyli nie tak dawno i nie tak daleko. P. Jurij Auerbach, ówczesny prezes sowieckiej federacji szachowej, ogłosił wtedy, że ZSSR nie weźmie udziału w olimpiadzie szachowej w Haifie z powodu konfliktu izraelsko-libańskiego. Państwa socjalistyczne i arabskie oczywiście się przyłączyły. Ale precedens na tym się nie kończy. Sowietci bojkotują obecnie wszystkie turnieje szachowe (z wyjątkiem mistrzostw świata, gdzie muszą bronić tytułu), w których uczestniczy Wiktor Korcznoj, bezpaństwowiec, zbieg a na doda-

tek Żyd. Moskwa jednak nie piętnuje w tym przypadku związku sportu i polityki, chociaż stawia organizatorów turniejów przed haniebnym wyborem moralnym.

— Czy ktoś protestował?

— Nie słyszałem.

— A jakie było wobec bojkotu w Haifie stanowisko obecnych przeciwników bojkotu w Moskwie?

— Nie wiem.

— Podwójna miara, finlandyzacja...

— A propos, co Pan myśli o konferencji w Madrycie? Czy zgadza się Pan ze zdaniem przewodniczącego Hua Guofenga, które zacytowałem w moim wywiadzie z Dżilasem w poprzedniej Kulturze, że Moskwa nie potrzebuje już 3-ciej wojny światowej, bo swoje cele uzyskuje łatwiej i taniej w ramach *détente*?

— Nie znam Dżilasa, choć bardzo bym chciał go poznać. To przez niego poszedłem pierwszy raz do kozy. KGB znalazł u mnie odbitki nielegalnie kursującej wówczas „Nowej klasy”. Ale nie mam do niego urazy, bardzo go podziwiam. Co do Hua, którego mniej podziwiam, to nie można mu odmówić racji. *Détente* się rzeczywiście bardzo Sowietom przydała.

— Jechać do Madrytu czy też bojkotować?

— Jechać! To wspaniała okazja. Oczywiście jeżeli nie powtórzy się kapitulacja z Belgradu...

— W tzw. kołach dyplomatycznych Brukseli mówi się o francuskim projekcie odroczenia konferencji. Francja dementuje, ale jej chyba rzeczywiście chodzi o uniknięcie — z powodu praw człowieka i Afganistanu — zerwania i dalszego pogorszenia sytuacji międzynarodowej.

— Francji chodzi chyba bardziej o jej handel z Rosją niż o sytuację międzynarodową a zwłaszcza o prawa człowieka. Czy można sytuację pogorszyć? Nie wiem, to Pańska specjalność...

— Wszystko można pogorszyć. Niektórzy twierdzą w związku z tym, że nie należy dolewać oliwy do ognia. P. Wehner z SPD w Bonn twierdzi np., że uzbrojenie sowieckie ma charakter defensywny i że Rosja nie mogła nie interweniować, w obronie własnej, w Afganistanie. Ludzie tacy jak on — a są wszędzie — twierdzą, że należy popierać kremlowskie gołębie w ich sporze z kremlowskimi jastrzębiami...

— Upór Zachodu w przeszczepianiu na sowiecki grunt różnych fantazji i stereotypów byłby zabawny, gdyby nie był taki

groźny. Kreml to nie gołębnik, taki podział jest absurdalny. Przypomina mi moje własne śledztwo. Przesłuchiwało mnie na zmianę dwóch oficerów KGB. Pierwszy, nazwijmy go Iwan Iwanowicz, był chamski, ordynarny, skory do bicia, wrzeszczał i wymyślał, aż mury się trzęsły. No, taki jastrząb. W momencie kulminacyjnym wkraczał drugi oficer, nazwijmy go Leonid Leonidowicz. Wchodził i mówił: „No, Iwan Iwanowicz, tak nie należy, z Bukowskim trzeba spokojnie i kulturalnie, to rozumny człowiek, wszystko powie bez bicia...”. To był właśnie gołąb.

— *Georges Marchais uważa, że KGB to same gołębie. Sekretarz generalny francuskiej partii komunistycznej, który uważa, że wojska sowieckie bronią Afganistanu przed zwolennikami „prawa pierwszej nocy” stwierdził, iż dysydenci którzy znaleźli schronienie we Francji „nawet dobrze wyglądają”. Co prawda na salę gdzie Marchais te poglądy wygłaszał jego ochrona nie wpuściła Pluszcza, który ciągle źle wygląda, ale Pana powinni byli nie tylko wpuścić, ale nawet zaprosić. Utył Pan, odpukać, na kapitalistycznym wikcie...*

— Faktycznie, utylęm, bo nie zdążyłem jeszcze przystosować się do niegułagowego jedzenia. A panu Marchais życzę, żeby spędził nie moich 12 lat, ale 12 dni w pensjonacie więzienia we Włodzimierze, a potem zobaczymy jak on będzie wyglądać. Dopiero wtedy warto by wymienić poglądy...

— *On z Panem nie będzie chciał nic wymieniać. Dla niego także nie stanowi Pan dobrego towarzystwa. P. Marchais nie po raz pierwszy i nie tylko na temat pańskiej osoby zgadza się właściwie z gen. Cwigunem. Dla Cwiguna i Marchais będzie Pan zawsze prymitywnym i zoologicznym antykomunistą.*

— Nie jestem antykomunistą, ani w ogóle żadnym anty. Po prostu nie lubię i nie ufam pewnym ideom, bo doprowadziły one świat do katastrofy. Mocne ideologie zakładają mocne środki. Wie pan jak się to odbywa, i jak się kończy...

— *Nalepki się Pan nie pozbędzie już nigdy. Zawsze się znajdują durnie albo świnię, które oskarżać Pana będą o sprzedanie się obozowi przeciwników pokoju i postępu, o przynależność do obozu prawicy...*

— No i co z tego. Na durni nie ma rady, świnię robią co im się każe. Natomiast reszcie, normalnym ludziom odpowiadam, że nie reprezentuję ani obozu lewicy, ani obozu prawicy, a reprezentuję, i zawsze będę o tym pamiętać, tylko obóz koncentracyjny.

Leopold UNGER

Pisane 12 kwietnia 1980.

Wielka niewiadoma sankcji gospodarczych

W ramach szeregu pociągnięć politycznych, stanowiących reakcję na sowiecką okupację Afganistanu, prezydent Carter zarządził selektywne sankcje gospodarcze wobec Związku Sowieckiego. Dotyczą one w tej chwili głównie dostaw zboża, nawozów fosforowych oraz transferu tak zwanej „wysokiej technologii”. Ograniczenie połowów sowieckich wewnątrz strefy 200 mil (370 km) wzdłuż brzegów Stanów Zjednoczonych spowodowane było zapewne bardziej chęcią odsunięcia sowieckich statków podsluchowych na nieco dalszą odległość niż próbą wywarcia presji gospodarczej, ponieważ wpływ tego zarządzenia na wielkość połowów jest wprost minimalny.

Ograniczenie eksportu zboża jest rzeczą znacznie poważniejszą. Nie dotyczy ono zresztą całości dostaw, wyłącza bowiem 6-8 milionów ton, jakie Stany Zjednoczone zobowiązały się dostarczać a ZSSR nabywać każdego roku bez względu na wysokość zbiorów w danym roku. Zakaz wywozu dotyczy więc jedynie tej ilości zboża, jaką Związek Sowiecki byłby gotów nabyć ponad tę zagwarantowaną wielkość. Ponieważ nie wiadomo, jaka ilość wchodziłaby w grę, trudno dokładnie ustalić ile obejmuje zakaz. Wiadomo, że w roku 1979 produkcja globalna w rolnictwie (marksiściowski koncept statystyczny zawierający wiele duplikacji w obliczaniu) obniżyła się o 4 %. Zbiory zbóż wyniosły około 179 milionów ton. Był to spadek o ponad 31 milionów w stosunku do zbiorów osiągniętych w 1978 roku, kiedy według oficjalnych danych zebrano 120,8 mln ton pszenicy, 62,1 mln ton żyta, 18,5 mln ton owsa i 9,0 mln ton kukurydzy, razem 210,4 mln ton. Ponieważ plan na rok 1979 zakładał produkcję 220 mln ton, niedobór wyniósł około 41 mln, czyli 18,6 % planowanych zbiorów. W tej sytuacji oblicza się, że Związek Sowiecki starałby się sprowadzić z zagranicy poważną ilość zboża. Według opinii specjalistów amerykańskich ilość objęta sankcjami wynosi w tym roku co najmniej 17 mln ton (5 mln ton pszenicy oraz 12 mln ton kukurydzy). Może ona być jednak w rzeczywistości znacznie wyższa.

Ponieważ większość dostaw powyżej ustalonych długoterminową umową ilości byłaby sprowadzona na paszę dla bydła, trzody i drobiu, nie należy oczekiwać, że z powodu braku dodatkowych dostaw amerykańskich w ZSSR zabraknie w najbliższym czasie chleba. Może natomiast nastąpić w ciągu roku spadek produkcji mięsa o co najmniej 5 %, a być może nawet o 20 %. Spadek ten nastąpiłby po latach niepowodzeń na tym odcinku. Produkcja mięsa spadła z 15 mln ton w 1975 do 13,4 mln w 1976 i 14,8 mln w 1977, aby wreszcie dopiero w 1978 ponownie przekroczyć poziom 1975 roku (15,2 mln ton).

Ograniczenie eksportu zbóż ze Stanów Zjednoczonych nie stwarza dla ZSSR sytuacji katastrofalnej, szczególnie że pewną ilość towarów pochodzenia rolniczego będzie zapewne mógł otrzymać z innych krajów. Na przykład nie wiadomo jeszcze czy Komisja Europejska sprzeda w tym roku 8.000 ton subwencjonowanego masła, chcąc w ten sposób zmniejszyć szybko starzejące się i kosztowne do magazynowania zapasy. Przy spadku produkcji zwierzęcej każda dostawa produktów może się okazać bardzo ważna.

Zmniejszenie dostaw amerykańskich nie spowodowałoby zapewne zamieszek ani jakichkolwiek form otwartego protestu nawet gdyby nie było częściowo skompensowane dostawami zboża czy żywności z innych źródeł. Braki w aprowizacji utrudniłyby jednak bardzo niezmiernie obecnie ważną kampanię, zmierzającą do zwiększenia wydajności pracy w całej gospodarce. System bodźców materialnych załamuje się bowiem, jeżeli zwiększone dochody pieniężne spotykają się z brakiem dóbr konsumpcyjnych na rynku. Zwłaszcza zwiększenie dostaw mięsa miało odegrać wielką rolę w tej dziedzinie, według niedawnego oświadczenia Breżniewa.

W 1979 roku produkt materialny netto („dochód narodowy wytworzony” według terminologii marksistowskiej) zwiększył się tylko o 2 % wobec planowanego wzrostu o 4,3 %, a produkcja przemysłowa o 3,4 % wobec planowanych 5,7 %. Ponieważ przy obecnym poziomie technologicznym ZSSR odczuwa brak sił roboczych, wzrost gospodarczy zależy w dużym stopniu od wzrostu wydajności pracy; zależność ta będzie się przynajmniej przez jakiś czas jeszcze pogłębiać. Właśnie na odcinku podniesienia wydajności pracy sytuacja w 1979 roku okazała się wręcz katastrofalna. Osiągnięto wzrost o 2,4 % przy zaplanowanym wzroście o 4,7 %. Każde uszczuplenie dostaw dóbr konsumpcyjnych, a w szczególności mięsa, może w przyszłym roku i latach następnych utrudnić osiągnięcie wyższej stopy wzrostu wydajności pracy, a niewystarczający wzrost wydajności pracy musi się, przy braku szybkiego wzrostu sił roboczych, niekorzystnie odbić na stopie wzrostu produktu narodowego.

Niemożliwość złagodzenia niedostatków w rolnictwie poprzez import zboża i żywności z zagranicy ma jeszcze i inne znaczenie. Rolnictwo sowieckie ciągle nie może wydobyć się ze stagnacji wywołanej całym splotem różnych czynników. Największą rolę odgrywa tu niewątpliwie instytucyjna struktura nie tylko kolektywizowanego, ale i ogromnie zbiurokratyzowanego rolnictwa, podlegającego niezmiernie sztywnym formom planowania i kontroli administracyjnej. Nie należy oczekiwać, że trudności spowodowane obciążeniem małych stosunkowo dodatkowych dostaw zboża mogłyby popchnąć przywódców do większych zmian systemowych, aczkolwiek na dłuższą metę staną się one zapewne nieuniknione. Są jednak inne powody trudności w rolnictwie sowieckim. Długoletnie niedoinwestowanie, niski status zawodu rolnika i względnie niskie zarobki, brak odpowiednich warunków

bytowych, niedorozwój sieci komunikacyjnej i transportowej, magazynów, stacji naprawczych i dostaw części zapasowych oraz różnych usług, bez których nie może funkcjonować nowoczesne rolnictwo, wszystkie te czynniki krepują możliwość zwiększenia produkcji rolnej.

Dostawy zboża i żywności z zagranicy pozwalały dotychczas na wolniejsze zwiększanie nakładów na rolnictwo i jego infrastrukturę niż byłoby to konieczne dla osiągnięcia wyższej produkcji w krótszym czasie. Pozwalały one na bardziej stopniowe odrabianie zaległości. Już dziś sowieckie rolnictwo jest wysoce kapitałochłonnym sektorem gospodarki, pochłaniającym duże ilości środków. Bez zapewnionych dostaw zagranicznych, asekurujących przyszłe niedobory, trzeba będzie prawdopodobnie przerzucić nań jeszcze większe środki dla jak najszybszego poprawienia sytuacji aprowizacyjnej. Oznacza to, że mniej środków będzie do dyspozycji na innych odcinkach. Może to odbić się negatywnie na stopie wzrostu gospodarki.

Innymi słowy sankcje amerykańskie w postaci zakazu dodatkowych dostaw zboża do ZSSR nie stworzą sytuacji krytycznej, ale niewątpliwie mogą się przyczynić do dalszego skomplikowania i tak już trudnej sytuacji gospodarczej. Wpływ ten będzie oczywiście tym mniejszy, im bardziej zmniejszenie dostaw amerykańskich będzie skompensowane zwiększeniem dostaw z innych źródeł.

Identycznie przedstawia się sprawa z zakazem eksportu nawozów fosforowych. Waga tego zarządzenia polega zresztą głównie na tym, że anuluje ono jedno z największych przedsięwzięć wymiennych typu kompensacyjnego jakie powstały na początku lat siedemdziesiątych, w okresie ogólnego optymizmu co do przyszłego rozwoju *détente*. Amerykańska firma Occidental Petroleum zobowiązała się dostarczyć w ciągu 20 lat nawozów fosforowych o ogólnej wartości 20 mld dolarów w zamian za ustaloną wielkość rocznych dostaw amoniaku, wyprodukowanego zresztą dzięki temu, że Stany Zjednoczone sprzedały Związkowi Radzieckiemu kompletne zakłady przemysłowe i udzieliły pomocy technicznej w ich uruchomieniu. Był to jak gdyby sztandarowy kontrakt stosunków gospodarczych między Zachodem i krajami komunistycznymi. Znaczenie gospodarcze zakazu eksportu nawozów fosforowych wydaje się jednak minimalne. ZSSR będzie bowiem zapewne mógł otrzymać analogiczne ilości nawozów zwiększając import z Tunisu i Maroka, a zmniejszone w wyniku tego dostawy z tych krajów do Indii, Indonezji i Brazylii zostaną zaspokojone przez Occidental, która już czyni w tej sprawie odpowiednie starania.

Nastąpi więc po prostu przetasowanie powiązań handlowych, zmiana partnerów. Efekt końcowy dla gospodarki sowieckiej okaże się jednak najprawdopodobniej zerowy.

Nie wiadomo również jaki wpływ będzie miał zakaz transferu wybranych elementów „wysokiej technologii”. Ilościowo jest to mała część ogólnej wartości amerykańskiego eksportu do ZSSR.

Cały amerykański eksport zwiększył się z 2,25 mld dol. w 1978 roku do 3,6 mld dol. w 1979, czyli o 60 %. W tym wartość dostaw towarów rolniczych wzrosła z 1,7 mld w 1978 r. do 2,9 mld dol. w 1979 r., czyli o 41 %. Towary przemysłowe stanowiły tylko małą część ogólnego eksportu: 563 mln dol. w 1978 r. i 749 mln dol. w 1979 r. Największy eksport towarów przemysłowych do ZSSR miał miejsce w 1976 r. i wynosił 819 milionów dolarów.

Fakt, że ogólna wartość amerykańskiego eksportu towarów pochodzenia przemysłowego do ZSSR nigdy nie była duża nie oznacza, że import ten nie był ważny dla dalszego rozwoju Związku Sowieckiego. Właśnie dlatego, że wzrost gospodarki zależy teraz w poważnym stopniu od wzrostu wydajności pracy, znaczenia nabiera rola importu technologii z Zachodu. ZSSR stoi przed koniecznością modernizacji wielu dziedzin i rozwoju szeregu nowych gałęzi przemysłowych. Produkcja tworzyw sztucznych, wielu produktów petrochemicznych i elektronicznych, nowoczesnej komunikacji i informatyki ciągle jeszcze jest niedostatecznie rozwinięta. Spośród wyżej wymienionych produktów wiele jest niezbędnych dla wprowadzenia nowej technologii, bez której nie tylko nie można odpowiednio szybko zwiększyć wydajności pracy ale i obniżyć zużycia energii i surowców na jednostkę produktu narodowego.

Jak wskazuje załączona tabela, w ogólnym imporcie z rozwiniętych krajów zachodnich import maszyn i urządzeń reprezentował w ZSSR w latach siedemdziesiątych około połowy całego importu, a jego rola zwiększyła się znacznie w ostatnich latach. Są to głównie maszyny i urządzenia dla przemysłu, transportu, administracji i zarządzania, komunikacji, służby zdrowia i rolnictwa. Aczkolwiek importowane maszyny reprezentują w ZSSR niewielką zaledwie część całości maszyn i urządzeń oddawanych do użytku, odgrywają one niewspółmiernie większą rolę niż wskazywałaby na to ta proporcja. Są to bowiem maszyny których Związek Sowiecki w tej chwili albo w ogóle nie produkuje, albo nie produkuje w odpowiedniej ilości lub jakości, często takie, których produkcja wymaga wyspecjalizowanej wiedzy i umiejętności technicznych. Rozwinięcie takiej produkcji w większości wypadków wymaga czasu i wysokich kosztów, wymagałoby zatem przesunięcia środków przeznaczonych na rozwijanie produkcji w innych dziedzinach. Niewielka nawet ilość takich maszyn sprowadzonych z zagranicy może czasem rozszerzyć jakieś wąskie gardło i „odkorkować” cały proces produkcyjny, który dotychczas był zatrzymany lub zwolniony przez ich brak. Korzyści produkcyjne dla gospodarki są w takim przypadku ogromne. Import produkcji jest wielokrotnie większy niż koszt dodanych maszyn. Jest to tak zwany mnożnik podaży, którego wartość w takich wypadkach może być bardzo wysoka. Podobnie zaoszczędzone przy pomocy nabytych za granicą maszyn siły robocze, szczególnie w dziedzinach, które wymagają specjalnie wykwalifikowanych i doświadczonych pracowników,

pozwalają nie tylko zwiększyć wydajność w danym dziale ale mogą przyczynić się do wzrostu produkcji w innych działach, do których można skierować zaoszczędzone siły robocze. To samo dotyczy zaoszczędzenia energii czy też surowców, szczególnie tych, które są specjalnie trudne i kosztowne do wyprodukowania. Możliwość produkcji nowych tworzyw sztucznych czy też specjalnych stopów metali może podwyższyć jakość np. maszyn i przyczynić się do znacznego podniesienia produkcji czy też zaoszczędzenia sił roboczych, energii i surowców.

Nie ulega wątpliwości, że Związek Sowiecki liczył w swoich planach rozwojowych na zachodnie dostawy, szczególnie dla podniesienia ogólnej wydajności gospodarki lub szybkiego rozwoju nowych działów produkcji, w których zarysowała się tak zwana luka technologiczna w porównaniu z Zachodem. Brak choćby niektórych z tych dostaw musi spowodować dalsze poważne zaburzenia gospodarcze. Na skutek istnienia „mnożnika podaży” działającego tym razem w odwrotnym kierunku, negatywne skutki mogą być wielokrotnie wyższe niż wartość nieotrzymanych maszyn, licencji czy pomocy technicznej. W niektórych wypadkach brak ten może spowodować „zakorkowanie” całych procesów produkcyjnych. Brak oczekiwanych maszyn może więc przyczynić się do dalszego obniżenia i tak już bardzo osłabionego tempa wzrostu i nie pozwolić na podniesienie wydajności pracy oraz na większą oszczędność w użyciu energii i surowców.

W takiej sytuacji dziedziny produkcji o wysokim prioryecie — z punktu widzenia wojskowego na przykład — będą na pewno miały pierwszeństwo w otrzymywaniu najlepszych materiałów, maszyn i urządzeń jakie krajowa „baza naukowo-techniczna” może wypracować a przemysł wyprodukować, oraz najlepszych specjalistów i wykwalifikowanych pracowników. Jeżeli nie zostanie dostarczona pewna ilość materiałów, maszyn, licencji czy pomocy technicznej, niezależnie od tego dla jakich działów były one przeznaczone, nastąpi przesunięcie sił i środków. Wysokopriorytetowa produkcja będzie utrzymana, a brak „wysokiej technologii” odbije się głównie na sowieckim konsumencie, który w przeszłości takie ograniczenia przyjmował bez oporu, ale w większości wypadków odpowiadał mało wydajną pracą.

Nawet gdyby wszystkie rozwinięte kraje zachodnie, Europa Zachodnia, Stany Zjednoczone, Kanada i Japonia solidarnie wstrzymały dostawy maszyn i narzędzi, licencji i pomocy technicznej, nie wydaje się, aby gospodarka sowiecka miała się nagle załamać. ZSSR nie zostałby więc powalony na kolana i zmuszony do pertraktacji. Jednakże sytuacja gospodarcza, która od lat staje się coraz gorsza, musiałaby się jeszcze znacznie pogorszyć, co by się przede wszystkim odbiło negatywnie na standardzie życiowym ludności. Wyniki gospodarcze osiągnięte w 1979 roku były najgorsze ze wszystkich osiągniętych od chwili zakończenia drugiej wojny światowej. Przychodząca w tym właśnie momencie i solidarnie przeprowadzona blokada eksportu ma-

szyn itp. musiałyby mieć bardzo poważne negatywne skutki dla dalszego wzrostu gospodarczego.

Jest oczywiście rzeczą wątpliwą, czy blokada tego rodzaju byłaby politycznie możliwa w okresie pokoju, kiedy recesja na rynkach zachodnich zachęca do eksportu na rynki krajów komunistycznych. Sankcje zastosowane przez jeden kraj zachodni nie mają w gruncie rzeczy szans powodzenia, bo Związek Sowiecki może przesunąć zakupy danego rodzaju maszyn ze Stanów Zjednoczonych do Japonii czy Francji, szczególnie że Stany Zjednoczone nie są najważniejszą dostawcą maszyn i urządzeń dla ZSSR. Jeżeli takie przesunięcie nastąpi, amerykańskie sankcje w zakresie „wysokiej technologii” staną się bezskuteczne.

Cały problem sprowadza się więc do pytania, czy Stany Zjednoczone mają monopol w jakichś dziedzinach „wysokiej technologii” oraz czy będą w stanie przekonać partnerów, bądź wywrzeć na nich presję aby zapobiec przesunięciu, które teoretycznie jest możliwe.

Zagadnienie to było przedmiotem ożywionej dyskusji w amerykańskich kołach rządowych i naukowych już od lat, w związku z próbą wypracowania racjonalnej polityki w dziedzinie transferu technologii do ZSSR*.

Na ogół uważa się, że istnieją jedynie dwa działy, w których Stany Zjednoczone mają całkowitą przewagę w zakresie technologii istotnej dla ZSSR, nie licząc technologii wojskowej, która zawsze podlegała zakazowi wywozu. Jest to produkcja komputerów i całych systemów tak zwanych miękkich towarów, które umożliwiają ich wydajne zastosowanie do rozwiązywania różnych problemów, oraz maszyny i urządzenia do poszukiwań ropy naftowej i jej wydobywania w specjalnie trudnych warunkach. Obydwa działy są dla Związku Sowieckiego niezmiernie ważne. Od pierwszego z nich zależy nie tylko automatyzacja i racjonalizacja produkcji, transportu, komunikacji, zarządzania i administracji ale również postęp w zakresie prac naukowych i rozwojowych. Pomimo stosunkowo szybkiego postępu, jaki ZSSR zrobił w tej dziedzinie w ostatnich latach ciągle jeszcze pozostaje on w tyle. Stany Zjednoczone utrzymały swój monopol w takich dziedzinach technologii komputerowej jak na przykład „integracja wielkiej skali”, wysoko-częstotliwe krążki magnetyczne czy precyzyjne metody konieczne do produkcji niektórych części.

Jedynie Japonia zbliża się w tych dziedzinach do poziomu amerykańskiego. Gdy chodzi jednak o mniej zaawansowane komputery, ilość producentów się zwiększa. Amerykańska decyzja niesprzedania wysoce sprawnego komputera dla sowieckiej agencji prasowej TASS (na znak protestu przeciwko prześladowaniu dysydentów) zmusiła Związek Sowiecki do zakupu mniej sprawnego komputera, jaki Francja zaofiarowała bez zastrzeżeń.

Jeżeli chodzi o maszyny i sprzęt dla poszukiwań i wydoby-

wania ropy naftowej, jest to dla Związku Sowieckiego jeden z najbardziej kluczowych problemów lat osiemdziesiątych. Obecnie eksploatowane pola naftowe szybko zmniejszają swą produkcję, za wyjątkiem bogatych zasobów zachodniej Syberii. Otwarcie nowych pól na dalekiej północy i na wschodzie staje się konieczne nie tylko dla osiągnięcia przyrostu produkcji, ale nawet dla utrzymania jej obecnego poziomu. W 1979 roku produkcja wyniosła 12,1 mln baryłek na dzień wobec planowanej produkcji 12,8 mln. Różnica na pozór niewielka, ale staje się niedoborem, który stwarza wiele kłopotów dla planistów. Związek Sowiecki nie posiada technologii wierceń w warunkach polarnych ani technologii niezbędnej dla produkcji odpowiedniego sprzętu. Tylko Stany Zjednoczone mają tę technologię. Jednakże ZSSR zdołał zakupić w Stanach Zjednoczonych wszystko właściwie, co mu w tej dziedzinie będzie potrzebne do połowy lat osiemdziesiątych. Nastąpiło to po 1972 roku, w wyniku euforii spowodowanej mirażem *détente*.

Oslabia to obecnie skuteczność zarządzonych sankcji, ale nie niweluje kompletnie ich efektu. Wszystko wskazuje na to, że kontrakt na 144 mln dolarów, w ramach którego firma amerykańska Dresser Industries zobowiązała się dostarczyć technologię i gotowe fabryki dla produkcji specjalnego sprzętu wiertniczego zostanie zamrożony. Tylko około jednej trzeciej maszyn i urządzeń zostało dostarczonych albo znajdowało się w transporcie w momencie gdy przyszedł zakaz eksportu.

Spowoduje to konieczność poczynienia zmian w planach i może opóźnić poszukiwania i produkcję, a w konsekwencji przyspieszyć spadek produkcji ropy naftowej w Związku Sowieckim. Ale i tutaj maszyny i ekwipunek jaki ZSSR może otrzymać od innych krajów OECD stanowić mogą pewnego rodzaju namiastkę.

Jest wiele innych działów, na przykład mikroelektronika, pewne procesy automatyzacji produkcji, transportu czy komunikacji, niektóre działy przemysłu lotniczego, samochodowego, „agrobusinessu” i ogólnej organizacji pracy i zarządzania, w których Amerykanie ciągle jeszcze przodują. We wszystkich tych dziedzinach różnice pomiędzy maszynami czy rozwiązaniami jakie istnieją w Stanach Zjednoczonych a tymi jakie można otrzymać z innych krajów OECD są jednak jeszcze mniejsze.

Z tego właśnie względu w amerykańskich kołach rządowych i naukowych panuje na ogół sceptycyzm jeżeli chodzi o możliwość zastosowania skutecznej amerykańskiej blokady transferu technologii bez współpracy innych rozwiniętych krajów na Zachodzie.

Jednakże wiele z tych produktów czy procesów które ZSSR zakupuje u innych krajów zachodnich jest produkowane przez filie przedsiębiorstw amerykańskich, na podstawie amerykańskich licencji albo przy pomocy części sprowadzonych ze Stanów Zjednoczonych. Daje to rządowi amerykańskiemu możliwość wywierania pewnej presji, która w praktyce może się okazać bardziej skuteczna niż się na ogół przyjmuje, szczególnie jeżeli

* *Technology and East-West Trade*, Washington D.C.: Congress of the United States, Office of Technology Assessment, 1979.

EKSPORT Z KRAJÓW OECD (OCDE) DO ZSSR
(Miliony dolarów amerykańskich)

Grupa towarów	1970	1971	1972	1973	1974	1975	1976	1977
Cały eksport	1946,4	1919,4	2431,3	3470,1	5823,7	9205,6	9643,2	10145,1
Eksport maszyn i urządzeń	1126,4	922,8	1222,8	1886,5	2495,3	4918,3	5663,3	6006,7
Procent w całym eksporcie	57,9	48,1	50,3	54,4	42,8	53,4	58,7	59,2
w tym maszyny i urządzenia dla: przemysłu	792,2	657,8	1022,5	1538,1	2045,7	3551,1	4223,9	4841,8
transportu	194,9	127,7	83,3	102,2	193,1	789,9	812,7	658,9
administrowania i zarządzania	19,6	21,0	25,5	28,7	23,7	46,4	55,4	41,9
komunikacji	17,0	7,0	10,9	16,5	20,8	21,9	28,1	30,3
służby zdrowia	5,5	8,4	8,8	12,4	17,8	27,1	32,6	33,0
rolnictwa	25,5	18,1	4,6	31,6	11,7	133,1	180,7	19,3

Źródło: materiały OECD.

amerykańskie przedsiębiorstwa-centrale udzieliłyby takiej akcji pełnego poparcia.

Sukces byłby jeszcze pewniejszy, gdyby dyplomacji amerykańskiej udało się doprowadzić do zwiększenia efektywności tak zwanego CoCom (*Coordinating Committee for Multilateral Export Controls*), czyli międzynarodowego komitetu, który istnieje od początku zimnej wojny i stara się kontrolować eksport technologii o bezpośrednim znaczeniu militarnym do krajów komunistycznych. Rozszerzenie listy towarów objętych zakazem wywozu ze wszystkich krajów należących do CoComu, czyli z USA i wszystkich rozwiniętych krajów w Europie mogłoby w znacznym stopniu uniemożliwić Związkowi Sowieckiemu przesunięcia importu ze Stanów Zjednoczonych do innych krajów.

Ponieważ nie można jeszcze nic powiedzieć ani o skuteczności presji, jaką Stany Zjednoczone mogą wywierać na filie amerykańskich przedsiębiorstw pracujących w innych krajach, czy też przez kanały powiązań licencyjnych i kooperacyjnych, włącznie z dostarczaniem maszyn i części, ani też o możliwościach wzmocnienia działalności CoCom, całe zagadnienie skuteczności amerykańskich sankcji gospodarczych wobec ZSSR pozostaje nadal wielką niewiadomą.

Zbigniew M. FALLENBUCHL

Korespondencja z Rzymu

Ukraińscy katolicy otrzymują prawo obywatelstwa

Zaledwie w trzy dni po rewokacji i aktualnej lekcji patrona Europy, tzn. 24 marca, zebrał się w Watykanie nadzwyczajny synod biskupów ukraińskich, zwołany przez Jana Pawła II. Jak do tego doszło?

20 listopada 1978 roku w czasie audiencji kard. Slipyj i biskupi ukraińscy złożyli Ojcu Świętemu memorandum, w którym prosili by ich Kościół uzyskał te same prawa (poza obrębem macierzy) z jakich korzystają katolickie patriarchaty wschodnie poza obrębem swej jurysdykcji terytorialnej (w północnej i południowej Ameryce istnieją diecezje grecko-melchickie i maronickie nie podlegając odnośnym patriarchatom na Bliskim Wschodzie, lecz bezpośrednio Stolicy Apostolskiej). Związek tych wspólnot wschodnich z ich patriarchatami określa się mianem *aggregazione* (status stowarzyszony)*. Kościół ukraiński powi-

* Istnieje tendencja by znajdująca się w toku (od wielu lat) reforma kodeksu Kościołów Wschodnich poszła w kierunku uznania jurysdykcji personalnej — nie tylko terytorialnej — patriarchów wschodnich.

nien — mimo braku ustroju patriarchalnego — korzystać z *sui generis* jurysdykcji patriarchalnej jako samorządny organizm kościelny. Kardynał Slipyj otrzymał bowiem od Pawła VI w 1963 roku tytuł Arcybiskupa Większego Lwowa dla obrządku bizantyjsko-ukraińskiego. Tytuł ten jest nieznanym w obrządku łacińskim. Według *Motu Proprio* Piusa XII *Cleri Sanctitatis* z 1957 roku (potwierdzającego ten tytuł dla stolicy metropolitalnej we Lwowie z bulli Piusa VII z 1807 r.), prawa arcybiskupa większego, zgodnie z kodeksem Kościołów Wschodnich, są niemal identyczne z prerogatywami patriarchów (w zakresie nominacji biskupów, erygowania diecezji, zwoływania synodów itp.). Gdyby nie przymusowa inkorporacja Kościoła ukraińskiego do Patriarchatu Moskwy i Całej Rosji poprzez samozwańczy synod w 1946 roku, kardynał Slipyj mógłby sprawować *quasi* patriarchalną jurysdykcję. Kościół ten znalazł się na obczyźnie w anormalnej sytuacji kanonicznej: jego 15 diecezji i egzarchatów apostolskich stanowi odseparowane jednostki bez żadnej więzi prawnej (próby nadania choćby namiastki takiej więzi, podejmowane na synodach zwoływanych przez kardynała Slipyja, nie były aprobowane w czasie pontyfikatu Pawła VI). Zasadnicze i umotywowane dezyderaty katolickiej hierarchii ukraińskiej, przedłożone w memorandum (jego treść nie została ujawniona), napotykały na życiwy stosunek Ojca Świętego. Dał temu wyraz w znanym liście z 19 marca 1979 roku do kardynała Slipyja z okazji rozpoczynających się przygotowań do jubileuszu Tysiąclecia Chrztu na Rusi-Ukrainie, jak również w przemówieniu w katedrze ukraińskiej w Filadelfii i podczas uroczystej konsekracji biskupa Lubaczewskiego. Kardynał Slipyj prosił Jana Pawła II o zwołanie synodu w czasie audiencji 7 lutego bież. roku. 18 marca ogłoszono, że „nadzwyczajny synod biskupów ukraińskich” odbędzie się 24 marca z jednym punktem porządku dziennego: „wybór koadiutora z prawem sukcesji arcybiskupa większego Lwowa dla Ukraińców”. W ten sposób dokonany został pierwszy krok w kierunku stałej formy kanonicznej jedności hierarchii tego Kościoła. Poprzez uznanie synodalnej kolegialności Kościoła ten stał się zunifikowaną całością. W tym świetle brak zadośćuczynienia roszczeniu Ukraińców do utworzenia patriarchatu nie ma zasadniczego znaczenia. Papież — jak się wydaje — stanął na stanowisku, że do całkowitego spełnienia postulatów katolików ukraińskich trzeba dojść stopniowo, uwzględniając wszystkie okoliczności prawne, historyczne i polityczne. Zwołanie tego synodu stanowi więc etap przejściowy na drodze do pełnego rozwiązania. Drugim motywem tego zwołania była chyba, ze strony papieża, chęć położenia kresu rozdzwiewkom w łonie samej hierarchii, podzielonej na stronników kardynała Slipyja i frakcję przeciwną („kreatury Kongregacji dla Kościołów Wschodnich”, jak ich do tej pory określał *establishment* skupiony wokół sędziwego kardynała).

Otwarcie synodu nastąpiło w Kaplicy Sykstyńskiej. Papież przewodniczył tej uroczystości, mszę św. koncelebrował kardynał

Slipyj łącznie z 14 biskupami (trzech nie przybyło z powodu złego stanu zdrowia). Właściwe obrady, które rozpoczęły się popołudniu i trwały zaledwie trzy godziny, odbywały się w tej samej sali, w której obradował niedawno synod biskupów holenderskich. Przewodniczył obradom papież. Jedynym przedstawicielem Kurii Rzymskiej był abp Silvestrini, sekretarz Rady d/s Publicznych Kościoła. Kardynał Slipyj złożył hołd papieżowi i wyraził mu wdzięczność za zwołanie synodu „ważnego wydarzenia dla zjednoczenia wszystkich naszych rozproszonych wiernych” oraz nakreślił *identikit* tego, kto ma być „godnym następcą metropolity Andrzeja Szeptyckiego i moim, niegodnego katorznika, w tym tragicznym dla nas stuleciu”. Przemówienie papieża, który podniósł zasługi Slipyja (17 lutego skończył 88 lat) w ciągu „tyłu lat służby i ofiary”, zawierało kilka istotnych punktów. Stwierdził mianowicie, że żywi głęboki szacunek i podziw dla tego Kościoła, śledzi uważnie „wieści o warunkach w jakich znajdują się wierni na Ukrainie i w diasporze”, wezwał duchownych i wiernych ukraińskich do nietracenia nadziei, albowiem „kary, cierpienia i wrogość stanowią wielką próbę, ale są również bodźcem do jeszcze większej wierności wierze, przywiązania do własnego obrządku, do antycznych tradycji, jednym słowem do własnej tożsamości duchowej”. Ta tożsamość nie powinna jednak — powiedział — stanowić w oczach braci prawosławnych oznaki antagonizmu i nieuznawania chwalebnych tradycji Kościoła Wschodniego”. Papież oświadczył, że zwołał synod dla „zabezpieczenia kontynuacji wysokiego urzędu arcybiskupa większego Lwowa i zarazem korzystania przez Katolicki Kościół Ukraiński z synodalnej jedności jako przejawu wspólnoty z Namiestnikiem Chrystusa”. Od tej chwili — sprecyzował — ukraiński abp większy „będzie mógł zwoływać, jeśli zajdzie konieczność, inne synody po uzyskaniu zgody papieża”.

Głosowanie odbyło się na podstawie tzw. „terna” czyli listy trzech kandydatów zgłoszonych przez każdego z uczestniczących biskupów. Po trzech dniach, tzn. 27 marca, „po długiej refleksji, papież ogłosił nominację, ujawniając, że wybrany na koadiutora kardynała Slipyja (z prawem sukcesji) abp Mirostaw Iwan Lubaczewski, metropolita Filadelfii, „jest pierwszym z przedłożonej *terna*”. Papież oświadczył, że nominat jest godny tego wysokiego stanowiska „ze względu na swą żarliwość pasterską, kompetencje naukowe oraz zalety skromności i pokory”. Do czasu wyboru nowego metropolity Filadelfii 66-letni abp Lubaczewski pozostanie na dotychczasowej placówce jako administrator apostolski. Przewiduje się, że najdalej we wrześniu bież. roku będzie zwołany synod zwyczajny, który wybierze jego następcę jak również następcę zmarłego w tych dniach biskupa Gabro w Chicago. Zarówno wybór nowych biskupów (z listy trzech kandydatów przedstawionej przez abpa większego, a nie tak jak do tej pory mianowanych przez papieża na wniosek Kongregacji dla Kościołów Wschodnich) jak i zatwierdzenie nowych norm liturgicznych, prawnych czy dyscyplinarnych wymagają

aprobaty papieskiej. Papież ogłosił decyzję o nominacji koadiutora z prawem sukcesji, ale wyboru dokonali biskupi ukraińscy i papież ten wybór potwierdził. Te czy inne więc wersje prasowe na temat rozdziewków co do kandydatur i oddanych głosów (głosowanie było tajne) na abpa Lubaczińskiego bądź na innych kandydatów są mało poważne i w zasadzie niewiarygodne. Nie wykluczone że kardynał Slipyj wskazał na innego kandydata (jak się zdaje na Ojca Lubomira Huzara, rektora seminarium studytów w Castelgandolfo). Większość biskupów uznała jednak prawdopodobnie, że nowy, zaczynający się rozdział w historii tego Kościoła wymaga postawienia na człowieka o profilu duchownym jaki reprezentuje abp Lubacziński. Kardynał Slipyj *nota bene* zna go dobrze. Wysłał go na studia uzupełniające w 1938 roku do Innsbrucku (ukończył gimnazjum w Stryju, studia na Akademii Teologicznej we Lwowie, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie z rąk metropolity Szeptyckiego). Lubacziński studiował w czasie wojny i aż do 1947 roku w Rzymie. Potem przeniósł się do USA, gdzie pełnił misję pasterską w różnych parafiach ukraińskich i wykładał na wyższych uczelniach amerykańskich i w seminariach ukraińskich. Przez pewien czas był sekretarzem metropolity Senyszyna w Filadelfii. W otoczeniu kard. Slipyja podkreśla się przymioty charakteru i kwalifikacje nowego koadiutora i nie ukrywając wdzięczności dla papieża („zrobił maksimum tego co było „możliwe”) przyrzeka się lojalną współpracę z nowym koadiutorem, oczekując, że zapewni nie tylko ciągłość kanoniczną, ale i ciągłość duchowej linii Kardynała.

Reasumując, znaczenie nadzwyczajnego synodu można sprowadzić do podwójnego uznania. Po pierwsze: prawa obywatelstwa dla katolików ukraińskich w ojczyźnie (gdzie oficjalnie „nie istnieją”) i zarazem trwałej formy jedności na obczyźnie. Po drugie: potwierdzenia, że tytuł arcybiskupa większego Lwowa nie jest *ad personam* tzn. przywiązany jedynie do osoby kard. Slipyja, lecz przysługuje głowie tego Kościoła. Komentator *Corriere della Sera* czyni następującą uwagę, wartą odnotowania: „Inicjatywa zwołania tego synodu wiąże się niewątpliwie z planami apostolskimi polskiego papieża, który jak sam oświadczył, odczuwa bardzo żywo solidarność pomiędzy Polakami i Ukraińcami, dwoma narodami, które wiele ucierpiały za wierność dla wiary chrześcijańskiej”.

Delegacja watykańska w Odessie i Moskwie

Nadzwyczajny synod ukraiński był bacznie obserwowany w Moskwie. Ogłoszenie o jego zwołaniu zbiegło się z wizytą delegacji watykańskiej zaproszonej przez patriarchat rosyjski do Odessy na piąte z kolei spotkanie ekumeniczne. Delegacja watykańska pod kierunkiem kard. Willebrandsa, przewodniczącego Sekretariatu d/s Jedności Chrześcijan (w skład delegacji wchodził dwaj biskupi i kilku ekspertów), interpelowana była w spra-

wie tego synodu i prawdopodobnie mogła dostarczyć swym rozmówcom uspakajających argumentów. Jak się wydaje, przedstawiciele patriarchatu rosyjskiego obawiali się najbardziej proklamowania patriarchatu ukraińskiego (co nie było przewidziane). Przeczuwanie ich w tej materii graniczy z obsesją ale tłumaczy się nie tylko racjami politycznymi, lecz moralnymi i kościelnymi. Filaret, metropolita prawosławny w Kijowie, jest tylko egzarchą patriarchy Pimena (Moskwy i Całej Rosji). Od czasu zniesienia autokefalii Cerkwi ukraińskiej aspiracje autonomiczne tamtejszych prawosławnych nie tylko nie wygasły, lecz przeciwnie nabrały w ostatnim czasie nowego wigoru. Istnienie zaś na Ukrainie Kościoła Katolickiego w podziemiu stanowi dla nich przypomnienie niezagojonej wciąż rany i budzi wyrzuty sumienia, co w takiej czy innej mierze sprzyja tendencjom do legalizacji wspólnoty unickiej (byłe tylko nie w funkcji antyprawosławnej). Z drugiej strony chroniczna słabość Cerkwi rosyjskiej, zmuszonej do ciągłych kompromisów i tracenia twarzy i podminowanej wewnętrzną kontestacją pcha prawosławną hierarchię niejako automatycznie do zacieśniania stosunków ze Stolicą Apostolską. Nowy pontyfikat nadał nieoczekiwaną dynamikę procesowi auto-afirmacji tożsamości tej Cerkwi (mówię wciąż o patriarchacie rosyjskim), który jest skądinąd alimentowany przez zjawisko ogólnego rozbudzenia religijnego. Niespodziankę stanowią pierwsze rysy jakie pojawiły się na monolitycznym stanowisku Cerkwi, identyfikującej się do tej pory zawsze ze stanowiskiem władz państwowych. Przewidziana w styczniu wizyta w Moskwie delegacji Światowej Rady Kościołów w Genewie nie doszła do skutku. Przedstawiciele tej Rady wypowiedzieli się przeciw sowieckiej agresji w Afganistanie. Dokument w tej sprawie podpisali nie tylko protestanci i anglikanie, ale również abp Kyril z Wyborga, rektor prawosławnego seminarium w Leningradzie i patriarcha prawosławny Ilia z Gruzji. Jest nie do pomyślenia aby zaangażowali się obaj tak odważnie nie czując poparcia własnej hierarchii (przynajmniej dużej jej części). Abp Kyril co prawda wycofał się później na skutek silnych nacisków, kiedy synod prawosławny w Moskwie 21 marca „pobłogosławił” Breżniewa i wypowiedział się przeciwko bojkotowi olimpiady. Pozostaje jednak fakt pierwszego dokonanego wycofania w ultra-konformistycznej postawie Cerkwi.

Wizyta delegacji watykańskiej, która wybrała ostrożniejszą linię postępowania niż Światowa Rada Kościołów, oznacza sukces dla hierarchii prawosławnej i rękojmnię, że proces zbliżenia będzie kontynuowany przy równoczesnej gwarancji że nie przekształci się w antysowiecką operację. Delegaci watykańscy odbyli również rozmowy z czynnikami oficjalnymi. Manifestowano wobec nich gotowość wyjścia naprzeciw zaangażowaniu papieża na rzecz pokoju i doprowadzenia do rokowań pomiędzy supermocarstwami. Stolica Apostolska stoi na stanowisku równorzędnego uwzględnienia dwóch innych partnerów: Chin Ludowych i Europy. Do tej pory władze sowieckie odrzucały jakąkolwiek

próbę *iunctim* pomiędzy pokojowym zaangażowaniem a uznaniem postulatów watykańskich w zakresie przywrócenia swobód religijnych, obsadzenia wakujących stolic biskupich na Litwie, mianowania biskupa na Białorusi i *last but not least* reaktywowania katolickiej hierarchii obrządku bizantyjskiego na Ukrainie. Sprawa legalizacji tego Kościoła może przybrać konkretne kształty jedynie w synchronizacji z dialogiem ekumenicznym z patriarchatem rosyjskim. Nazwisko jednego biskupa unickiego, żyjącego na dawnych ziemiach polskich, jest znane wtajemniczonym i daje pełne gwarancje lojalności. Są jednak i inni. Czy można wykluczyć, że w przypadku braku koadiutora z prawem sukcesji kardynała Slipyja Moskwa nie spowodowałaby nominacji „biskupa-patrioty”? Obawa taka zachodziła. Synod rzymski ostatecznie ją rozwiął.

Polskie wydanie „Osservatore Romano”

W Wielką Sobotę, 5 kwietnia, ukazał się tu pierwszy numer polskiego wydania *L'Osservatore Romano*. Na razie będzie wychodzić raz na miesiąc. Redaktorem tego wydania jest ks. Adam Boniecki MIC (marianin) z zespołu redakcyjnego *Tygodnika Powszechnego*, jego zastępcą Stefan Frankiewicz z zespołu redakcyjnego *Więzi*, pisarz i wykładowca teorii kultury na KUL-u. Numer o objętości 24 stron zawiera fragmenty wystąpień papieża z okresu styczeń-luty, kronikę watykańską i kilka pozycji publicystycznych. Na pierwszej stronie figuruje facsimile odręcznego pisma powitalnego Jana Pawła II i artykuł wstępny abpa Andrzeja Deskura, przewodniczącego Papieskiej Komisji dla środków społecznego przekazu. Jest to siódme wydanie językowe dziennika *L'Osservatore Romano* (inne edycje ukazują się raz na tydzień).

Kalendarz podróży papieskich

Program tegorocznych podróży Jana Pawła II będzie równie intensywny jak w ub. roku. Najpierw wyjazd do sześciu krajów Afryki od 2 do 12 maja, do Brazylii w dn. 13-19 lipca, na Filipiny w listopadzie. Niezależnie od tego papież odbędzie kilka wizyt pasterskich na terenie Italii: do Turynu 13 kwietnia, do Sieny we wrześniu, nie wykluczone są inne jeszcze wypadki. Zupełnie niespodziewanie doszła Francja, choć w przyszłym roku przewidziany jest wyjazd papieża do Lourdes na międzynarodowy kongres eucharystyczny. Na tę decyzję wpłynęły dwie okoliczności: obawa episkopatu francuskiego, że pielgrzymka papieża do Lourdes przyciągnęłaby zbyt wielkie tłumy, co mogłoby przyćmić jego udział w tym kongresie (główny cel planowanej wizyty), nie pozwalając równocześnie na realizację pasterskich dezyderatów episkopatu. Ponadto Jan Paweł II nie mógł udać się do Paryża

jedynie na zaproszenie dyr. gen. UNESCO. Wizyta papieża w Paryżu potrwa trzy i pół dnia: od południa 30 maja do 2 czerwca. Papież udaje się do Francji na zaproszenie przewodniczącego Konferencji Episkopatu kard. Etchegaraya i abpa Paryża kard. Marty. Rząd francuski przyłączył się do tego zaproszenia. Papież spotka się z prezydentem Giscard d'Estaing, z przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego i merem miasta. Weźmie udział w konferencji plenarnej biskupów, odwiedzi uniwersytet katolicki, spotka się z kolonią polską. Przewidziana jest wielka msza św. na placu Concorde. Episkopat francuski liczy na to, że pobyt papieża przyczyni się do rozładowania pewnych napięć lokalnych i polepszenia stosunków ze Stolicą Apostolską. W ostatnim dniu swej wizyty papież przemawiać będzie na forum UNESCO, a w drodze powrotnej zatrzyma się prawdopodobnie w Lyonie, by nawiedzić grób św. Jana Vianneya, słynnego *curé d'Ars*.

Jak wynika z tego zwięzłego przeglądu, kalendarz apostolskich podróży papieskich jest dość nabitą (niektórzy twierdzą nawet, że jest „przeciążony”). Papież jest w dobrej kondycji fizycznej i wytrzymuje bez szwanku dla zdrowia intensywny rytm zwyczajnych zajęć i nadzwyczajnych podróży. Wymaga to rzecz oczywista okresowego wypoczynku, z jakiego papież co pewien czas korzysta (zbyt rzadko i za krótko jak na wytężony tryb pracy) w rezydencji w Castelgandolfo. Skąd zatem nagle zaczęły krążyć wieści o poważnej, rzekomo trwającej go chorobie i rzekomych chwilach złego samopoczucia w czasie podróży do Turcji i wizycie w Dolomitach? Rzecznik prasowy Watykanu dwukrotnie dementował te wieści pojawiające się ostatnio na łamach pewnych gazet włoskich, określając je jako „insynuacje” i „poszukiwanie sensacji za wszelką cenę” i wyrażając zdumienie dla „zdolności do wymyślania” jaką posiadają pewni dziennikarze.

Dominik MORAWSKI

Rzym, 9 kwietnia 1980.

Kraj

Cnota i polityka

Panna na wydaniu nie powinna mieć przeszłości. Jak było naprawdę, pan młody dowiaduje się zazwyczaj dopiero w noc poślubną. Politycy, pisarze i intelektualiści nie muszą i nie powinni udawać dziewic i jeśli nawet mają jakąś wstydliwą przeszłość, nie muszą się jej wypierać. Należałoby raczej oczekiwać, że wyjaśnią, jak mogło dojść do tego, co dzisiaj im samym wydaje się żenujące. Wtedy zamiast obserwować popisy zawstydzającego krygowania się i pozowania na dziewice dowiedzielibyśmy się wiele o mechanizmach, którymi panujący totalizm spychał w różnych okresach nawet odważnych i porządných ludzi na pozycje moralnie wątpliwe.

Warto się nad tym zastanowić, bo przecież totalizm komunistyczny czyni obecnie z wypominania przeszłości główną broń przeciw opozycji demokratycznej. Różnie można oceniać wielkość i zasięg wpływów kół jawnie opozycyjnych, nie ulega natomiast wątpliwości, że właśnie one są solą w oku reżymu, że chce on je za wszelką cenę skompromitować i izolować. W tym celu aktualnie rządząca ekipa próbuje nawet zjednywać sobie i neutralizować potencjalnie najsilniejszego przeciwnika — Kościół katolicki.

Rząd kokietauje też endeków, chadeków i wszystkich tych, których można próbować przekonywać że opozycja składa się z ludzi o złej, stalinowskiej przeszłości.

Czy manewr ten udaje się komunistom i dlaczego uciekają się właśnie do takiej taktyki? Odpowiedź na to drugie pytanie jest bardzo prosta. Zależność finansowa reżymu od Zachodu utrudnia podjęcie decyzji aresztowania opozycjonistów. Ale nie miewamy złudzeń. Walka przeciw nim prowadzona jest kompleksowo. Rozbija się seminaria „Latającego Uniwersytetu”, poluje się na ludzi i sprzęt służący wydawnictwom niecenzurowanym. Wobec członków opozycjonistów stosuje się tak często i bezprawnie proceder przetrzymywania przez 48 godzin bez sankcji prokura-

torskiej, że część z nich spędza dobre 2-3 miesiące rocznie w więzieniach. Kilku działaczy Ruchu Obrony Praw Człowieka skazano na dłuższe wyroki. Nasiliło się niepokojące zjawisko niejawnych „procesów szpiegowskich”. Wreszcie proces robotnika Zadrożyńskiego z Grudziądza, w czasie którego jego własny dwiętnastoletni syn, a potem inni świadkowie zmieniali zeznania, odwołując oskarżenia złożone w śledztwie, żeby potem, po nocy spędzonej pod nadzorem i presją UB, ponownie obciążać oskarżonego. W gruncie rzeczy był to typowo neostalinowski proces pokazowy, tyle że fatalnie sfuszerowany przez służbę bezpieczeństwa. Tej fuszerki nie należy jednak lekceważyć, bo proces Zadrożyńskiego i inne, wymienione tu tylko przykładowo, formy bezpośredniej walki z opozycją mają zapewne charakter precedensowy. Walka ta nasiliła się szczególnie w okresie przed i po ostatnim zjeździe partii. Świadczy ona, że ekipa rządząca będzie dążyła do rozprawienia się z opozycją środkami administracyjnymi i karnymi, zarzucając dawne, rzekomo gierkowskie hasło „Musimy nauczyć się współżyć z opozycją” (?). Wiele symptomów wskazuje, że etap „współżycia” zbliża się ku końcowi, a czynniki, które uzyskały dominację na zjeździe partii pragną, naturalnie bez większego rozgłosu, zgnieść ugrupowania opozycyjne. Należy wątpić w pełne powodzenie tej akcji, bo opozycja dość głęboko wkorzeniła się w niektóre, szczególnie młodzieżowe środowiska społeczne. W żadnym jednak wypadku nie należy lekceważyć akcji władz, bo będą one coraz wszechstronniej używać także środków psychologicznych i dążyć do zniesławiania działaczy demokratycznych. Ludzie ci zasługują na szczególnie podziw. Już ponad cztery lata, ciągle nękani, stawiają opór i jeśli występują objawy zmęczenia, to bynajmniej nie w skłonności do kapitulacji wobec reżymu, ale raczej w nieporozumieniach dotyczących wyboru najlepszej taktyki dalszej walki.

Nie zdoławszy rozprawić się z opozycją środkami administracyjnymi, władze prowadzą przeciw niej swoistą wojnę psychologiczną. Polega ona na przypominaniu wielu ludziom ich przeszłości politycznej z okresu stalinowskiego. Najbardziej aktywnych i wartościowych działaczy demokratycznych nie może to w ogóle dotyczyć. Wystarczy przypomnieć, że np. Adam Michnik urodził się w roku 1946, że wielu jego kolegów pochodzi także z roczników powojennych i ani rusz nie da się z nich zrobić stalinowców. Wobec tego wypomina się im powiązania rodzinne z ludźmi, którzy odgrywali taką czy inną rolę polityczną. Wiadomo z historii, że totalizm brunatny czy czerwony zawsze sięgał do obrzydliwej zasady odpowiedzialności zbiorowej, a to że komuniści coraz to naśladują nazistów nie jest zbyt wielką rewelacją. To jest po prostu znane.

Inna kategoria opozycjonistów — myślę tu przede wszystkim o pisarzach i intelektualistach — ma istotnie przeszłość polityczną obciążoną znacznymi błędami i pomyłkami. Być może ludzie ci robią błąd nie rozliczając się z niej do końca. Nikt

zresztą nie wymaga od nich pokajań i zaprzeczającego godności osobistej samobiczowania. Chodzi głównie o to, byśmy ujawnili mechanizmy społeczne i polityczne, które zaprowadziły nas na równię pochyłą krótszej lub dłuższej uległości wobec systemu totalnego.

Wydaje mi się, że w ogóle nie chodzi o problem rehabilitacji osobistej na przykład pisarzy zaangażowanych swego czasu w iluzję „literatury socjalistycznej”. Zmiana ich postawy znana jest od lat, podobnie jak szkany, którym są poddawani. Cóż może być gorszego dla pisarza niż to, że musi milczeć w swoim własnym kraju, że odmawia mu się prawa druku. Wypominając przeszłość takim pisarzom jak — żeby wymienić przykładowo — Andrzejewski, Ważyk, Kazimierz Brandys czy Wiktor Woroszyński reżym dokonuje świadomego zniesławienia. Powszechnie wiadomo, że ludzie ci i wielu im podobnych zmieniło poglądy bardzo dawno temu i w międzyczasie stało się ofiarami systemu, którego winowajcami nazywa się ich już ponad dwadzieścia lat.

A więc nie ma potrzeby kajania się, kiedy jest się od lat w walce z systemem totalitarnym. Należy natomiast odebrać demonicznie przewrotnej szeptanej propagandzie reżymu możliwość zniesławiania ludzi walczących wytrwale z tym właśnie reżymem. Należy ujawnić jak nas zniewalano, by inni, młodzi, nie popadali w tej same pułapki. Nie musimy tłumaczyć się osobście, bo w większości mamy pokaźny dorobek który przekreślił dawne pomyłki. Musimy natomiast tłumaczyć, w jaki sposób ten sam system totalny na różnych etapach i w różnych okolicznościach w bardzo podobny sposób zwodził i — przepraszam — ogłupiał ludzi, ożywianych jakże często dobrą wolą, najlepszymi intencjami i zaangażowanych ideowo w śmiertelnie poważny sposób.

Zwróćmy jeszcze uwagę, że złą przeszłość wypomina się tylko pewnej kategorii ludzi, konkretnie opozycji demokratycznej i inteligencji liberalnej. Nikt nie pyta o przeszłość byłych oenerowców i faszystów, z których kilku było za Gomułki ministrami, a inni odgrywają do dzisiaj znaczną rolę w samej partii, lub w ogóle w życiu politycznym PRL. Wszyscy też jakoś zapomnieli, że walec totalizmu zgniótł nie tylko wielu liberalnych inteligentów, ale że uległy mu niestety w różnym stopniu i w różnych okresach poważne odłamy społeczeństwa. Lewicę, socjalistów i ludowców zwiedziono sugestią, że demokracja ludowa nie będzie sowietyzmem, a Polska zbuduje państwo sprawiedliwości społecznej, ewoluujące w stronę demokracji politycznej. Endeków nabrano na realizm polityczny i konieczność sojuszu z Rosją, choć dążono nie do sojuszu lecz do poddaństwa Polski wobec Rosji. Katolikom wytłumaczono, że muszą być posłuszni dla dobra stosunków między Kościołem a państwem. Pamiętajmy, że na koncesję poszedł nie tylko osławiony PAX, lecz także — po 1956 roku i co prawda w dużo lepszym guście — Znak. Także biskupi polscy po aresztowaniu niezłomnego kardynała Wyszyń-

skiego w 1953 roku podpisywali dokumenty raczej upokarzające. A iluż było pragmatyków, którzy chcieli tylko zrobić coś dobrego dla kraju i w końcu mniej lub bardziej nieświadomie dali się uwikłać w służalczość wobec władzy, wobec każdej władzy systemu totalnego. Nie ma potrzeby wyliczać wszystkich kategorii ludzi, którzy w ciągu ostatnich 35 lat dali się usidlić. Pewne jest natomiast, że liberalni inteligenci nie byli jedynymi, którzy zostali oszukani, i pewne jest, że właśnie oni pierwsi i to coraz radykalniej wyzwalali się ze zła, z zależności i ślepego posłuszeństwa. I za to właśnie system totalny chce ich ukarać, wypominając im ich wszystkie, nawet niepopelnione grzechy. Na przykład tajna policja wie, że jest przez społeczeństwo znienawidzona. Wobec tego ucieka się i do tego, że swoich głównych przeciwników pomawia o to, że są jej agentami. Bo ludzie brzydzą się agentów. Ale jeśli słyszymy, że ci co najodważniej walczą z reżymem robią to na zamówienie tegoż reżymu czy jakiegś jego frakcji, to mamy do czynienia z jedną z najwstrętniejszych prowokacji policyjnych, na którą dają się nabierać tylko ludzie głupi. Albo też upowszechniają takie pogłoski właśnie agenci tajnej policji, których nie brakowało nigdy w żadnym systemie ucisku i despotyzmu.

Poza tym wszystkim należy pamiętać o zachowaniu właściwych proporcji w ocenie postaw społeczeństwa polskiego w różnych, także w najbardziej krytycznych okresach nacisku totalizmu na zachowania ludzkie. Przeważająca większość społeczeństwa była zawsze co najmniej w utajonej opozycji do narzucanej Polsce sowietyzacji. Dotyczy to także większości polskich elit intelektualnych. Emigracja polityczna na Zachodzie objęła bardzo szerokie kręgi polityczne i wielu wybitnych twórców. W różnych okresach, a szczególnie po 1956 i 1968 roku zasiłyły emigrację zastępy rozczarowanych lub prześladowanych z nowych generacji i środowisk społecznych.

Ale także w kraju elity umysłowe i polityczne nie składały się tylko z błądzących i złamanych. Iluż działaczy robotniczych i socjalistycznych oddało życie w więzieniach PRL? Ile mordów politycznych popełniono w okresie likwidacji Polskiego Stronnictwa Ludowego? Iluż księży katolickich skazano na śmierć lub długoletnie więzienie w okresie stalinowskim? W ramach rozprawy reżymu komunistycznego z Armią Krajową i z przeważającymi wśród inteligencji ośrodkami orientującymi się po wojnie na prawowity rząd londyński ofiarą padło tysiące wyrazicieli wszystkich ugrupowań politycznych, od lewicy do prawicy.

Nie piszę tego naturalnie by umniejszyć ilość tych, którzy zbłądzili w konfrontacji z systemem sowieckiego totalizmu. Nie ma powodu przeczyć, że w ciągu 35 lat panowania komunistów w Polsce błądzących było bardzo wielu. Na najsurowszą ocenę zasługują jednak ci, którzy z błędów i uległości wobec niehumanitarnego systemu nigdy się nie wyzwolili, ci, którym nie starczyło na to rozumu lub charakteru.

Tymczasem perfidia panującego w Polsce systemu polega na tym, że musząc przyznawać się do własnych niegodziwości, odpowiedzialnością za nie próbuje obciążyć wypróbowanych obrońców demokracji i praw człowieka, którzy kiedyś błędzili. Bezwolnych i zawsze posłusznych manekinów i krzewicieli sowietyzacji przedstawia natomiast jako nieposzlakowanych Polaków i patriotów.

Przewrotność tego manewru komunistów specjalnie nas nie dziwi, a społeczeństwo w znakomitej większości nie daje mu wiary. W ogóle w świetle dziejów systemu komunistycznego nic nas właściwie nie dziwi. Prawie wszystko już było. Znamy cały repertuar środków zniewalania narodów. Zaczął się on od wymordowania większości twórców systemu i państwa sowieckiego, a także znaczniejszych komunistów polskich.

O ile jednak sama „zagrywka” obecnej partii nie może nas dziwić, to nie mamy najmniejszego powodu, żeby ją ułatwiać. Jedną z pierwszych i zarazem najznacniejszych książek polskich wydanych na emigracji był „Umysł zniewolony” Czesława Miłosza. I chyba chodzi właśnie o takie dalsze książki pisarzy krajowych, które będą uwzględniały doświadczenia następnych trzech dziesięcioleci. Sądzę, że słabością pozacenzuralnej literatury krajowej jest to, że nawet pisarze zaangażowani, i to już od lat, w walkę z systemem zniewalania umysłów niepotrzebnie przemykają się jakby półgębkiem nad własną przeszłością, z jakimiś nieuzasadnionymi własnymi kompleksami. Nie przedstawiając w całej pełni mechanizmów zniewalania umysłów, pisarze uczestniczący w opozycji demokratycznej ułatwiają propagandzie reżymowej zniesławianie ich samych i w ogóle najlepszych ludzi, jakich mamy w Polsce.

Pisarze, politycy, intelektualiści będą sumieniem narodu nie przez zapomnianie o własnych pomyłkach i tragediach, ale przez przedstawianie w całej pełni złowrogiego systemu łamania godności ludzkiej i niezależności moralnej i intelektualnej. Nie wiem, czy nie jest to w ogóle główny temat naszej literatury, który dałby jej rangę uniwersalną. Chodzi przecież o walkę ogarniającą cały świat. A nasze w niej doświadczenia mają rzeczywiste walor powszechny.

Historia poucza, że społeczeństwa i ich elity rzadko lub raczej nigdy nie składały się z jednostek dziewiczych i nieomylnych. O poziomie kultury decydowało natomiast zawsze zwycięstwo trwałych systemów wartości w ludziach i narodach i wyzwalać się z deprawacji moralnej i umysłowej, która zawsze towarzyszyła despotyzmowi.

Nie miejmy kompleksów i nie dajmy się zaszczuwać. Już w Ewangelii wyróżniono syna marnotrawnego i błędzące owce.

Witold BARDZKI

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE KATYNIA

Warszawa, 11 kwietnia 1980

Mija czterdziesta rocznica masakry tysięcy oficerów polskich dokonanej przez NKWD w łasku katyńskim. Data musi być symboliczna: zbrodnia dokonana została nie w jednym dniu lecz stopniowo wywożono ofiary z obozów w Kozielsku do miejsca, gdzie znaleziono później masowe groby. Kwiecień 1940 roku jest miesiącem, z którego pochodzą ostatnie listy wysłane przez zamordowanych jeńców z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Datę kwietnia 1940 roku noszą ostatnie zapiski znalezione przy zwłokach masowych grobów katyńskich. W kwietniu 1940 roku jeden z jeńców obozu w Kozielsku, profesor Swianiewicz, został zabrany do NKWD do więzienia w Moskwie na przesłuchanie z transportu wyładowywanego w pobliżu katyńskiego miejsca zbrodni. Do dziś nie jest znana dokładna ilość zastrzelonych w katyńskim lesie, do dziś nie wiadomo gdzie znajdują się groby jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa. Prymitywnym kłamstwom propagandy sowieckiej usiłującej zrzucić odpowiedzialność za mord katyński na hitlerowców, którzy ponoszą winę za inne straszliwe zbrodnie lecz nie za tę, mało kto dał wiarę, od dawna zaś problem sprawstwa zbrodni jest rozstrzygnięty. Jej bezpośredni i pośredni sprawcy nigdy nie zostali ukarani, nigdy w ZSRR nie prowadzono przeciw nim śledztwa. Zbrodnie ludobójstwa nie uległy dotychczas przedawnieniu. Domagał się tego wobec hitlerowców m.in. ZSRR i inne rządy od niego zależne. Domagamy się wraz z całym narodem polskim, wraz ze wszystkimi ludźmi na świecie, dla których zbrodnia jest zbrodnią bez względu na to, kto jest jej sprawcą, ujawnienia i ukarania winnych. Żądamy tego nie w imię zemsty, którą odrzucamy, lecz w imię sprawiedliwości i prawdy. Żądamy jednocześnie ujawnienia i osądzenia innych zbrodni dokonanych przez władze ZSRR na obywatelach polskich od 17 września 1939 roku, gdy Armia Czerwona we współpracy z Wehrmachtem i rządem Niemiec hitlerowskich okupowała część ziem Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej.

Władze PRL nie tylko nie dążą do ujawnienia prawdy o zbrodni katyńskiej i innych zbrodniach ludobójstwa popełnionych przez ZSRR, lecz przeciwnie — represjonują tych, którzy się tego domagają a zarazem pragną uczcić pamięć ofiar zbrodni. Represje te odnoszą zresztą skutek przeciwny do zamierzonego, demaskując jednocześnie przed opinią władze PRL i potwierdzając faktyczny stan rzeczy. Wierzymy, iż ujawnienie i ukaranie zbrodni stalinowskich wobec obywateli polskich będzie istotnym krokiem w kierunku braterstwa i przyjaźni z narodem rosyjskim i innymi narodami wchodzącymi dziś w skład sowieckiego imperium. Utwierdza nas w tej myśli ostatnie piękne wystąpienie licznego grona bojowników o demokrację oraz prawa ludzkie i obywatelskie należących przeważnie do narodu rosyjskiego oraz paru innych narodów ZSRR. Bojownicy ci, których uważamy za naszych braci, domagają się tak jak i my ujawnienia prawdy o Katyniu. Jesteśmy im za to wdzięczni i wierzymy, iż jest to fakt o znaczeniu historycznym, który pozwala ufać, iż braterstwo w prawdzie i miłości między naszymi narodami ma przyszłość przed sobą i stanie się kiedyś powszechne. Wzywamy naszych współobywateli w kraju i na wychodźstwie do godnego uczczenia smutnej rocznicy Katynia, nie w duchu zemsty lecz w duchu prawdy i braterstwa wszystkich ludzi dobrej woli wszystkich narodów.

Przestrzegamy zarazem władze PRL, że przeciwdziałanie represyjne zdecydowanej naturalnej woli narodu, by uczcić pamięć ofiar zbrodni katyńskiej wzbudziłoby pogardę społeczeństwa.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

LIST OTWARTY UCZONYCH KRAKOWSKICH

Kraków, 4 marca 1980 r.

Kierując się troską o dobro środowiska akademickiego i uczelni, właściwy rozwój młodzieży akademickiej i jej morale, popieramy starania studentów zmierzające do stworzenia nowej organizacji studenckiej, nie narzucającej rozstrzygnięć światopoglądowo-ideologicznych, reprezentującej rzeczywiste interesy studentów i mogącej się cieszyć faktycznym autorytetem.

List (mający charakter otwarty) dotychczas podpisali:

Prof. dr Izydora Dąbska — filozof, doc. dr hab. Józef Tischner — filozof, Hanna Malewska — literat, b. redaktor naczelny „Znaku”, dr hab. (prof.) Jacek Woźniakowski — historyk sztuki, prof. dr Henryk Wereszycki — historyk, doc. dr hab. Stanisław Foryś — ekonomista, doc. dr hab. Andrzej Wroński — logik, prof. dr Stanisław Zapiór — chemik, prof. dr Krzysztof Penderecki — kompozytor, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, doc. dr hab. Andrzej Staruszkiewicz — fizyk, prof. dr Stefan Smoliński — chemik.

SPRAWA CHOJECKIEGO

Mirosław Chojecki
10-584 Warszawa
ul. Sarbiewskiego 2 m. 47.

Warszawa, 14 marca 1980.

Sejm PRL
Komisja Spraw Wewnętrznych
i Wymiaru Sprawiedliwości

LIST OTWARTY

Od sierpnia 1976 brałem udział w akcji pomocy ofiarom represji 25 czerwca 1976 roku w Radomiu i Ursusie. W listopadzie tego roku zostałem członkiem Komitetu Obrony Robotników, współtworzę niezależny ruch wydawniczy od chwili jego powstania. Z pracy w Instytucie Badań Jądrowych, gdzie pracowałem w charakterze asystenta, wyrzucono mnie 21 października 1976 roku na polecenie SB. Od tej chwili nie mogę znaleźć zatrudnienia zgodnego z moimi kwalifikacjami zawodowymi. Po raz pierwszy zatrzymano mnie w dniu 30. IX. 1976 roku. Od tamtej pory przesiedziałem w aresztach około 5 miesięcy co daje średnią blisko jeden dzień tygodniowo. Przeprowadzono w moim mieszkaniu 15 przeszukań co daje

średnio jedną rewizję kwartalnie. Rewizji osobistej poddano mnie około 80 razy czyli średnio co dwa tygodnie. Tylko w trzech przypadkach prokurator wydał nakaz rewizji, we wszystkich innych przeprowadzono je bez nakazu. Pomimo to prokuratorzy zatwierdzali zatrzymanie wszystkich zabranych przez SB przedmiotów następującą formułą: „Czynność prawna będąca przedmiotem niniejszego zatwierdzenia jest uzasadniona okolicznościami mającymi na celu ustalenie przesłanek wskazujących na fakt zaistnienia przestępstwa i koniecznością zabezpieczenia dowodów”. Pod tym tekstem podpisywali się: Wiesława Bartonowa, Krystyna Barczewska, Leszek Bednarski, Anna Detko, Andrzej Kępiński, Stanisław Różański, Jan Traczewski. Rewizje przeprowadzono w sprawach dotyczących przestępstw z artykułów: 132 KK, 166 KK, 199 KK, 223 KK, 237 KK, 270 KK, 271 KK, 273 KK oraz w sprawie dotyczącej włamania (nie podano numeru artykułu). W wyniku przeszukań zabrano mi m.in.: 3 puszki konserw mięsnych, tusz kreslarski, maszynę do pisania, słoik z przyprawą curry, taśmę samoprzylepną, wycinki z bieżącej prasy krajowej (*Życie Warszawy*, *Trybuna Ludu*), nienagrane taśmy magnetofonowe, taśmy magnetofonowe z muzyką jazzową (Oskar Peterson, Kate Jarres, Miles Davis), pieniądze (około 6.000 zł), podręcznik programowania maszyn cyfrowych w języku fortran, torbę podróżną, nożyczki, kartki czystego papieru, zawartość kosza do śmieci itd. Razem około 500 pozycji, wśród których znalazły się także wydawnictwa bezdebitowe, notatki prac naukowych itp. Zatrzymanie tych przedmiotów potwierdzone jest podpisami prokuratorów. W sprawie trzech puszek konserw mięsnych przysłanych mi pocztą za pośrednictwem Pewexu zaangażowała się prokuratura generalna. Prokurator Jan Chłopek wyraził przypuszczenie, że mięso może pochodzić z przestępstwa zaś kolegia 1-szej i 2-giej instancji orzekły jego przepadek. W czasie jednej z rewizji zatrzymano m.in. kilka książek, których przepadek orzekł dyrektor urzędu celnego portu lotniczego Jan Kaliniak. Co do tej sprawy ma port lotniczy nie wyjaśniono. We wszystkich pozostałych przypadkach ani nie zakomunikowano mi decyzji o przypadku mienia ani nie zwrócono zatrzymanych przedmiotów mimo iż wysłałem skargi do prokuratury. Na żadne z nich nie otrzymałem odpowiedzi, mimo że w niektórych przypadkach upłynęło już 3,5 roku od zatrzymania.

W grudniu 1976 roku dostałem pismo od komornika urzędu miasta stołecznego Warszawy Janusza Maja, który wydał decyzję o zajęciu w celu zabezpieczenia wszelkich kwot pieniężnych przesyłanych przez osoby fizyczne za pośrednictwem PT Poczta Polska, Telegraf i Telefon na mój adres. Decyzja ta, mimo zażaleń, na które nie otrzymałem odpowiedzi, nie została do chwili obecnej uchylona. Nie zakomunikowano mi też jaka jest jej podstawa prawna, jaki jest cel „zabezpieczenia”. Kilkakrotnie bądź telefonicznie, bądź w lokalach komend MO grożono mi pobiciem, zamordowaniem, oskarżeniem o kradzież, o szpiegostwo itp. Kilkakrotnie zostałem pobity na ulicy i w gmachu sądu. We wszystkich tych przypadkach wysłałem skargi do prokuratury, ale ani razu nie otrzymałem odpowiedzi. Prokuratury rejonowa i wojewódzka wszczynały w stosunku do mnie różnego rodzaju postępowania w sprawach oznaczonych numerami: S 35/76, IDS 201/76, S 39/76, IDS 172/76, S 39/76, IDS 115/77, KO 32/77, RSD 432/77, IV KO 75/77, IV KO 76/77, S 26/78, IDS 275/78, IDS 115/78, IDS 125/80, S 4/80. Do chwili obecnej przedstawiono mi zarzuty z artykułów: 270 § 1 KK, 21 § 1 KK, w związku z artykułem 273 § 1 i 2 KK, w związku z artykułem 10 § 2 KK i 58 KK. Na mocy amnestii z lipca 1977 roku śledztwo z tych spraw umorzono, oraz z artykułu 199 KK i 276 § 1 KK — w tych sprawach śledztwo jest w toku.

Dnia 6. III. 1980 roku prokurator prokuratury rejonowej Warszawa Śródmieście Anna Detko poinformowała mnie iż bez jej zgody nie wolno

mi na dłuższy okres opuszczać miejsca zamieszkania. W ciągu ostatnich 3,5 lat kolegia do spraw wykroczeń skazały mnie na grzywny łącznej wysokości 19.500 złotych.

Przytoczone powyżej przykłady nadużyć i często absurdalnych decyzji przedstawicieli władzy wymiaru sprawiedliwości dotyczą nie tylko mnie ale wielu moich kolegów i znajomych, co świadczy, że nie są one przypadkami wyjątkowymi lecz stanowią regułę postępowania prokuratury. Informacje te podaję do wiadomości komisji sejmowej jako organu powołanego do nadzoru nad praworządnością PRL. W maju 1977 roku wysłałem list do sejmu PRL zawierający dane o działalności prokuratury. Ale list ten nie doszedł do adresatów bowiem prokurator Krystyna Barczewska zarządziła zatrzymanie tego listu i włączenie go do akt sprawy IIDS 20/76 (decyzja z dnia 26. V. 1976 roku). Przyjąłem więc formę listu otwartego mając nadzieję, że w ten sposób dotrze on do adresatów.

Mirosław CHOJECKI

WOLNOŚĆ DLA UWIEŻIONYCH

Mirosław Chojecki aresztowany został 25 marca 1980 roku i osadzony w więzieniu na Mokotowie. Grozi mu proces i wieloletni wyrok.

Mirosław Chojecki jest członkiem KOR-u od 1976 roku i organizatorem pomocy dla robotników po wydarzeniach czerwcowych w Ursusie i Radomiu.

Mirosław Chojecki jest twórcą największego wydawnictwa niezależnego NOWA. Celem NOWE-j jest złamanie ograniczeń cenzury i informacyjnego monopolu komunistów. Mimo represji policyjnych NOWA opublikowała ponad 50 książek w wielotysięcznych nakładach. W tym dokumenty o zbrodni w Katyniu, tajne materiały cenzury, powieści, poezje, publicystykę. NOWA wydała książki Józefa Piłsudskiego, Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Orwella, Tadeusza Konwickiego, Andrzeja Kijowskiego, Kazimierza Brandysa.

Mirosław Chojecki został aresztowany dlatego, że dzięki jego poświęceniu, energii, talentom organizacyjnym ukazywały się książki NOWE-j.

Zwracamy się do pisarzy, których prace drukował, do związków twórczych i wydawnictw.

Zwracamy się do pracowników drukarni i czytelników niezależnej prasy. Zwracamy się do wszystkich ludzi którym nie jest obojętna prawdziwa wiedza o losach naszego kraju.

Żądajcie wolności dla Mirosława Chojeckiego.

Wolność i sprawiedliwość w Polsce jest sprawą nas wszystkich.

Drukarnia GŁOSU

OŚWIADCZENIE WYDAWNICTWA IM. 3-go MAJA, ROZPOWSZECHNIANE W FORMIE ULOTKI:

W dniu 25 marca br. na mocy postanowienia podpisanego przez prokuratora Prokuratury Rejonowej Warszawa-Śródmieście Annę Detko uwięziony został Mirosław Chojecki. Wypróbowaną metodą carskich i stalinowskich prowokatorów Mirosława Chojeckiego uwięziono pod fałszywym zarzutem kradzieży powielacza. Nie jest to pierwszy wypadek, kiedy urzędy prokuratorskie PRL służą za parawan przestępczych wyczynów Służby Bezpieczeństwa.

Oświadczamy, że postawienie Mirosławowi Chojeckiemu zarzutu kradzieży jest kolejnym oszczerstwem wymierzonym w niezależnie myślących ludzi w Polsce. Mirosław Chojecki jest współtwórcą i kierownikiem Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOW-a”. Działalność Chojeckiego służyła i służy rozwojowi niezależnego życia umysłowego w kraju. Publikacje NOW-ej, łamiąc partyjny monopol wydawniczy zrywają knebel cenzury nałożony na nasze życie kulturalne. Dzięki pracy Chojeckiego społeczeństwo nasze mogło poznać kilkadziesiąt wybitnych prac pisarzy polskich i zagranicznych, skazanych przez PZPR na zapomnienie, odciętych od społeczeństwa partyjną złąką milczenia. Obrzucanie błotem tej głęboko społecznej i humanitarnej działalności Mirosława Chojeckiego jest hańbą nie tylko dla partyjnych sprzedawczyków w stylu prokuratora Anny Detko, jest to policzek wymierzony w każdego uczciwego Polaka. Żądamy uwolnienia Mirosława Chojeckiego. Protestujemy przeciwko bezprawnym i kryminalnym próbom dławienia wolnej myśli w naszym kraju.

APEL W OBRONIE MIROSŁAWA CHOJECKIEGO

25 marca 1980 roku aresztowany został w Warszawie Mirosław Chojecki. Nie jest to pierwsza represja jaka spotyka tego tak bardzo ofiarnego organizatora i kierownika Niezależnej Oficyny Wydawniczej. W ciągu ostatnich trzech lat był on niejednokrotnie aresztowany. W 1977 roku więziony przez dwa miesiące. W 1979 — przez tydzień, wiele razy zatrzymywany na 48 godzin. Wytaczano przeciw niemu zarzuty z siedmiu różnych artykułów kodeksu karnego i wszczynano postępowanie prokuratorskie w 16-tu sprawach. Ostatnio metodą władz stało się oskarżanie działaczy opozycyjnych nie o ich rzeczywistą działalność, która jako zgodna z konstytucją nie może być karana, lecz o rzekome przestępstwa pospolite. Tą metodą posłużono się również wobec Mirosława Chojeckiego. Nie zarzucono mu, że wydaje nieocenzurowane książki i czasopisma — wśród nich *Zapis* — ale że dopuścił się jakoby kradzieży powielacza. Ten sam zarzut postawiono uprzednio współpracownikowi Niezależnej Oficyny Wydawniczej Bogdanowi Grzesiakowi, aresztowanemu w lutym i zwolnionemu w marcu 1980 roku. Trudno bez oburzenia i głębokiej odrazy odnieść się do tych prób walki z wolnym słowem, które byłyby tylko godne pożałowania, gdyby nie łączyły się z uwięzieniem człowieka. Protestujemy jak najostrzej przeciwko aresztowaniu Mirosława Chojeckiego i poczuwamy się do całkowitej z nim solidarności, świadomi, że prawdziwą przyczyną aresztowania są zasługi Mirosława Chojeckiego dla wolności kultury w Polsce. Apelujemy do wszystkich autorów polskich, a w szczególności do tych, blisko stu, którzy tak jak my ogłosili swe prace w *Zapisie* i wydali książki w Niezależnej Oficynie Wydawniczej. Dołączcie swój głos w obronie Mirosława Chojeckiego. Ten sam apel kierujemy do pisarzy polskich poza granicami kraju. Zwracamy się również do wszystkich autorów zagranicznych, w szczególności do drukowanych w *Zapisie*: do Günthera Grassa, do laureata nagrody Nobla I.B. Singera, do Hansa Magnusa Enzensbergera, do Josifa Brodskiego i innych. Poruszcie opinie publiczną, domagajcie się uwolnienia Mirosława Chojeckiego.

Warszawa, 6 kwietnia 1980 r.

W skład zespołu wchodzi:

Zespół redakcyjny *Zapisu*

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Anna Chmielewska, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Ryszard Krynicki, Adam Michnik, Kazimierz Orłoś, Wiktor Woroszyński.

Warszawa, 9 kwietnia 1980.

Następujący pisarze udali się do Prokuratury Generalnej: Jerzy Andrzejewski, Marian Brandys, Stefan Kisielewski, Tadeusz Konwicki, Julian Strykowski. Przyjęci zostali przez prokuratora dyżurnego (który nie przedstawił się) któremu przekazali list następującej treści:

Warszawa, 9. 4. 1980.

Pan Prokurator Generalny
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
w Warszawie.

Powodowani lękiem i troską o ład i spokój w społeczeństwie polskim domagamy się jak najrychlejszego uchylenia sankcji i zwolnienia z aresztu Mirosława Chojeckiego, aresztowanego dnia 25 marca bież. roku. Nie tylko nam i środowiskom intelektualistów i twórców znane są działalność i zasługi wobec kultury polskiej Mirosława Chojeckiego. Jego praca w dziedzinie upowszechniania literatury polskiej, eseistyki społecznej, historycznej i politycznej, ograniczanej lub całkowicie niedopuszczanej do druku przez cenzurę znana jest również tysiącom czytelników niezależnych wydawnictw, wywodzącym się z różnych pokoleń i środowisk, bardzo rozmaitych i licznych. Szeroko znane są także — i to nie tylko w kraju — represje i szykany, które były wobec niego stosowane (bicie, liczne zatrzymania, areszty, rewizje itp.). Wiadomo również jaki jest istotny powód tych działań skierowanych przeciw niemu i jego współpracownikom. Znieważający zarzut przestępstwa pospolitego nie może zyskać wiary ani w oczach społeczeństwa polskiego, ani w oczach świata. Zarzut ten nie jego kompromituje, może zaś spowodować ogromne poruszenie i zbulwersować nader sfrustrowane społeczeństwo w sytuacji wielkich trudności gospodarczych. Skutki tego postępowania nie dadzą się przewidzieć, mogą być niebezpieczne, wręcz groźne. Zarówno w oczach świata jak w oczach Polaków, bez względu na kwalifikację prawną przypisywaną Mirosławowi Chojeckiemu, twórcy Niezależnej Oficyny Wydawniczej, sprawa będzie widziana jako sprawa polityczna, jako uchybienie wszelkim międzynarodowym paktom i konwencjom w obronie praw człowieka, ratyfikowanym przez Polską Rzeczpospolitą Ludową.

(Pod listem podpisy wyżej wymienionych pisarzy)

List podpisywany przez pisarzy:

DO ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Szanowni koledzy!

Zwracamy się do Was w sprawie, która budzi nasze najgłębsze zaniepokojenie. W Warszawie zaarrestowany został Mirosław Chojecki, były asystent

Instytutu Badań Jądrowych, usunięty ze swego miejsca pracy w roku 1976 z przyczyn politycznych. W ciągu ubiegłych kilku lat Mirosław Chojecki podlegał wielokrotnie represjom i prześladowaniom. Przebywał w tym czasie w aresztach około 5 miesięcy, był kilkakrotnie pobity, w jego mieszkaniu dokonano 15-tu rewizji. Skargi i protesty jakie Chojecki wnosił do prokuratury pozostały bez odpowiedzi. W roku 1977 odwołał się na piśmie do Sejmu PRL. List nie dotarł pod wskazany adres wskutek zasekwestrowania go przez prokuratora. 25 marca 1980 Chojecki zaarrestowany został ponownie, w swoim mieszkaniu przy ul. Sarbiewskiego 2, z którego wyprowadzono go w kajdankach. Prokuratura wysunęła przeciw niemu zarzut przestępstwa pospolitego — kradzieży powielacza. Nie po raz pierwszy władze stosują metodę oskarżania działaczy demokratycznych o rzekome przestępstwa kryminalne. Aresztowanym w ubiegłym roku dwóm współpracownikom Niezależnej Oficyny Wydawniczej, Tomaszowi Michalakowi i Bogdanowi Grzesiakowi, postawiono zarzut fałszerstwa i kradzieży. Obydwaj po wszczęciu dochodzenia zostali zwolnieni.

Mirosław Chojecki jest organizatorem i kierownikiem Niezależnej Oficyny Wydawniczej od chwili jej powstania. Placówka ta ma w swym dotychczasowym dorobku ponad 50 pozycji wydawniczych, m.in. utwory i pisma Jerzego Andrzejewskiego, Witolda Gombrowicza, Pawła Jasienicy, Czesława Miłosza, Marii Ossowskiej, Józefa Piłsudskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Stefana Żeromskiego, oraz autorów zagranicznych jak Günther Grass, Bohumil Hrabal, Osip Mandelstam i szeszoletni laureat nagrody Nobla I. B. Singer. Niezależna Oficyna Wydawnicza umożliwia również druk kwartalników literackich oraz zeszytów Towarzystwa Kursów Naukowych. Działalność jej wypełnia w naszym życiu kulturalnym rażąco luki spowodowane przez cenzurę. Dla wielu spośród pisarzy dotkniętych konfiskatą tekstu lub zakazem druku wydawnictwa Niezależnej Oficyny Wydawniczej stanowią jedyną możliwość publikacji wierszy, powieści czy esejów. Pragniemy zwrócić uwagę kolegów na to, że przeciw Mirosławowi Chojeckiemu, którego uczciwość i ofiarność jest powszechnie znana, wysunięto zarzut fikcyjny, oskarża się go o kradzież, której nie popełnił. Prawdziwą przyczyną represji, przyczyną skrzętnie maskowaną, jest organizowany przez niego niezależny ruch wydawniczy. Zaniepokojenie, jakie budzi w nas stosowanie tak przewrotnych metod, ich ogólnospołeczna szkodliwość nie wymagają wyjaśnień. Przed 30 laty wytaczano w Polsce oskarżenia o czyny hańbiące przeciw ludziom prześladowanym przez władze za postawę obywatelską, poglądy polityczne, bądź przeszłość wojenną. Podobnie fałszowano zarzuty i fakty oczerniając uwiecznionych w opinii publicznej przy pomocy kampanii prasowych. Wśród naszych kolegów w Związku Literatów Polskich znajdują się ludzie, którzy w owym czasie padli ofiarą tych złowrogich nadużyć. Trudno oprzeć się przynębiającym skojarzeniom i refleksjom myśląc o aresztowaniu syna działaczki AK, uczestniczki zamachu na Kutscherę, o aresztowaniu Mirosława Chojeckiego pod zarzutem kradzieży. Dla nas, pisarzy, ma to wymowę ostrzeżenia: rzuca tragiczne światło na losy pokoleń walczących w Polsce o niepodległość i demokrację.

Szanowni koledzy! Zwracamy się do was z usilną prośbą o podjęcie przez Zarząd Główny Związku Literatów Polskich wszelkich dostępnych mu kroków w celu uwolnienia z aresztu Mirosława Chojeckiego. Liczymy na waszą pomoc w tej sprawie.

Sąsiedzi

Obejrzyj się ze skrucą...

W te pamiętne i bolesne dla Polski dni my, sowieccy obrońcy praw, chcemy raz jeszcze zapewnić naszych polskich przyjaciół, a w ich osobach cały naród polski, że nikt z nas nigdy nie zapomniał i nie zapomni o tej odpowiedzialności, jaką nasz kraj ponosi za zbrodnię popełnioną przez jego oficjalnych przedstawicieli w Katyniu.

Jesteśmy przekonani że bliski jest już dzień, w którym nasz naród odda to co im należne wszystkim uczestnikom tej tragedii, zarówno katom jak ofiarom: jednym w miarę ich zbrodni, drugim w miarę ich męczeństwa.

Kwiecień 1980.

Ludmiła Aleksiejewa, Andrej Amalrik, Władimir Bukowski, Boris Wail, Tomas Wencłowa, Aleksandr Ginzburg, Natalia Gorbaniewskaja, Zinaida i Piotr Grigorenko, Boris Jefimow, Tatiana Zitnikowa (Pliuszcz), Arina Żołkowskaja (Ginzburg), Julia Zags, Edward Kuzniecowa, Paweł Litwinow, Kronid Liubarskij, Władimir Maksimow, Władimir i Galina Malinkowicz, Raisa Moroz, Wiktor Niekrasow, Władlen i Swietłana Pawlenkow, Leonid Pliuszcz, Galina Sałowa (Liubarskaja), Nadia Switlicznaja, Paweł Stokatielnij, Walentin Turczin, Boris Szragin, Jurij i Weronika Sztejn, Tatiana Chodorowicz.

Czterdziesta rocznica Zbrodni Katyńskiej. Oświadczenie otwarte jest dla dalszych podpisów.

O stosunkach z Niemcami

Granica z Niemcami, zjednoczenie Niemiec oraz pojednanie z Niemcami to nie tylko centralne tematy polskiej polityki, lecz także ogniska polskich nerwów. Ktokolwiek te tematy porusza, musi się liczyć z nerwowymi reakcjami. Z taką właśnie reakcją spotykały się niekiedy opracowania PPN, ogłoszone wiosną 1978 roku. Byli wśród czytelników tacy, którzy dopatrzili się w tych tekstach wyrazu „orientacji proniemieckiej”. Nikt z nas nie jest zwolennikiem takiej orientacji. W dziedzinie idei politycznych i tradycji kulturowych jesteśmy zwolennikami orientacji europejskiej, o czym świadczy parę naszych publikacji. W dziedzinie działania politycznego jesteśmy zwolennikami orientacji *usamodzielniającej*. Chcemy, aby postawa państwa polskiego wobec Niemiec odzwierciedlała wolę Polaków, nie zaś wolę ZSRR; chcemy, aby stosunki między Polską a Niemcami wynikały z naszych interesów narodowych, a nie z naszej zależności.

Tak też rozumiała nasze wystąpienia większość czytelników, znaleźli się jednak i ludzie złej woli, wykorzystujący polskie nerwy. Niektóre pisma emigracyjne związane z orientacją „narodową” (zwłaszcza francuski *Narodowiec*) pomówiły nas o działanie w porozumieniu z rewizjonistycznymi kołami RFN, a nawet o udzielenie tylko firmy tekstom opracowanym w Bonn. Odczytano w nich gotowość do ustępstw granicznych. Takie rozumienie naszych wystąpień było zwykłym fałszerstwem. Rzecz znamienna, że podobne stanowisko wobec wszelkich samodzielnych prób przemyślenia problemów niemieckich zajmuje oficjalna propaganda PRL. Ktokolwiek — czy są to polscy biskupi, czy też ośrodki myśli opozycyjnej — ośmiela się mówić o możliwości takich stosunków polsko-niemieckich, które byłyby oparte na podstawach innych niż posłuszna przynależność Polski do bloku sowieckiego, jest natychmiast okrzykiwany zdrajcą interesów narodowych.

Wiemy na pewno, że narzucony w roku 1944 przez trzy wielkie mocarstwa podział na bloki i sfery wpływów musi kiedyś pęknąć i rozsypać się. Wzywamy do zastanowienia, jakie nastą-

Stosunki polsko-niemieckie były już tematem dwu opracowań PPN, ogłoszonych równocześnie w maju 1978 roku: nr 18 „Polska a Niemcy” (Zespół Problemowy PPN) i nr 19 „Niemcy, Polacy i inni” (Czwórka).

pią wówczas zmiany, od czego się zacząć, jakie Polsce w związku z tym grożą niebezpieczeństwa, jakie powinna odnieść korzyści — i czego już dzisiaj powinniśmy dla Polski chcieć.

Przewidujemy, że zniknie kiedyś granica dzieląca Niemcy na dwie nierówne części. Uważamy, że obrona dzisiejszego podziału Niemiec równa się obronie dzisiejszego podziału Europy na dwie sfery wpływów, a zatem obronie naszego poddaństwa wobec ZSRR. Sądzymy, że pragnąc się z tego poddaństwa wydobyć, pragnąc osiągnąć możliwość swobodnej współpracy z całą jednoczącą się Europą, musimy pogodzić się ze zjednoczeniem albo sfederalizowaniem *całych* Niemiec. Sądzymy, że powinniśmy już dzisiaj pracować nad tym, aby zjednoczenie to dokonało się nie *przeciw* Polsce, ale w perspektywie przyjaznego z nią współżycia. Sądzymy, że myśmy powinni uznać prawo Niemców do istnienia we wspólnocie narodowej, a Niemcy powinni uznać nasze prawo do pozostania tam, gdzieśmy się po wypchnięciu nas ze wschodu znaleźli. „Niemcy będą zjednoczone, a Polacy zostaną tam, gdzie są” — taka jest nasza formuła optymalnego rozwoju wydarzeń. Nie zmieniać granic, lecz pozbawiać je tego znaczenia, jakie miały w przeszłości i jakie mają dzisiaj — taka jest wytyczna naszego sposobu myślenia o przyszłości naszych stosunków z sąsiadami i z zachodu i ze wschodu. Chcemy, aby granice, także i granica polsko-niemiecka, były równie przezroczyste i przenikalne, jak dzisiejsze granice Niemiec z Francją, Belgią i Holandią, które niegdyś, tak jak nasze, krwawiły i płonęły.

Ogłoszone przed dwoma laty teksty PPN-u, a także artykuł redaktora *Kultury* w sprawie pojednania i porozumienia polsko-niemieckiego, w ramach przewidywanego wcześniej lub później procesu jednoczenia Europy, wywołały w RFN echo prasowe i zainteresowanie w niektórych kołach politycznych, m.in. w środowisku młodych „wolnych demokratów” (FDP). Należy jednak stwierdzić, że zainteresowanie to było niewspółmierne w stosunku do wagi problemu i odpowiedzialności politycznej dokumentów ogłoszonych przez polskie koła niepodległościowe.

Należy zdawać sobie sprawę z tego, że czynne zainteresowanie polityką a zwłaszcza przewidywaniami przyszłościowymi jest w społeczeństwie dostatnim i wolnym, jakie istnieje w RFN, bardzo ograniczone. Odmiennie należy jednak tłumaczyć sobie brak poważniejszej reakcji ze strony obu wielkich partii niemieckich, rządzącej SPD i opozycyjnej CDU. Choć bowiem dokumenty PPN-u poruszyły sprawę zjednoczenia Niemiec, będącą głównym celem obu partii i właściwie wszystkich liczących się sił politycznych w RFN, to jednak w partiach niemieckich istnieje bardzo jednostronna wizja tzw. polityki wschodniej. Najkrócej można

by ją scharakteryzować przekonaniem, że jeśli ma dojść do zjednoczenia Niemiec, to zgodę na to musiałyby wyrazić przede wszystkim Związek Radziecki, wobec czego poważniejsze rozmowy z „jego satelitami” nie mają większego znaczenia. Przekonanie to, choć wydaje się nader krótkowzroczne, ma swoje uzasadnienie w niewolniczym trzymaniu się przez rządy Europy środkowo-wschodniej linii sowieckiej w sprawie niemieckiej. Czyni to z tych rządów mało interesującego partnera dla RFN, a rozmowy z nimi Niemcy traktują przede wszystkim jako okazję do sondowania stanowiska radzieckiego. Drugą główną cechą nastawienia partii niemieckich wobec krajów Europy wschodniej jest niedostrzeganie ich społeczeństw i ograniczanie kontaktów politycznych przede wszystkim do rządów, od których można uzyskać konkretne koncesje dla RFN, jak dalsze przesiedlenie ludności czy złagodzenie antyniemieckiego kursu propagandowego. Ze względu na udzielane pożyczki Niemcom Zachodnim udawało się zresztą w ostatnich latach uzyskiwać w poważnym zakresie to, na czym im zależało. Rządy państw bloku sowieckiego były wobec nich względnie elastyczne. Natomiast sprawa pojednania między społeczeństwami, tak istotna w stosunkach polsko-niemieckich, została w praktyce na uboczu i nikt, poza Kościołami i wąskimi kręgami intelektualnymi, nie interesował się nią. W zakresie dzieła pojednania, właściwie od połowy lat sześćdziesiątych, kiedy nastąpiły takie wydarzenia jak słynne memorandum EKD (Ewangelickiego Kościoła w Niemczech), list biskupów polskich do niemieckich czy dokumenty Bensberger Kreis, poważne znaczenie społeczne miała tylko wizyta biskupów polskich z kardynałem Wyszyńskim i kardynałem Wojtyłą w RFN odbyta we wrześniu 1978 roku. Wiele do myślenia daje fakt, że nawet po tej bardzo udanej wizycie nie nastąpiło ożywienie kontaktów świeckich katolików Polski i RFN a nawet przeciwnie, kontakty te z przyczyn zgoła drugorzędnych całkiem niemal zamarły.

Wielkie partie niemieckie mają z wszelką pewnością wspólny cel polityczny, którym jest zjednoczenie Niemiec, ale różnią się bardzo znacznie w ocenie, jakie drogi do tego celu są najbardziej obiecujące. Socjaldemokraci uważają, że zjednoczenie Niemiec jest możliwe tylko przez osiągnięcie porozumienia z ZSRR, w chwili kiedy Rosja zagrożona z innych stron będzie musiała szukać kompromisu w Europie. Takie koncepcje przypisywane są dwóm głównym strategom socjaldemokratów, Herbertowi Wehnerowi i Egonowi Bahrowi. SPD popierała politykę odprężeniową Kissingera i wyrażała zastrzeżenia wobec taktyki Cartera w sprawie praw człowieka. Nie odpowiada natomiast prawdzie, że SPD skłaniała się do jakiejś koncepcji neutralizacji militarnej i politycznej Niemiec Zachodnich. Posądzania tego typu sam

Wehner skomentował w *Vorwärts* nie bez smutku: „Na to jest już za późno”. I rzeczywiście, gdy wybiła godzina prawdy, w momencie napięcia w Iranie, a potem rosyjskiej interwencji w Afganistanie, Niemcy Zachodnie były obok Anglii stosunkowo najlojalniejszym partnerem USA, choć nie można powiedzieć, by w pełni podzielały taktykę amerykańską. Rozumiały jednak, że nie może być mowy o ich neutralizacji. RFN dowiodła tego bodaj najbardziej w momencie podejmowania przez państwa NATO uchwały o rozmieszczeniu na terenie Europy zachodniej nowych rakiet średniego zasięgu, odpowiadających sowieckim, już zainstalowanym rakietom SS 20. Generalna linia SPD jest jednak nadal zorientowana na taktykę odprężenia z ZSRR i uzyskania od Rosji w momencie jej osłabienia zgody na zjednoczenie obydwu państw niemieckich. Dalszych planów terytorialnych SPD realistycznie nie formuluje, uważając, że i tak jej program jest jedynym prowadzącym do przewyciężenia podziału Niemiec. Dodać jeszcze należy, że ważnym elementem planu SPD jest czynnik ekonomiczny. RFN próbuje związać gospodarczo, komunikacyjnie (budowa autostrady Berlin-Hamburg), inwestycyjnie i handlowo obie części Niemiec, by ich późniejsze zjednoczenie polityczne mogło nastąpić bez wstrząsu i stać się formalnością, którą można odkładać do chwili, kiedy da się przeprowadzić bezboleśnie. Ta subtelna koncepcja napotyka jednak także w NRD na przeciwników, choć państwo to chce wyciągnąć dla siebie wszystkie korzyści, płynące ze współpracy z RFN. Sfery rządzące w NRD są jednakże żywotnie zainteresowane w istnieniu tego państwa; doświadczenie wskazuje na to, że zjednoczenie Niemiec nie będzie mogło nastąpić niejako automatycznie, na drodze stopniowego zacieśnienia się stosunków RFN i NRD, ale musi dojść politycznie przez zmianę układu sił na świecie i osłabienie mocarstwowej potęgi Rosji. Jest wszakże zupełnie zrozumiałe, że w takim momencie gęsta sieć powiązań między dwoma państwami niemieckimi będzie miała również poważne znaczenie.

Wizja przyszłych zjednoczonych Niemiec w programie CDU/CSU jest bardziej maksymalistyczna, niezależnie od faktu, że między tymi siostrzanymi partiami zachodzą też poważne różnice w akcentowaniu owego maksymalizmu. Nie ulega jednak wątpliwości, że obie partie mają jeden wspólny mianownik. Polega on na wiązaniu koncepcji zjednoczenia Niemiec nie tylko ze stosunkowym osłabieniem potęgi ZSRR, ale i z dążeniem do radykalnego odepchnięcia Rosji nie tylko z granic NRD, ale jeszcze dalej na wschód. Koncepcje te są bliższe obecnej niż poprzedniej administracji USA. CDU/CSU są najsilniejszym w Europie zachodniej rzecznikiem związku RFN z NATO i poważnego traktowania obecności tego sojuszu na kontynencie europejskim.

Wszystko to powoduje, że wielu rzeczników niepodległości Polski nie bez sympatii patrzyłoby na nieustępliwość polityczną partii Unii w RFN, gdyby aspiracje terytorialne tych partii były bardziej sprecyzowane. W ich szeregach można bowiem wyróżnić dwa stanowiska i dwie kategorie ludzi. Jedni są maksymalistami politycznymi, ale uważają, lub udają, że uważają, iż zjednoczenie jest jeszcze tak bardzo odległe w czasie, że nie ma sensu mówić o sprawach terytorialnych. Sprawy te tak czy inaczej będą bowiem musiały stanąć na porządku konferencji pokojowej po drugiej wojnie światowej, konferencji, która dotychczas się nie odbyła. Inni przedstawiciele partii Unii, a więc przede wszystkim Strauss i jego CSU, ale także wielu działaczy CDU, głoszą po prostu program powrotu do granic z 31. XII. 1937. Jak wiadomo Trybunał Konstytucyjny RFN w Karlsruhe uznał granice z 1937 roku za jedyną prawnie istniejącą granicę wschodnią Niemiec i wybitni działacze CSU i CDU ciągle powołują się na tę uchwałę. Nie znajdują co prawda odpowiedzi na stawiane im pytanie, czy rzeczywiście wyobrażają sobie jako możliwe ponowne przesiedlenie milionów ludzi, ale dają do zrozumienia, że przecież Polska ma interesy terytorialne na wschodzie. Z jednej strony tego typu planów politycznych nikt nie traktuje całkiem na serio, ale z drugiej strony są one bardzo konsekwentnie podtrzymywane przez cały okres powojenny we frazeologii politycznej partii Unii, stanowiąc potencjalnie bazę do pobudzenia dążeń nacjonalistycznych, niebezpiecznych w kraju tak dużym i znaczącym, jakim byłyby zjednoczone Niemcy.

Można w polityce wschodniej RFN zauważyć pewną sprzeczność. Zakłada się bowiem osłabienie pozycji ZSRR, to znaczy osłabienie jego dominacji i możliwości dyktowania, co się dzieje w Europie środkowo-wschodniej. To osłabienie ma otworzyć nowe szanse dla zjednoczenia Niemiec, a zdaniem niektórych także dla niemieckich rewindykacji terytorialnych na wschodzie. Zapomina się najwidoczniej, że osłabienie ZSRR pociąga za sobą automatycznie umocnienie własnej niezależności i aspiracji politycznych innych krajów tej części Europy. Im słabszy ZSRR, tym mocniejsze i bardziej ambitne Polska i Czechosłowacja. I nawet kiedy na skutek tego „osłabienia” możliwe stanie się „dogadanie się” z Moskwą, to wątpliwe okazać się może „dogadanie się” z Warszawą i Pragą, to jest uzyskanie sympatii Polaków i Czechów dla zjednoczenia Niemiec. Ich zgoda na jakiegokolwiek rewizje granic będzie z pewnością wykluczona.

Warto tu przypomnieć, zarówno nam samym jak i Niemcom, że politykę mocarstwową, politykę narzucania zmiany granic mogliby oni prowadzić tylko w najściślejszym sojuszu albo z ZSRR, albo ze Stanami Zjednoczonymi, albo — być może — wspólnie

ze Wspólnotą Europejską. Nie trzeba wykazywać że taki sojusz z ZSRR oznaczałby dla Niemiec utratę niepodległości. Łatwo natomiast przewidzieć, że ani Stany Zjednoczone, ani Wspólnota Europejska nie będą sprzyjać nowym próbom niemieckiej ekspansji terytorialnej.

Argumentem za tą ekspansją bywało dawniej twierdzenie o potrzebie „przestrzeni życiowej” dla narodu niemieckiego. Przy utrzymującym się w Niemczech negatywnym przyroście naturalnym niemieccy działacze polityczni powinni zwrócić uwagę na utrzymanie stanu zaludnienia na posiadanym terytorium i przestać mieć własny naród wizjami powrotu do granic sprzed 1937 roku.

Czy jest więc jakieś wyjście z błędnego koła, w którym w 35 lat po wojnie zdajemy się znajdować ciągle w tym samym punkcie? Wyjście takie w nowoczesnych społeczeństwach powinno być i bywa przedmiotem rzetelnego dialogu polsko-niemieckiego, którego celem jest rzeczywiste pojednanie narodów. Dlatego całkowicie fałszywa wydaje się polityka wychodząca z założenia, że o sprawach polskich najlepiej jest rozmawiać z Rosjanami, lub tylko z rządem polskim przez nich podtrzymywanym. Układ sił w świecie stale się zmienia i nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak długo jeszcze potrwa dominacja sowiecka w Europie wschodniej. Kiedyś jednak ona się skończy i wtedy nie wystarczy rozmawiać z Rosjanami o sprawach polskich, lecz trzeba będzie zasiąść do wspólnego stołu z Polakami i innymi narodami europejskimi. Rozmowy te i decyzje które z nich wynikną powinny być poprzedzone zbliżeniem obydwu społeczeństw, ich rzeczywistym pojednaniem na bazie wspólnie przyjętej wizji przyszłości. Wizja ta może w praktyce być tylko jedna i powinna sprowadzać się do zasady całkowitej otwartości obecnych granic, przy wzajemnej normalnej migracji ludności i zabezpieczeniu wszystkich praw mniejszościowych. Komu ta wizja nie odpowiada, a przyznaje się do rozwiązania europejskiego, ściślej mówiąc do zasady duchowej i politycznej jedności Europy, ten powinien wskazać rozwiązanie inne, alternatywne, które jednak nie może mieć nic wspólnego z ideą przesuwania co pewien czas 35-milionowego narodu polskiego o 200-300 kilometrów na wschód lub na zachód.

Polska myśląc o przyszłej Europie nie zamierza rozmawiać o sprawie stosunków z Niemcami, z USA czy Francją, lecz z samym narodem niemieckim. Dlatego hasło pojednania wysunięte w 1965 roku przez Episkopat Polski jest w Polsce ponawiane, trwa też oczekiwanie na rzetelny dialog polsko-niemiecki, prowadzony między społeczeństwami. Niemcy Zachodnie wielokrotnie deklarowały zasadę nieuciekania się do siły. Biorąc ją jak najbardziej na serio i nie chcąc straszyć rewizjonizmem niemiec-

kim na użytek Moskwy, uważamy, iż rezygnacja z siły to za mało, potrzebny jest dialog i pojednanie narodów.

Stanowisko społeczeństwa zachodnoniemieckiego wobec kwestii praw człowieka, także praw człowieka w Polsce i Czechosłowacji, pozwala mieć nadzieję, że taki dialog i pojednanie są możliwe.

ZESPÓŁ PROBLEMOWY PPN

OSTATNIE PUBLIKACJE POLSKIEGO POROZUMIENIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

12. Oświadczenie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, grudzień 1977.
13. Stan moralny społeczeństwa PRL (Zespół Problemowy PPN), grudzień 1977.
14. Prognozy Chochała (Chochał), styczeń 1978.
15. Program dla polskich rodzin (Zespół Problemowy PPN), styczeń 1978.
16. Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (powtórzenie publikacji z maja 1976), luty 1978.
17. Pijaństwo w Polsce (przedruk — Zespół Problemowy PPN), marzec 1978.
18. Polska a Niemcy (Zespół Problemowy PPN), maj 1978.
19. Niemcy, Polacy i inni (Czwórka), maj 1978.
20. Tradycja niepodległościowa i jej wrogowie (powtórzenie publikacji z marca 1977), czerwiec 1978.
21. Posłanie Wiciarzy (Antoni Gurnicz), sierpień 1978.
22. Mieczysław Niedziałkowski (Ignacy Wilczek), wrzesień 1978.
23. Dwa oblicza Romana Dmowskiego (Krzysztof Chmielewski i Magda Wiśnowska), październik 1978.
24. Gospodarka na manowcach (Jerzy Bartecki), październik 1978.
25. 1918-1978 (Oświadczenie Polskiego Porozumienia Niepodległościowego), listopad 1978.
26. Odzyskanie niepodległości w 1918 r. (Poradnik Społeczny PPN), listopad 1978.
27. Paradoxy sowietyzacji (Chochał), grudzień 1978.
28. Rachunek naszych słabości (powtórzenie publikacji z września 1977), listopad 1978.
29. Aleksander Zinowiew — fragment powieści „Świetlana przyszłość”, luty 1979.
30. Feliks Perl (Ignacy Wilczek), marzec 1979.
31. Co się stało z narodami bałtyckimi? (Andrzej Albert), marzec 1979.
32. Polacy — Żydzi (Zespół Problemowy PPN), kwiecień 1979.
33. Granice posłuszeństwa (Zespół Problemowy PPN), maj 1979.
34. Po co partii potrzebna partia (Lwowiak), sierpień 1979.
35. Program dla polskich rodzin (powtórzenie publikacji ze stycznia 1978), wrzesień 1979.
36. Polska i Europa (Zespół Problemowy PPN), listopad 1979.
37. Starobielsk czy Dergacze? Drugi Katyń (Antoni T. Rekowski), styczeń 1980.

Prawosławie na Ukrainie sowieckiej*

Przed 33 lata doszło podczas tak zwanego „soboru” we Lwowie 15 stycznia 1946 roku pod naciskiem władz sowieckich do „zjednoczenia” grekokatolików z zachodnich terenów sowieckiej Ukrainy z Kościołem prawosławnym. Na temat tego, jak do tego doszło istnieją dwie wersje: jedna oficjalna, która znacznie odbiega od prawdziwego stanu rzeczy, pomijając milczeniem całą manipulację politycznych celów ustroju podczas tak zwanego zjednoczenia, jak również masowy terror stosowany wobec tych duchownych, którzy pragnęli pozostać wierni Kościołowi grekokatolickiemu. Druga wersja jest dokumentacją historyczną, złożoną ze sprawozdań świadków i ofiar tych wydarzeń, którzy częściowo mieszkają jeszcze dziś na Ukrainie i dochowali wierności Kościołowi grekokatolickiemu.

Na wstępie kilka słów o relacji oficjalnej. Zjednoczenie zostało ukazane jako spełnienie wieloletnich tęsknot grekokatolików ukraińskich do macierzystego ich Kościoła — rosyjskoprawosławnego — z którym znowu chcą się połączyć. Autorzy sowieccy twierdzą, że tuż po synodzie w 1596 roku w Brześciu, gdzie proklamowana została unia z Rzymem, naród ukraiński prowadził zaciętą walkę o zjednoczenie z Kościołem prawosławnym. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o pewnych trudnościach natury semantycznej: w rzeczywistości chodzi nie o termin: kościół „rosyjsko”prawosławny, lecz o trudno przetłumaczalną nazwę „ruski” — „*ruskaja prawosławnaia cerkow*”. Praktycznego znaczenia ów nieprawidłowy przekład nie ma, ponieważ kościół prawosławny, zwłaszcza zaś jego naczelne władze związane były w przeszłości jak najściślej z caratem, podobnie jak obecnie z dzisiejszymi przedstawicielami władzy w Moskwie, decydującymi o wytycznych także i w dziedzinie religijnej.

Wkrótce po zakończeniu wojny powstała pod naciskiem władz sowieckich „Inicjatywna grupa na rzecz zjednoczenia galicyjskiego Kościoła grekokatolickiego z rosyjskim Kościołem prawosławnym”, do której należeli ksiądz dr H. Kostelnik, mgr A. Pelweckij i dr M. Melnyk. (Wszyscy oni padli ofiarą terroru Ukraińskiej Armii Powstańczej — UPA, dnia 20 września 1948 roku

* Informację tę o organizacji i problemach Kościoła prawosławnego na Ukrainie napisałem na życzenie redakcji *Kultury*. W pracy: „The Soviet Ukraine 1953-1979” która ukaże się w bież. roku w Institute of Ukrainian Studies uniwersytetu w Albercie omówione zostały wszystkie istniejące na sowieckiej Ukrainie organizacje religijne.

Kostelnik, później zaś inni, w sumie ok. 30 księży). Opublikowany został również „Apel do wielbnych kapłanów grekokatolickich na zachodnich terenach Ukrainy”, w którym mowa o zapoczątkowaniu „świętej sprawy”, mianowicie powrotu do domu ojca. Na synodzie w 1946 roku akt ten został ostatecznie „po-
stanowiony”.

W 1971 roku prawosławny Kościół rosyjski obchodził we Lwowie dwudziestą piątą rocznicę istnienia owego „zjednoczenia”. Obecny arcybiskup Lwowa i Tarnopola, Mikołaj, oświadczył w swym przemówieniu na tym jubileuszu: „Trzeba dziękować Bogu, że w skomplikowanych warunkach przebudowy naszego Kościoła zjednoczone duchowieństwo obdarzył siłą ducha i chrześcijańskim taktem”. Dalej stwierdził, że obecnie dawny duch prawosławia, jego treść i ład, objął cały Kościół prawosławny. Uspokajająco oświadczył, iż architektura kościołów np. na terenach Huculszczyzny i Bojkowszczyzny zachowała swój dawny, etnograficznie folklorystyczny charakter. Zachowały się również stare śpiewy kościelne (*naspiwy*), które powstały już po zjednoczeniu z Rzymem. Słowem: w wielu dziedzinach niewiele się zmieniło, najbardziej istotna jest jednak integracja dawnego Kościoła grekokatolickiego z rosyjskim Kościołem prawosławnym i zabezpieczenie przez system jego hierarchii całkowitej zależności od Moskwy.

Arcybiskup Mikołaj zapewnił również, że Kościół prawosławny w Galicji stanowi „równouprawnione” ogniwo rosyjskiego Kościoła prawosławnego i rozwija samodzielną działalność w Galicji. Tu zda się może pewne wyjaśnienie dla czytelnika. Ludność ukraińska na Wołyniu i Polesiu była przed wojną przeważnie prawosławna, chociaż całkowicie niezależna od rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Wybitni przedstawiciele tego Kościoła byli mimo swej przynależności do prawosławia zwolennikami Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

We Lwowie zaczęto wkrótce po „zjednoczeniu” wydawać pismo pod tytułem *Eparchialnyj Wisnyk*, przemianowane później na *Prawosławnyj Wisnyk* i będące organem Egzarchy całej Ukrainy metropolii kijowskiej i galicyjskiej. We wspomnianym już przemówieniu jubileuszowym arcybiskup Mikołaj chwalił ulepszoną redakcję owego miesięcznika, który wychodzi w Kijowie i ma obecnie charakter ogólnoukraiński. Językowo różni się on także od poprzedniej publikacji, ponieważ wydawany jest obecnie w czysto literackim języku ukraińskim.

A oto druga wersja owego „aktu zjednoczenia”. W literaturze ukraińskiej ukazującej się na Zachodzie, jak również w odpowiedniej fachowej literaturze zachodniej istnieje wiele materiałów na ten temat. Tu ograniczymy się do pewnego dokumentu, do wychodzącego w „Samizdacie” *Ukraińskiego Wisnyka* Nr 1 ze stycznia 1970 roku. Chodzi mianowicie o oświadczenie grekokatolickiego księdza G. A. Budzyńskiego skierowane do prokuratora generalnego ZSSR w Moskwie z dnia 25 marca 1966 roku. Budzyński został już dnia 13. 3. 1945 roku — a więc jeszcze przed

„zjednoczeniem” — skazany przez trybunał wojskowy we Lwowie na karę pozbawienia wolności. W uzasadnieniu wyroku zarzucono mu obronę religii katolickiej na okupowanych terytoriach. 15 maja 1957 roku ponownie go skazano, ponieważ nie chciał uznać postanowień tak zwanego synodu lwowskiego z 1946 roku.

Budzyński w oświadczeniu swym pisze, że likwidacja Kościoła katolickiego na zachodnich terenach sowieckiej republiki Ukrainy przeprowadzona została podobnie, jak niegdyś car Mikołaj I poczynął sobie z unicką metropolią kijowską, lub car Aleksander III z Eparchią w Chełmie. Wspomnienia te uzupełnia uwagą, iż „wszyscy bez wyjątku carowie rosyjscy likwidowali Kościół katolicki w ten czy inny sposób”. Budzyński porównuje w swoim apelu likwidację metropolii kijowskiej w 1839 roku z likwidacją Kościoła greckokatolickiego w Galicji w roku 1946. Ci, którzy przeprowadzali owe likwidacje nie zostali w obu wypadkach przez nikogo do tego upoważnieni i nie zwracali się do wyższych instancji kościelnych. Kostelnik, inicjator zjednoczenia, również nie uzyskał żadnych pełnomocnictw od Kościoła rosyjskoprawosławnego, ponieważ nie był prawosławnym. W cytowanym oświadczeniu znajdują się także inne, z prawnego punktu widzenia doniosłe, argumenty, m.in. przypomnienie następujących wydarzeń: „Postanowienia synodu z 1946 roku wprowadzone zostały w życie już z końcem roku 1944, tj. na więcej niż rok przed tym, zanim zostały uchwalone. Kościół greckokatolicki został kompletnie zniszczony. Wszystkich bez wyjątku biskupów aresztowano, wśród nich metropolitę Slipyja, podobnie wszystkich kanoników, kilkuset prałatów, ponad tysiąc kapłanów i bardzo wielu zakonników, zakonnic i niższych diakonów (diaków), personel kościelny i zwykłych wiernych, którzy aktywnie uczestniczyli w życiu religijnym. Największe uderzenie w Kościół nastąpiło 13 kwietnia 1945 roku, gdy zniesiono wszystkie episkopaty. W nocy z 25 na 26 maja 1945 zaaresztowano wszystkie człołowe osobistości Kościoła”.

Oświadczenie Budzyńskiego jest dokumentem o historycznym znaczeniu, tu zaś odtworzona została jedynie znikoma część zawartych w nim informacji. W dokumencie tym opisuje Budzyński również rolę państwa sowieckiego w kierowaniu życiem kościelnym. Czyni on Kościół i ustrój sowiecki odpowiedzialnymi za rusyfikację całego życia religijnego. Stwierdza przy tym wyraźnie: „W przeszłości Kościół rosyjski służył zaborczemu imperializmowi carów rosyjskich... Władze kościelne okrutnie prześladowały naród ukraiński, zwłaszcza najlepszych jego przedstawicieli, nienawidziły języka ukraińskiego i usiłowały z dzikim fanatyzmem zniszczyć go”.

Organizacja Kościoła rosyjskoprawosławnego na Ukrainie

Państwowym urzędem do spraw religii jest Rada do spraw religii przy Radzie Ministrów ZSSR (przewodniczący: W. A. Ku-

rojedom). Rady takie istnieją również przy radach ministrów republik związkowych, przewodniczącym Rady do spraw religii przy Radzie ministrów Ukraińskiej SSR jest Mykoła Panasowicz Kołesnyk, który w ostatnim roku zajął miejsce wieloletniego przewodniczącego, byłego ministra kultury i późniejszego przewodniczącego Ukraińskiego Towarzystwa do kontaktów kulturalnych z zagranicą, Kostiantyna Zacharowycza Łytwyny. Na szczeblu okręgu i rejonu istnieją również zarządy do spraw religii.

Ponadto istnieje w odpowiednim zarządzie KGB oddział do spraw religii, który „zajmuje się” w swoisty, typowy dla tego aparatu, sposób sprawami religii i Kościoła. Najważniejszym jego zadaniem jest nadzorowanie działalności biskupstw i wiernych, wprowadzanie agentów do seminariów duchownych i Akademii, werbowanie duchowieństwa, a nawet wyższych dostojników kościelnych do współpracy z KGB, aby tą drogą uzyskiwać pożądane informacje. W publikacjach „Samizdatu” zawarte są na ten temat dość konkretne dane, zdarzają się też protesty wiernych przeciw takiemu wtrącaniu się KGB do życia religijnego.

Zasady, według których zorganizowany jest Kościół rosyjskoprawosławny obowiązują również w odniesieniu do rosyjskoprawosławnego Kościoła na Ukrainie. Najniższym ogniwem jest wspólnota religijna — *cerkownyj pryhid* (gmina), na czele której stoi egzekutywa złożona z ludzi świeckich. Duchowni nie wtrącają się do administracyjnych i gospodarczych prac wspólnoty, ich funkcja ograniczona jest do odprawiania nabożeństw i zaspokajania religijnych potrzeb wiernych. Dochody Kościoła złożone są wyłącznie z datków, opłat za usługi religijne, sprzedaży świec i innych dewocjonalii jak książki do nabożeństwa, śpiewniki etc. Część tych dochodów przeznaczona jest na utrzymanie aparatu kościelnego. Gminy kościelne połączone są w okręgi (*okruhy*), te zaś dzielą się na 67 eparchii i 4 egzarchaty. Eparchiami kierują archijereje (biskupi, arcybiskupi i metropolici), podporządkowani patriarchatowi. Kościołowi rosyjskoprawosławnemu przewodzi patriarcha, a wraz z nim synod. Synod z patriarchą jako przewodniczącym składa się z ośmiu eparchialnych archijerejów; pięciu z nich jest członkami stałymi, trzech wybiera się jedynie na czas ograniczony podczas odbywających się co pół roku sesji synodu. W kierowaniu Kościołem wielką rolę odgrywają rozmaite wydziały (np. kontaktów zewnętrznych), komitety (np. do spraw studiów teologicznych lub emerytur), wreszcie też Zarząd Gospodarki. Kadry duchowieństwa kształci się w trzech duchownych seminariach — w Moskwie, Leningradzie i Odessie, oraz dwóch Akademii duchownych — w Moskwie i Leningradzie.

Na czele Kościoła rosyjskoprawosławnego na Ukrainie stoi egzarcha całej Ukrainy, metropolita Kijowa i Halicza, którego praca oparta jest wyłącznie na wskazówkach nadsyłanych z centrali w Moskwie. Na Ukrainie istnieje osiemnaście diecezji, do-

kładnych danych na temat ilości gmin (*cerkownych prychodiw*) brak, ale przypuszcza się że jest ich około 3.000. Kapłanów jest nieco powyżej dwóch tysięcy, co odzwierciedla ich brak. Kapłanów kształci się w seminarium duchownym w Odessie lub w dwóch pozostałych, wymienionych już seminariach w Moskwie lub Leningradzie. Jeszcze trzy-cztery lata temu zarówno wierni jak i dostojnicy kościoła ubolewali nad wielkim brakiem kandydatów do stanu kapłańskiego, lecz w ostatnich latach sytuacja ta uległa zmianie, co połączone jest z nowymi, doniosłymi procesami zachodzącymi wśród ludzi wierzących w Sowietach: sporo młodzieży uważa obecnie zawód kapłana za zaszczepny. Ponadto istnieje na Ukrainie dziewięć klasztorów: dwa męskie i siedem żeńskich. Według wiadomości docierających na Zachód ilość klasztorów uległa w okresie 1978/79 zmniejszeniu, czego jednak źródła sowieckie nie potwierdzają. Nie ulega jednak wątpliwości, że we wzmożonej propagandzie ateistycznej próby zniesławiania zawodu kapłańskiego odgrywają i dziś jeszcze znaczną rolę.

Obsada czołowych pozycji w rosyjskim Kościele prawosławnym na Ukrainie przedstawia się następująco:

— FILARET (Michaił Antonowicz Denisenko), egzarcha Ukrainy, metropolita Kijowa i Galicji, ur. 28. 1. 1920 w Błagodatnoje (Zagłębie Donieckie), studia na Akademii duchownej w Moskwie;

— ANTONIJ (O. I. Wakarik), arcybiskup Czernichowa i Niżyń, ur. 26. 7. 1926 w Stawchannym, obw. Czerniowce; studia teologiczne na seminarium duchownym lub Akademii duchownej w Moskwie, kandydat teologii;

— DAMIAN (D. G. Marczuk), arcybiskup Wołynia i Równego, ur. 15. 2. 1899 w Korostianinie, obw. Wołyń;

— DAMASZKIN (A. I. Bodryj), biskup Połtawy i Kremenczuha, ur. 20. 4. 1937 w Bielinach, obw. Wielki Łuki, ukończył studia na Akademii duchownej w Leningradzie; do listopada 1979 roku biskup Wologdy i Wielikij Ustiug. Jego stanowisko przejął dotychczasowy biskup Połtawy i Kremenczuha, Ukrainiec FEODOSIJ (M. N. Dikun);

— LEONTIJ (I. A. Gudimow), arcybiskup Symferopola i Krymu, ur. w 1928 roku w obw. Sumy, kandydat teologii;

— NIKOŁAJ (E. N. Jurik), metropolita Lwowa i Tarnopola, ur. 6. 12. 1910 w Korostyniu, obw. Lwów, studia medyczne, potem teologiczne na Akademii duchownej we Lwowie, zakończenie studiów w Iwano-Frankowsku;

— SAWA (A. P. Babiniec), biskup Muchaczowa i Użgorodu, ur. 25. 3. 1926 na Zakarpaciu, studia na seminarium duchownym i Akademii duchownej w Moskwie, kandydat teologii;

— SERGIJ (S. W. Petrow), metropolita Chersonia i Odessy, ur. 5. 10. 1924 w Krasnodarze, studia na seminarium duchownym i Akademii duchownej w Moskwie, kandydat teologii;

— WARŁAAM (A. T. Ilutczenko), biskup Czerniowiec i Bukowiny, ur. 13. 5. 1929 w Prusku, pow. Klimowo, obw. Briańsk, studia na seminarium duchownym w Kijowie, studia zaoczne na Akademii duchownej w Moskwie;

— NIKODYM (N. S. Rusnak), arcybiskup Charkowa i Bogo-duchowa oraz prowizoryczny egzarcha Ameryki Środkowej i Południowej, ur. 4. 4. 1921 w Dawidowcach, obw. Czerniowce, studia na seminarium duchownym w Moskwie*.

Trudności oraz problemy Kościoła rosyjskoprawosławnego na Ukrainie

W ciągu ostatnich trzech-czterech lat nastąpiło w Sowietach znaczne ożywienie życia religijnego, wszelkie legalnie istniejące Kościoły przechodzą kryzys, znaczna ilość wiernych potępia ich współpracę z państwem, ponieważ ostatecznym celem władz sowieckich jest zniszczenie religii. W Kościele rosyjskoprawosławnym znaczenie pewnej, choć słabej jeszcze, opozycji wiernych jest ogromne, ponieważ występuje ona odważnie przeciw tradycyjnej zależności Kościoła prawosławnego od władzy. Wśród ewangelickich chrześcijan-baptystów doszło także do rozłamu i to na znacznie większą skalę: powstał tam cały ruch „inicjatyw-ników”, który powołał do życia własny organ, najwyższy „związek kościołów” (*sojuz cerkwiej*). Interesujący w warunkach istniejących na Ukrainie jest tutaj fakt, że baptysci, którzy przed wojną reprezentowani byli jedynie wśród nieistniejącej już mniejszości niemieckiej, zdolali rozszerzyć swoje wpływy na całą Ukrainę, a zwłaszcza na małe miasteczka i osiedla miejskie. Analiza, jaką przed dwoma laty przeprowadził autor niniejszej informacji, wykazuje, że baptysci konkurują skutecznie z Kościołem rosyjskoprawosławnym, zwłaszcza na terenach przemysłowych, jak np. Zagłębie Donieckie, głównie w osiedlach miejskich.

Kościół prawosławny ma na Ukrainie swoje specyficzne problemy, podobnie jak Kościół rosyjskoprawosławny w Rosyjskiej Republice Sowieckiej, chociaż nowe tendencje rozwojowe w życiu religijnym całego Związku Sowieckiego znajdują echo również i na Ukrainie i w pewnej mierze wpływają na postawę wiernych. Dla lepszego zrozumienia obecnej sytuacji oraz trosk Kościoła prawosławnego w Sowieckiej Socjalistycznej Republice Ukrainy niezmiernie ważne jest ukazanie owych specyficznie ukraińskich problemów.

Przede wszystkim podkreślić trzeba, że Kościół greckokatolicki został rozwiązany przed 33 laty, lecz jednak istnieje w rozmaitych postaciach po dzień dzisiejszy: greckokatolicki „Kościół katakumbowy” z trzema biskupami i dość rozległą siecią kapłanów regularnie spełnia swoje obowiązki względem wiernych. Wiadomo np., że we Lwowie „urzęduje” w każdej dzielnicy miasta greckokatolicki kapłan: w sumie jest ich osiemdziesięciu.

* Dane biograficzne według archiwum autora, w całości opublikowane w: „The Soviet Ukraine 1953-1979”, The Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta.

Sowieckie władze bezpieczeństwa są o tym dokładnie poinformowane, nie ośmielają się jednak likwidować terrorem owego Kościoła podziemnego, ponieważ jego wpływ na ludność jest jeszcze bardzo wielki. Karze się tylko poszczególne osoby za branie udziału w „nielegalnych zebraniach” (nabożeństwach) — za pierwszym razem grzywną, później 15-toma dniami aresztu. Biskupi i kapłani usiłują w pewnej mierze dostosować swą taktykę do istniejących warunków i nie prowokować władz. Jeszcze przed paru laty prasa sowiecka zamieszczała konkretne informacje nawet o nielegalnie istniejących klasztorach. Kościół katakumbowy unika jakichkolwiek konfliktów z Kościołem prawosławnym, a nawet znane są liczne wypadki, w których kapłani prawosławni pomagali swym grekokatolickim kolegom. Grekokatolicy od lat, choć bezskutecznie, usiłują zalegalizować swoje gminy, spełniając przy tym wszelkie wymagane przez prawo warunki. Usiłowania te wzrosły po wybraniu „słowańskiego papieża”, ponieważ zwiększyły się również nadzieje na zmianę polityki sowieckiej względem Kościoła grekokatolickiego na zachodnich terenach Ukrainy sowieckiej.

Inny z kolei problem Kościoła prawosławnego łączy się z faktem formalnej jedynie przynależności wielu jego członków do tego Kościoła, choć w rzeczywistości pozostali oni wiernymi Kościołowi grekokatolickiemu. Dochodzimy tu do pewnych problemów, które przede wszystkim dotyczą Kościoła rzymsko-katolickiego oraz grekokatolickich wiernych, lecz w istocie są też niezmiennie ważne dla wszystkich chrześcijan w Związku. Wybór Karola Wojtyły na papieża Jana Pawła II-go wniósł sam przez się szereg nowych elementów w życie religijne całego Wschodu. W związku z tym umocniły się także pewne nowe tendencje wśród rosyjskich prawosławnych, zwłaszcza w kierunku ściślejszej współpracy ekumenicznej. Najważniejszy jest jednak fakt, iż wszystkie Kościoły przekonane są, że „ten papież” przyczyni się jakoś do złagodzenia polityki naczelnych władz sowieckich wobec ludzi wierzących, a także iż stałe naruszanie praw człowieka, a więc także ludzi wierzących, zmniejszy się pod naciskiem zachodniej opinii publicznej. Nadzieje te są szczególnie silnie rozpowszechnione na Ukrainie, gdyż tam właśnie dochodzi nader często do zamykania kościołów, trudności przy wykonywaniu obowiązków religijnych oraz do szczególnie brutalnych akcji przeciwko baptystom-inicjatywnikom i skrytobójczych morderstw, których ofiarami są aktywiści religijni.

Autorytet papieża jest niezmiennie silny wśród wszystkich chrześcijan i ludzi wierzących, choć będących innych wyznań, w całym Związku Sowieckim. W ciągu ostatnich lat powstała w środowisku rosyjskich prawosławnych opozycja względem obecnego kierownictwa Kościoła i jego polityki. Istnieje np. „Chrześcijański Komitet Obrony Praw ludzi wierzących w ZSSR” którym kierują trzech kapłani: Gleb Jakunin (aresztowany 1. 11. 1979), Wiktor Kapitanczuk i Wadim Szczegłow. Komitet ten zwrócił się już w październiku 1978 roku do papieża Jana Pawła I-go

z oświadczeniem, które zostało szeroko rozpowszechnione przez „Samizdat”. Szczególnie skrytykowany został metropolita Nikodem, kierownik wydziału kontaktów z zagranicą w moskiewskim patriarchacie. W dokumencie tym twierdzono m.in. że metropolita Nikodem jest aktywnym współpracownikiem Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa. Sygnatariusze apelowali również do papieża, prosząc o poparcie dla procesów regeneracyjnych w rosyjskim Kościele prawosławnym i w staraniach o rozszerzenie prawdziwej religijności, „czego nie uda się osiągnąć bez pomocy Kościołów chrześcijańskich... mamy też nadzieję, iż Kościół katolicki jak również wszyscy chrześcijanie na Zachodzie wyciągną swe pomocne dłonie ku wszystkim cierpiącym braciom”. W dokumencie tym znajduje się też cały katalog celów, które członkowie „Chrześcijańskiego Komitetu Obrony ludzi wierzących w Związku Sowieckim” pragną zrealizować. Komitet ten protestował zresztą już dość często przeciw prześladowaniu katolików w Związku Sowieckim, brał w obronę baptystów i wołał o pomoc dla aresztowanych duchownych katolickich lub prawosławnych Ukraińców. Istnieją również apele wierzących Ormian, skierowane do papieża.

Stwierdzić jednak należy, iż ostatnio w prawosławnym Kościele „katakumbowym” tzw. *istinno prawosławnaja cerkow* nabrała pewnego znaczenia. Opowiada się ona za przywróceniem monarchii, a pewne deklaracje tego ruchu religijnego na temat lojalności względem innowierców wydają się nam mało wiarygodne, zwłaszcza z uwagi na fakt, że w Związku Sowieckim istnieją najściślejsze powiązania pomiędzy religią a problemem narodowości np. na Ukrainie, Litwie, w Armenii, Gruzji itd. Ścisłe te powiązania rosyjskiego prawosławia z „rosyjską ojczyzną” istnieją nadal, przy czym często idea „jednej a niepodzielnej Rosji” odgrywa znaczną rolę.

Jeden z najlepszych ekspertów do spraw Kościoła rosyjskoprawosławnego, w Niemczech Zachodnich, Gerhard Simon, analizuje rezultaty światowej konferencji, jaka odbyła się w Moskwie pod hasłem „Reprezentanci religii o trwałą pokój, rozbrojenie i sprawiedliwe kontakty pomiędzy narodami” (w czerwcu 1977 roku). Tam właśnie oświadczył np. patriarcha Pimen: „...Od chwili powstania państwa sowieckiego aż po dzień dzisiejszy zagraniczna jego polityka jest polityką pokoju i przyjaźni pomiędzy narodami”. Komentarz Simona: niektórzy przedstawiciele prawosławnej inteligencji wywodzą tak reprezentowane pozycje polityczne bezpośrednio z przekonań religijnych. I dalej cytując Pimena: „Polityczne końcowe wnioski owej konferencji są wnioskami ludzi religijnych, rozważających realne wydarzenia na naszym świecie z pozycji religijnych i podejmujących decyzje w świetle wiary”. Komentarz Simona: „Tego rodzaju teologiczne uzasadnianie konkretnych stanowisk politycznych nie wykracza poza hasło: „Z Bogiem — za króla i ojczyznę” i co najmniej *implicite* neguje wpływ postawy i świadomości religijnej na całkiem odmienne decyzje polityczne”. Mimo wszystkich tych za-

strzeżeń stwierdzić należy, że chyba po raz pierwszy w dziejach rosyjskiego Kościoła prawosławnego istnieje tak wiele aktywnie wierzących ludzi, którzy w publikacjach „Samizdatu” i podczas tzw. „seminariów duchownych” potępiają tradycyjną zależność od władzy niegdyś carskiej a obecnie sowieckiej, oraz nietolerancję względem innowierców i w ogóle szowinizm. Dzięki osobistościom takim jak prof. A. Sacharow i wielu innych wzrosły w Rosji pewne szanse na demokratyzację, mimo iż inne, konserwatywne nastawienie opozycji uzyskało dość silne poparcie w osobie Sołżenicyna.

Wśród ukraińskich kapłanów prawosławnych rozwijających akcję uświadamiania na temat prześladowania chrześcijan w Związku Sowieckim interesującą postacią jest O. Romaniuk. Wielkie wrażenie sprawiają zwłaszcza jego listy do papieża Pawła VI-go i do *Osservatore Romano*, zwracał on się także bardzo często do Metropolity Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Stanach Zjednoczonych Mstysława (Skrypnyka).

Romaniuk (ur. w 1925 r.) został po raz pierwszy aresztowany i skazany na 10 lat pozbawienia wolności w 1944 roku. Ojciec jego zginął na wygnaniu, młodszy brat został zastrzelony przy próbie ucieczki. W 1972 roku Romaniuk został ponownie aresztowany, gdyż protestował przeciw terrorystycznemu wyrokowi na W. Moroza. Wyrok ów opiewał na 2 lata więzienia, 5 lat łagru i 3 lata zesłania. W liście do *Osservatore Romano* pisał on w 1977 roku z Sosnowki, miejsca swego zesłania:

„Lecz podczas gdy kapłani prawosławni tylko boją się do mnie pisać, księża katolicy żyją po prostu poza prawem. Istnieć mogą oni bowiem tylko w podziemiu. Ukraiński Kościół prawosławny jest także zakazany, prawosławni Ukraińcy należeć muszą do rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Nie dość, że rosyjski Kościół prawosławny nie ma żadnych uprawnień dla swojej działalności, lecz jeszcze ponadto wykorzystuje go się do celów rusefikacji. Niezależnie jednak od faktu, że przystaje on na rolę pomocnika w rusefikacji Ukrainy, ratunku mu to nie daje. Duchownych rosyjskich przepędza się pod byle jakim pozorem, jeśli nie służą swoim „panom”. Autolikwidacja Kościoła rosyjskiego jest w pełnym toku.
[...]

Cytujemy te fakty, aby powiadomić wolny świat, a przede wszystkim wszystkich chrześcijan, że potrzebne nam ich poparcie. Niebawem założony zostanie na Ukrainie Komitet Obrony Religii. Będzie on miał charakter ekumeniczny, członkowie jego będą mogli być prawosławnymi, katolikami, bądź też ewangelicznymi chrześcijanami-baptystami. Komitet ten będzie musiał domagać się od rządu, by ustawa o wolności sumienia nie była w żaden sposób naruszana. Stawiam tu pewne żądania i apeluję do całego świata chrześcijańskiego o pomoc w ich urzeczywistnieniu:

1. Na Ukrainie należy niezwłocznie otworzyć wszystkie kościoły i klasztory, które zamknięte zostały w ciągu ostatnich 20 lat;
2. Uczelnie teologiczne, seminaria i akademie powinny powstać z ukraińskim językiem nauczania, Pismo Święte oraz inną literaturę religijną wydawać należy w rodzimym języku ukraińskim;

3. Zalegalizować należy świątynie Kościoła katolickiego;
4. Dzieci ludzi wierzących muszą mieć prawo chodzenia do kościoła i na naukę religii, gdyż obecnie, jak wiadomo, dzieciom poniżej lat 18 zabrania się uczęszczania do kościołów i domów modlitwy;
5. Ludzie wierzący muszą mieć prawo do zdobywania wyższego wykształcenia, zostawania nauczycielami, lekarzami czy inżynierami, co obecnie utrudnia się im pod różnymi pretekstami.

Kościół prawosławny na Ukrainie zabiega, zwłaszcza na zachodnich terenach Ukrainy sowieckiej, o zgodę z innymi organizacjami religijnymi i znane są nieliczne jedynie wypadki zwracania się prawosławnych duchownych do organów bezpieczeństwa z prośbą o zaostrzenie akcji przeciwko katolikom. O jednym z dwóch takich wypadkach donosi publikacja „Samizdatu” *Ukraińskijsj Wisnyk*.

W wielu jednak wypadkach rozmaite Kościoły wspierają się wzajemnie, zwłaszcza gdy chodzi o obronę tych praw, które im gwarantuje konstytucja sowiecka. Wielkie wrażenie sprawiają akcje ludzi wierzących przeciwko zamykaniu kościołów. Szczególnie donośne echo zarówno na Ukrainie jak i zagranicą wzbudziła akcja wiernych w Pawłogradzie, w rejonie Dniepropetrowska, w obronie tamtejszego kościoła, którym, jak to można było przeczytać w licznych oświadczeniach, „zawiadywał niegodny kapłan”. Na Zachodzie znane są listy wiernych do rozmaitych urzędów, łącznie z listem do Leonida Breżniewa od komitetu, złożonego z sześciu osób.

W „Samizdacie” na bieżąco ukazują się relacje na temat obrony kościołów na całej Ukrainie. Powody podejmowania takich akcji są rozmaite, dość często chodzi o niedopuszczenie do kradzieży różnych przedmiotów i w ogóle własności kościelnej, dokonywanych przez osoby, które wprawdzie przyłączyły się do danej parafii, lecz jedynie celem rozbicia jej od wewnątrz. Organizatorzy takich akcji przeciw „złodziejom” bywają niekiedy aresztowani lub nawet bici. Wstrząsającą relację otrzymano ze wsi Udobnoje w rejonie Odessy, w okolicach Biełgorod-Dniestrowsk, gdzie pobito człowieka, u którego znaleziono pisma religijne, on zaś odmówił odpowiedzi skąd je otrzymał. Poszkodowany opublikował protokół o torturach, jakie mu zadawano podczas trzydniowego przesłuchiwania.

Prasa zachodnia donosiła o wysiłkach ukraińskich prawosławnych, pragnących uratować od zburzenia kościół Trzech Króli w Żytomierzu, do czego, mimo tych usiłowań, doszło jednak 13 sierpnia 1975 roku. „Samizdat” rozpowszechniał apel parafian owego kościoła w Żytomierzu z dnia 6 sierpnia 1975 roku, skierowany do sekretarza generalnego ONZ, Kurta Waldheima, do wszystkich głów państw na Zachodzie oraz do Komisji Obrony Praw Człowieka w Danii.

Na Ukrainie widoczna jest solidarność wszystkich ludzi wierzących w sprawie obrony ich praw, przy czym niejaki rozbież-

ności w zasadniczych zagadnieniach, istniejące pomiędzy poszczególnymi Kościołami, nie odgrywają żadnej roli.

Sytuacja Kościoła na Ukrainie różni się od innych republik tym jeszcze, że władze na Ukrainie od dawna już popierają dążenia partii zmierzające do wprowadzenia „sowieckich obyczajów i obrzędów” na miejsce dawnych, tradycyjnych i religijnych. Akcja ta prowadzona jest w sposób nader skoncentrowany, gdyż chodzi o wykorzystanie doświadczeń, uzyskanych na Ukrainie, w całym Związku Sowieckim. Przy Radzie Ministrów Ukraińskiej SSR powstała, zgodnie z postanowieniem KC KP Ukrainy oraz Rady Ministrów Ukraińskiej SSR, „Komisja do spraw tradycji, uroczystości i obyczajów sowieckich”, powołana przy Radzie Ministrów Ukraińskiej SSR. Jednocześnie założono całą sieć takich Komisji przy egzekutywach Rad Delegatów Robotniczych w dzielnicach miejskich, osiedlach i wsiach, których działalność rozwija się pod kierunkiem komitetu partii oraz lokalnych sołowiej. Do owej komisji republikańskiej należy przeszło czterdziestu przedstawicieli wszystkich ministerstw i urzędów, związków twórczych i naukowych oraz organizacji społecznych. W Kijowie szkolone są kadry do takich akcji także dla innych republik. Obok uroczystości na dzień zwycięstwa ustala się odpowiednie ceremonie na modłę sowiecką, na okazje zawarcia małżeństwa, narodzin lub pogrzebu. Usiłuje się przy tym innymi środkami zachować walor „emocjonalny” tych obrzędów. Zwłaszcza przy pogrzebach wprowadzać należy różne metody oddziaływania psychologicznego, jak muzyka żałobna, wieńce lub bukiety kwiatów, warty honorowe, minutę milczenia, uroczystą procesję do grobu lub krematorium itp. Cały sztab „psychologów” pracował nad tym, by wpływ emocjonalny i atrakcyjność tych obrzędów silniejszy był od wpływów religijnych. W Kijowie założona została pierwsza w Związku Sowieckim firma „Swjato” (Święto). Masywny ów nacisk skierowany jest na wszystkich Kościoły i wszystkich wiernych i przeciw wszelkim obrzędom religijnym na cmentarzach, krematoriach, a także w gronie rodziny lub przyjaciół.

Na koniec kilka słów jeszcze o przyszłości spraw religii na Ukrainie. Tzw. sowiecki „ateizm naukowy” przeżywa obecnie kryzys, a załamany się głównie dlatego, że od dziesiątków lat powtarza, iż religia jest produktem niewiedzy i zjawiskiem typowym tylko u ludzi niewykształconych. Z chwilą zlikwidowania analfabetyzmu oraz podwyższenia ogólnego poziomu kultury wśród ludności religia zaniknie. Ideolodzy partyjni wysłuchują jednak w ciągu ostatnich lat licznych zastrzeżeń ze strony naukowców, zwłaszcza przyrodników, stwierdzających, iż gwałtowny rozwój nauki, szczególnie zaś nauk przyrodniczych, jednoznacznie wskazuje na fakt, że niezależnie od najnowszych instrumentów badawczych i nowych, rewolucyjnych odkryć strefa „nieznanego” bynajmniej się nie zmniejsza lecz nieustannie zwiększa. Ergo: każdy człowiek, zwłaszcza zaś człowiek wykształcony, ma prawo do religii.

Istnieją kontakty lub nawet stałe porozumienia nie tylko pomiędzy ukraińskimi prawosławnymi i grekokatolikami, lecz także z ewangelickimi chrześcijanami-baptystami. Wskutek doświadczeń, jakich po rewolucji październikowej nabył cały naród ukraiński, dąży się do uniezależnienia również i życia religijnego w tym kraju od jakiegokolwiek centrali, gdyż jest to jedyna szansa na rozwiązanie owych problemów zgodnie z wolą narodu ukraińskiego i w jego interesie. Na wskroś niesłuszne byłoby mniemanie, że np. Kościół prawosławny nie posiada w społeczeństwie ukraińskim ustalonej pozycji, pragnie on bowiem i zamierza kontynuować tradycje ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Przyszłość zaś nie polega na połączeniu w jeden Kościół narodowy Kościoła prawosławnego i katolickiego, o czym dzisiaj już marzą niektórzy fanatycy, lecz na *wzmocnieniu ekumenicznej współpracy* wszystkich Kościołów chrześcijańskich oraz ich kooperacji z Kościołami niechrześcijańskimi, które — zwłaszcza po powrocie Tatarów krymskich na Ukrainę, a także celem zagwarantowania pełnych praw mniejszości żydowskiej — staną się pilną koniecznością dla wolnej i współczesnej Ukrainy.

Borys LEWYCKYJ

(Tłumaczyła m.k.)

W sowieckiej prasie

Przedstawienie jakie dał Kreml 31 marca 1980 roku nie wzbudziło niestety wśród mieszkańców naszej planety zainteresowania na jakie liczyli organizatorzy. Obywatele sowieccy musieli w nim jednak uczestniczyć: radio, telewizja i gazety nie pozwoliły im uniknąć święta. 31 marca L. I. Breżniewowi wręczano Leninowską Nagrodę za jego książki. Został odznaczony jako najlepszy pisarz 1979 roku. I jako najlepszy pisarz w ogóle. G. Markow, pierwszy sekretarz Związku Pisarzy, powiedział wręczając nagrodę pierwszemu sekretarzowi *tout court*: „Książki L. I. Breżniewa nie mają sobie równych co do popularności i wpływu na masy czytelnice”. Tak właśnie powiedział: nie mają sobie równych...

Przyznać należy, że w Związku Sowieckim słowo i dzieło są nierozłączne. Jeśli już książka jest tego warta (książką nazywam w tym przypadku trzy cieniutkie broszurki podpisane „L. I. Breżniew”), to się ją wydaje nie bacząc na koszty. Pod koniec 1979 roku nakład „książki” Breżniewa wynosił 17 milionów egzemplarzy, a liczba ta, według B. Stukalina, przewodniczącego zarządu związku dziennikarzy sowieckich, „bezustannie

rośnie, książki te drukuje się właściwie bez przerwy a rozchodzą się one natychmiast, domy książki przysyłają wciąż nowe i nowe zamówienia" (Moskwa Nr 1). Co oznacza 17 milionów egzemplarzy można ocenić, wiedząc że na rok 1980 planuje się wydać nie zaledwie 15 milionów egzemplarzy Lenina.

Wróćmy jednak do obchodów. Laureata powitało dwóch pisarzy, że tak powiem kolegów po piórze, poza tym towarzyszy broni z tego samego pułku — emerytowany pułkownik, uczony-akademik i brygadier-kołchoźnik. Nawet przywykłymi do wszystkiego czytelnikami sowieckich gazet nie mogły nie wstrząsnąć pienia na cześć pierwszego sekretarza. Wystąpienia na obchodach przekonywująco dowiodły, że kłamstwo nie ma granic.

Emerytowany pułkownik zapewniał, że latem 1943 roku Leonida Iljicza Breżniewa, podówczas komisarza wydającego legitymacje partyjne, „słuchali wszyscy”, że był on „natchnieniem, porywającym miliony do walki, do boju”, że „razem z nim wytrzymałyśmy i zwyciężyłyśmy”. Kołchoźnik wyraził „bezgraniczny dług wdzięczności wobec partii, przede wszystkim jednak wobec „drogiego, ukochanego L. I.”. Jemu dziękował za „szczęście, jakim jest życie na takiej ziemi”. Akademik Ju. A. Owczinnikow, największy chemik pośród działaczy partyjnych i największy działacz partyjny pośród chemików, bezwstydnym karierowicz i przyszły przewodniczący Akademii Nauk ZSSR stwierdził, że książka Breżniewa jest „głębokim filozoficzno-psychologicznym dziełem”, „osiągnięciem najbardziej przodującej myśli naukowej”, „encyklopedią prawdziwych doświadczeń narodu”. Pierwszy sekretarz Związku Pisarzy Sowieckich oświadczył w poetyckich słowach, że w książkach Breżniewa „każde słowo tętni krwią jego serca — serca bojownika i budowniczego, i opromienione jest blaskiem jego myśli — myśli komunisty-leninowca, ojca i twórcy szczęścia narodu”. Najbardziej przygnębiające wrażenie zrobiło na mnie wystąpienie litewskiego poety E. B. Mieżełajtisa. On także dziękował Breżniewowi za książkę, w której wypowiedział się „komunista, odnowiciel, humanista”. Poeta Mieżełajtis zaprosił humanistę Breżniewa na obchody „czterdziestolecia sowieckiej Litwy”.

Nie warto by może tak obszernie cytować wystąpień, które od zwykłych sowieckich tekstów propagandowych różnią się tylko szczególnie wysokim natężeniem kłamstwa, gdyby każde z nich nie podkreślało, że Breżniew w swojej książce „stwarza model nowego człowieka” (E. Mieżełajtis), że pokazuje „nasz sowiecki model życia, naszego sowieckiego człowieka” (Ju. Owczinnikow), że jego książka „uczy, jak zwyciężać” (G. Markow). Sam Breżniew odpowiadając nie ukrywa, że książka jego (?) jest „partyjną propagandą”.

Święto laureata nagrody leninowskiej w dziedzinie literatury i propagandy sowieckiej (zresztą są to synonimy) o tyle zasługuje na uwagę, że było to autentyczne święto *homo sovieticus*.

Każdy z występujących na obchodach wiedział, że kłamie. Ponieważ jednak uważał, że tak „trzeba”, w jakiejś mierze wierzył

w to, co mówi. Sam Breżniew, wiedzący lepiej niż ktokolwiek, że w najlepszym przypadku zaledwie podpisał rękopis, a może tylko obejrzał książkę po jej wydrukowaniu, jakby uwierzył w to, że ją napisał.

Można się spierać o stopień wiary we własne kłamstwo. Znakomitym dowodem tego zjawiska — właściwego *homo sovieticus* — stały się wydarzenia na Kubie. Rozgniewany na poselstwo Peru za to, że dało schronienie Kubańczykom, Castro zabrał policjantów chroniących poselstwo i oświadczył, że kto chce może prosić tam o azyl. Do poselstwa runęły tysiące Kubańczyków. Jeśliby Castro, oprzytomniawszy, nie okrążył poselstwa kordonem policji, uciekłyby tam może i połowa ludności Kuby. Raz jeszcze potwierdziło się, że nie ma takiego dowcipu, który by w socjalistycznej rzeczywistości nie stał się prawdą. W słynnej rozmowie dwu przyjaciół o tym, co by zrobili, gdyby otwarto sowiecką granicę, rozsądny okazuje się ten, który stwierdził, że od razu wlezie na drzewo, żeby go nie stratował tłum uciekający z raju. Trudno uwierzyć, żeby Castro nie znał prawdy o katastrofalnym położeniu na Wyspie Wolności, o niezadowoleniu Kubańczyków. A jednak, jak się okazuje, myślał, że socjalizm jest bardziej pociągający.

Alain Besançon dał klasyczną już dziś definicję różnicy między religią a ideologią. Człowiek religijny wie, że wierzy, ideolog wierzy, że wie. *Homo sovieticus* — człowiek ideologii *par définition* — święcie wierzy, że wszystko wie.

Mówiąc *homo sovieticus* mam na myśli nie tylko obywateli pierwszego w świecie państwa socjalizmu. „Sowiecki człowiek” rodzi się wszędzie gdzie budują socjalizm. W dniu, w którym nagrodzono Breżniewa *Trybuna Ludu*, witając kolejne *opus* pierwszego sekretarza w polskim przekładzie, pisała że „prace towarzysza L. I. Breżniewa uczą głęboko partyjnego, naukowego podejścia do problemów tworzenia materialno-technicznej bazy komunizmu... do problemów kształtowania nowego człowieka” (streszczenie artykułu przedrukowały wszystkie sowieckie gazety). Czechosłowacki pisarz Oldrich Rafaj oświadczył w *Izwiestiach*, że „Związek Radziecki zawsze okazywał i okazuje bratnią pomoc i poparcie narodom walczącym o niezawisłość i suwerenność” (1. IV. 1980).

Gustaw Herling-Grudziński z właściwą mu odwagą wskazał na specyficzną polską drogę do „sowiectyzmu”: demonizację Rosjan i „delektację bezsiły”. Ideologowie sowieccy doskonale znają tę drogę. Wyraża się ona w hasle: myśl komunistyczna jest prawdziwa, bowiem jest zwycięska.

A jeśli nie całkiem prawdziwa, to bez wątpienia zwycięska, a zatem może trochę prawdziwa...

Rozdwojenie osobowości, połączenie cynizmu z wiarą w siłę, która wydaje się prawdą, to najważniejszy rys „sowieckiego

człowieka". „Jestem głęboko przekonany, że bez wiary nie można żyć”, wyznaje lotnik-kosmonauta O. Makarow (kosmonauci, jako że byli w niebie, stali się sowieckimi prorokami). „Pytanie tylko — w co wierzyć? Ja, jak miliony sowieckich ludzi, wierzę w naukę, w przenikającą wszędzie poznawczą naukę, w wielką moralną siłę ludzkiego rozumu” (*Nauka i religia* Nr 4, 1979).

Na to żeby człowiek przemienił się w „sowieckiego człowieka”, żeby wierzył tylko w to, w co wierzą przywódcy, trzeba konieczne zlikwidować wszelką możliwość wyboru. Wychodzący w Paryżu *Wiestnik ruskogo christianskiego dwiżenia* opublikował w Nr. 130/IV/1979 wstrząsający dokument: raport Sowietu do spraw cerkwi prawosławnej przeznaczony dla członków KC KPZS.. Tajny raport, podpisany przez wiceprzewodniczącego Sowietu W. Furowa, został udostępniony wyłącznie członkom i kandydatom na członków KC w 1974 roku. Raport nosi tytuł „Kadry cerkiewne i środki prawnego ograniczania ich działalności”.

Ingerencje państwa sowieckiego w sprawy kościelne nie są tajemnicą. Po raz pierwszy jednak mamy przed oczyma oficjalny dokument w którym wyłożone są metody kontroli nad cerkwią na wszystkich szczeblach od patriarchy do starosty cerkiewnego sprzedającego świeczki, oraz cele tej kontroli.

Najwyższą władzę w rosyjskiej prawosławnej cerkwi sprawuje sobór, w skład którego wchodzi wszyscy biskupi, a także przedstawiciele duchowieństwa i świeckich wiernych. W przerwach między soborami na czele cerkwi stoi patriarcha (od 1 czerwca 1971 roku Pimen) i Synod. „Synod”, powiada *Raport*, „znajduje się pod kontrolą Sowietu. Kwestia doboru i nominacji członków była i pozostaje całkowicie w gestii Sowietu”. *Raport* dzieli episkopat rosyjski na trzy grupy. Pierwszą stanowią biskupi, którzy „słowem i czynem dowodzą nie tylko swojej lojalności ale i patriotycznego przywiązania do socjalistycznego społeczeństwa i... rzeczywiście zdają sobie sprawę, że nasze państwo nie jest zainteresowane w zwiększeniu roli religii i cerkwi w społeczeństwie, zaś rozumiejąc to, nie przejawiają specjalnej aktywności”. Na drugą grupę składają się lojalni biskupi, którzy jednak „starają się zaktywizować wiernych i aktyw kościelny, domagają się zwiększenia roli cerkwi w życiu jednostki, rodziny i społeczeństwa...”. I wreszcie trzecia grupa — ta część episkopatu, „w której w różnych momentach pojawiały się i pojawiają się próby obejścia ustawy o kultach...”.

Raport nie ukrywa, że mało jest lojalności i patriotyzmu, że „dobry biskup” winien przede wszystkim „nie przejawiać aktywności religijnej”. Przykładem takiego „dobrego biskupa” może być biskup Jona: „Nie przejawia on szczególnej żarliwości w służbie archierejskiej. Kazania wygłasza regularnie, ale krótkie i mało wyraziste, bez zapału. Prawie każde kazanie kończy wezwaniem do wiernych, aby żyli w pokoju, walczyli o pokój na całym świecie, dobrze pracowali w zakładzie... W rozmowach

z pełnomocnikiem Sowietu jest zrównoważony i powściągliwy, prawidłowo reaguje na nasze zalecenia”. Za to inny biskup, Chryzostom, „stara się zaktywizować życie religijne... czynnie rozjeżdża po parafiach z cerkiewnymi posługami”. Do tego wygłasza dziwne kazania, w których mówi o wierze w Boga. Pełnomocnik Kurskiej obłasti zawiadamia Sowiet „o niewłaściwym postępowaniu Chryzostoma”.

Raport objaśnia, co się dzieje jeśli biskup postępuje „niewłaściwie”: odpowiedni pracownicy Sowietu przeprowadzają „wielokrotne rozmowy” z arcybiskupem i neutralizują działacza za pośrednictwem patriarchy Pimena. Znacznie łatwiej poskromić szarego kapłana. *Raport* podaje jako przykład księdza Dymitra Dudko. Ten „występował z prowokacyjnymi kazaniem”, „skupiał wokół siebie młodzież i rozpracowywał ją w duchu wrogiej ideologii, ukrywał i rozpowszechniał samizdatową i inną literaturę...”. Wobec księdza Dudko zastosowano środki: „Po uzgodnieniu z organami przeprowadziliśmy odpowiednią robotę z patriarchą Pimenem i metropolitą Krutickim oraz kołomieńskim Serafinem, którzy przedsięwzięli środki celem wydalenia księdza Dudko z Moskwy”. *Raport* podsumowuje: „Tak to posługując się lojalnymi sługami cerkwi udało się usunąć z moskiewskiego kleru księdza Dudko...”. Dziś już wiemy, że okazało się to niewystarczające: ksiądz Dudko nie przestał zajmować się duszpasterstwem i w styczniu 1980 roku został aresztowany.

Osobny rozdział *Raportu* poświęcony jest przygotowaniu kadry duszpasterskiej. W 1974 roku cerkiew rosyjska liczyła 5.994 księży i diakonów. W ciągu kilku lat liczba ich zmniejszyła się o 30 %. Wiadomo, że w ostatnich latach w licznych miejscowościach wierni proszą o otwarcie nowych cerkwi. *Raport* informuje, że w dniu 1 stycznia 1975 roku było więcej zarejestrowanych cerkwi (7.062) niż księży (5.994). Liczba księży nadal się zmniejsza. Kształcą ich trzy seminaria duchowne — moskiewskie, leningradzkie i odeskie — i dwie akademie — moskiewska i leningradzka. „Ale” konstatuje *Raport*, „nie są one już w stanie zlikwidować postępującego kryzysu wśród księży i diakonów”.

Jest zupełnie zrozumiałe, że Sowiet do spraw prawosławnej cerkwi nie robi niczego dla zlikwidowania kryzysu: surowo sprawdzając kandydatów do seminarium lub akademii odrzuca każdego, kto chce zostać księdzem z powołania. *Raport* stwierdza otwarcie: „Pełnomocnicy Sowietu w ścisłej współpracy z miejscowymi organami władzy tak jak i w uprzednich latach zastosowali środki celem niedopuszczenia do szkół duchownych fanatyków, ekstremistów i ludzi psychicznie chorych”. Miejskowe organy władzy — to Organy, tzn. oddziały KGB. Doskonale wiadomo, kogo one uważają za „fanatyków, ekstremistów i ludzi psychicznie chorych”.

Sprawa nie kończy się na wyborze kandydatów do szkół duchownych. Program nauczania i dobór duchownych nauczycieli jest także w rękach Sowietu. Sowiet „domaga się kształtowa-

nia w słuchaczach patriotyzmu, miłości do sowieckiej Ojczyzny". W rezultacie w skład kursu pod nazwą „Moralna teologia” wchodziły takie tematy: „Międzynarodowy pokój jako moralne zadanie chrześcijan i wszystkich ludzi dobrej woli” i równocześnie „Powody wojny: agresywne, wyzwolenie, obronne”. W tej drugiej formule z łatwością rozpoznajemy formułę Lenina o wojnach „sprawiedliwych” i „niesprawiedliwych”. Kandydaci do służby kapłańskiej słuchają wykładów na następujące tematy: „Sukcesy KPZS i rządu sowieckiego w walce o urzeczywistnienie programu pokoju opracowanego przez XXIV Zjazd Partii; W. I. Lenin a rewolucja kulturalna; Wychowanie nowego człowieka najważniejszym zadaniem budownictwa komunizmu; Leninowska nauka o moralności komunistycznej i podstawowych zasadach wychowania moralnego; Jedność partii z narodem kluczem wszystkich zwycięstw budowy komunizmu; Wewnętrzna i zagraniczna polityka KPZS wyrazem prawdziwych interesów narodu” itd.

Nietrudno sobie wyobrazić, że za kilka lat cały kler rosyjskiej prawosławnej cerkwi będzie się składał z kapłanów nowego typu.

Pytanie, do czego będzie potrzebna cerkiew, której służyć będą wychowawcy „nowego sowieckiego człowieka”, którzy w seminariach studiowali dzieła Lenina i Breżniewa a ledwie że słyszeli o istnieniu Boga i Chrystusa. Cerkiew będzie potrzebna z dwóch powodów. Po pierwsze z uwagi na politykę wewnętrzną. Jak słusznie zauważył kosmonauta O. Makarow — nie można żyć bez wiary. Ci, którzy nie chcą lub nie potrafią wierzyć tylko we wszechmoc nauki będą chodzić do cerkwi. Ale i tam znajdą prawdziwych sowieckich ludzi, którzy będą im powtarzać to, co piszą gazety. Drugi powód jest z dziedziny polityki zagranicznej. Cerkiew służy „celom politycznym, jakie stawia przed episkopatem praca za granicą”. Tak formułuje zadanie *Raport*.

Jako przykład służenia „politycznym celom” *Raport* cytuje wystąpienie patriarchy Pimena na sesji Światowego Kongresu Pokoju w Sofii 17 lutego 1974 roku. Patriarcha mianowicie oświadczył: „Cała postępową ludzkość wysoko oceniła optymistyczną wiarę w pokojową przyszłość człowieka, której dał wyraz L. I. Breżniew w swoim znamienitym wystąpieniu...”.

Dla takich powodów zachowa się cerkiew, takie są rachuby KPZS i sowieckiego państwa. Czy da się zlikwidować cerkiew prześladowaniami, administracyjnymi represjami (początek 1980 roku zaznaczył się aresztami krnąbrnych kapłanów) i rozkładem od wewnątrz, to inna sprawa. *Raport* bezustannie podkreśla, że niezależnie od sukcesów Sowietu „religia zawsze stała i będzie stać na pozycjach obcych marksizmowi”, że „całe duchowieństwo w masie swej jest doświadczonym przeciwnikiem ideologicznym”, że duchowieństwo to kasta, która „wciąż jeszcze zdolna jest kształtować światopogląd religijny, i podtrzymując ślepą wiarę w Boga siać mistykę”, że „duchowieństwo rosyjskiej prawosławnej cerkwi, nawet jeśli jest lojalne wobec władzy sowieckiej,

pozostaje korporacją której ideologia jest nie do pogodzenia z naszym światopoglądem”.

Raport, będący komunikatem o zwycięstwie, jest zarazem, wbrew woli autorów, trwożnym sygnałem trudności w tworzeniu nowego człowieka, wierzącego tylko w naukę i towarzysza Breżniewa.

Przyznać należy, że droga do zwycięstwa, do stworzenia prawdziwego *homo sovieticus* istnieje. Afgańczycy którzy przeszli przez straszne kabulskie więzienia i wyszli z nich — kiedy Babrak Karmal oczyszczając więzienia zwał winę za represje na swojego poprzednika Amina — opowiadają o jednym z oprawców, który twierdził, że dla zbudowania socjalizmu w Afganistanie wystarczy jednego miliona ludzi. Po doświadczeniach z kambodżańskim modelem budowy socjalizmu projekt afgański wydaje się całkowicie realny. Tym bardziej że w Kambodży wytypowanie ludności odbywało się ręcznie, a w Afganistanie zastoso-

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

Firmy z krajów należących do *RWPG* i *EWG* założyły w ostatnich latach cały szereg nowych товариств mieszanych zajmujących się produkcją i zbytem. Chodzi o większą możliwość finansowania inwestycji, złagodzenie a nawet pokonywanie pewnych barier celnych i mniejsze ryzyko związane z produkcją i zbytem za granicą. W RFN działa 12 polsko-zachodniemieckich przedsiębiorstw i spółek (Związek Sowietki — 10). ■ W ub. roku Polskę odwiedziło 37 tys. mieszkańców Berlina Zachodniego. ■ W latach 1950-1979 przybyło do RFN 605 tys. przesiedleńców z Polski. ■ Nakładem Komitetu Solidarności z Wolnymi Związkowcami w Polsce z siedzibą w Augsburgu ukazało się rosyjskie wydanie *Karty Praw Robotniczych*, ogłoszonej w lipcu ub. roku w Warszawie na łamach niezależnego pisma *Robotnik*. ■ Prof. Stanisław Stomma w artykule na temat stosunków polsko-niemieckich, opublikowanym w lubelskich *Spotkaniach* (nr 9/1979), stwierdził m.in., że przynależność PRL do Paktu Warszawskiego „daje Polsce stan zupełnego bezpieczeństwa i gwarancję niezależności terytorialnej. Daje stabilizację zapewnioną na długi historyczny dystans. Jest elementem dodatnim obecnego stanu Europy” (?). ■ W Poznaniu czynna była wystawa książek naukowych zachodniobierlińskiej firmy wydawniczej *Walter de Gruyter* (filie w Nowym Jorku, Paryżu, i Hadze). ■ W Warszawie otwarto przedstawicielstwo *Towarzystwa Handlowo-Kooperacyjnego Therm-Koop*, reprezentującego grupę zachodniemieckich firm przemysłowych, wyspecjalizowanych w zakresie technologii procesów cieplnych i techniki spalania. Poza funkcjami handlowymi biuro będzie przygotowywać i finansować kooperację przemysłową i gospodarczą na rynkach obu krajów. ■ W *Kunsthalle* w Düsseldorfie otwarto wystawę prac Władysława

wa Strzebińskiego, obejmującą 32 obrazy i 48 grafik, wypożyczonych przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi. ■ W NRD zakończono dokumentalną edycję: na 140 płytach utrwalono historię muzyki wschodniej części Niemiec. ■ Dwaj SS-manni, M. Patz i K. Misling, zostali skazani na kary 9 lat i 4,5 roku więzienia za zbrodnie wojenne. Sąd uznał ich współwinnymi w zamordowaniu 250 Polaków. ■ Kandydat opozycji CDU/CSU na kanclerza, Franz Josef Strauss, stwierdził w *Bundestagu*, że postulat bezpieczeństwa RFN powinien mieć pierwszeństwo przed „kwestią niemiecką”; dodał, że nie jest „marzycielem”, któremu wydaje się, że zajmując taką a nie inną pozycję prawną można zlikwidować historyczne wydarzenia, jakie nastąpiły po drugiej wojnie światowej. Równocześnie podkreślił, że pozycje prawne mogą być „skuteczną obroną” z uwagi na traktat pokojowy. Tylko taki traktat — zdaniem Straussa — może uregulować problem granic. ■ W Lipsku odbyła się premiera sztuki Tadeusza Różewicza *Wyszedł z domu*. Autorem przekładu jest Henryk Bereska, reżyserował Karl-Georg Kayser. Teatr w Poczdamie przygotowuje premierę *Odejścia głodomora*. ■ Ambasador PRL w Republice Federalnej, Jan Chyliński (syn Bolesława Bieruta), złożył wizytę nadburmistrzowi Stuttgartu Manfredowi Rommlowi (syn feldmarszałka Erwina Rommla). Głównym tematem rozmowy była planowana umowa o współpracy partnerskiej między Stuttgartem a Łodzią. ■ W szeregu miast Niemiec Zachodnich odbyły się koncerty *Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia* z Krakowa pod batutą Antoniego Wita. ■ Instytut Zachodni w Poznaniu obchodzi swoje 35-lecie. Tygodnik *Perspektywy*: „Niezależnie od swego naukowego charakteru poznańska placówka prowadzi jednocześnie walkę z tym wszystkim, co określamy jako antypolską działalność na Zachodzie. Jest to zadanie dotyczące przede wszystkim RFN”. Organem Instytutu jest *Przegląd Zachodni*; wydawane są ponadto publikacje obcojęzyczne — jak *Polish Western Affairs* oraz *La Pologne et les Affaires Occidentales*. ■ Stanisław Kudlicki, dziennikarz, długoletni korespondent *Radio Free Europe* i *Dziennika Polskiego* w Berlinie Zachodnim i Bonn obchodził 80-tą rocznicę urodzin. ■ Prymas Polski ks. kardynał Wyszyński przestał list przewodniczącemu Konferencji Biskupów Niemieckich, arcybiskupowi Kolonii ks. kardynałowi Hoeffnerowi. List, o nieujawnionej treści, wręczył adresatowi polski publicysta i historyk — Andrzej Micewski. (Micewski przybył do RFN na zaproszenie arcybiskupa Kolonii). Agencja DPA doniosła z Warszawy, że w polskich kołach kościelnych wyraża się żal z powodu faktu, że wizyta kardynała Wyszyńskiego w RFN w 1978 roku nie dała nowego impulsu poprawie stosunków między obu narodami; w czasie tej wizyty towarzyszył Prymasowi Polski ówczesny metropolita krakowski, kardynał Wojtyła. DPA podaje dalej, że polska hierarchia kościelna prawdopodobnie nie wyśle oficjalnej delegacji na *Katholikentag* (Berlin Zachodni, 4-8 czerwca br.). Jako przyczynę podaje korespondent DPA fakt, że zjazd odbywać się będzie w Berlinie Zachodnim, w mieście nieuznanym przez rząd PRL jako część terytorium RFN, a ponadto także różne wypowiedzi publiczne czołowych zachodnioniemieckich polityków chadeckich; chodzi przede wszystkim o wywiad udzielony tygodnikowi *Der Spiegel* przez prezesa Komitetu Centralnego Katolików Niemieckich, bawarskiego ministra oświaty i wyznań — Hansa Maiera. Wszystkie te sprawy były przedmiotem rozmów A. Micewskiego z kard. Hoeffnerem. ■ PRL otrzymała w tym roku nowe kredyty od Republiki Federalnej Niemiec. Porozumienie w tej sprawie zawarto podczas wizyty federalnego ministra gospodarki Ottona hr. Lambsdorffa w Warszawie. W ostatnich latach Polska zaciągała wielokrotnie znaczne kredyty w RFN; Warszawa otrzymała 520 mln. marek na rozwój wydobycia miedzi, 750 mln. na wydobycie wanadu. Poza tym parę lat temu PRL uzyskała wielką pożyczkę w wysokości 2 mld. marek na budowę zakładów gazyfikacji węgla kamiennego.

Później Polska zrezygnowała z budowy tych zakładów, przeznaczając zaciągnięte kredyty na zakup sprzętu górniczego. W lutym br. rząd w Warszawie zdecydował się na kupno od koncernu Kruppa niewielkiego zakładu gazyfikacji węgla kamiennego o wartości 250 mln. marek. Wszystkie kredyty były gwarantowane przez rząd zachodnioniemiecki. Kwestia gwarancji kredytowych była też jednym z głównych tematów rozmów ministra hr. Lambsdorffa w Warszawie. Polacy zabiegali o przyznanie nowych gwarancji na łączną sumę 2 mld. marek. Hr. Lambsdorff zgodził się jedynie na wykorzystanie przez PRL na import surowców, materiałów i części zamiennych na sumę 500 mln. marek, w ramach gwarancji kredytowych uzgodnionych już w przeszłości. Jest to pierwszy w historii zachodnioniemieckiego handlu zagranicznego przypadek przyznania gwarancji rządowych dla kredytu, który nie łączy się z konkretnym projektem. Z sumy 500 mln. marek gwarantowanych przez Bonn pożyczek połowa ma być spłacona w ciągu trzech, a druga połowa w ciągu pięciu lat. Prasa krajowa nie wspominała ani słowem o zaciągnięciu w RFN nowego kredytu. ■ Żerańska Fabryka Samochodów Osobowych dostarczyła 500 Polonezów na rynek zachodnioniemiecki. Ocena samochodu w *Sternie* nie była pochlebna. ■ Prof. Georg Strobel, łódzianin wykładający nauki polityczne na Politechnice w Darmstadt zimowy semestr poświęcił tematowi *Niemcy-Polska: od konfrontacji do kooperacji*. ■ Podczas tegorocznego kongresu Związku Pisarzy Niemieckich (VS) w Monachium prezesem został ponownie wybrany Bernt Engelmann. Ten skrajnie lewicowy pisarz został publicznie nazwany przez Straussa „szczurem i muchoplujką”. W kongresie uczestniczyła delegacja polskich pisarzy w składzie: Kazimierz Koźniewski, Wilhelm Szewczyk i Jerzy Wittlin. ■ W Stuttgarcie otwarto wielką wystawę płócien Jacka Malczewskiego. ■ Pod hasłem *Tobie Polsko śpiewamy* w Herne (Zagłębie Ruhry) odbył się zjazd proreżymowego Związku Polaków ZGODA (założona przed 30 laty organizacja liczy 10 tys. członków); w obecności delegacji Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną i przedstawicieli ambasady PRL prezesem wybrany został ponownie I. E. Lukaszcyk. Przy Związku działa Polonijne Zrzeszenie Współpracy Gospodarczej z PRL. ■ W chadeckiej *Politische Akademie* w Wesseling k/Bonn odbyło się sympozjum na temat *Walka o prawa człowieka we Wschodniej Europie*. Jednym z mówców był Maciej Pstrąg-Bieleński (w kraju współredagował niezależną *Gazetę Polską*, obecnie przebywa w RFN, gdzie poprosił o azyl polityczny); został przez organizatorów przedstawiony jako działacz *Konfederacji Polski Niepodległej*. Pstrąg-Bieleński scharakteryzował KPN jako „jedynie autentyczne ugrupowanie opozycyjne, skupiające przedstawicieli wszystkich środowisk” i „cieszące się poparciem Kościoła”. Niemieckie audytoryum ze zdziwieniem i wyraźną dezaprobatą przyjęło dalsze wypowiedzi Pstrąga-Bieleńskiego, który lekceważąco mówił o działalności i personalnym składzie czołówki KSS „KOR” („marksisci, socjaliści, trockiści i byli komuniści”) oraz innych grup opozycyjnych. Maciej Pstrąg-Bieleński i ruch jaki reprezentuje jest ostatnio wyraźnie kointerwowany przez antypolski ołdąm prasy przesiedleńczej. szczególnie przez *Deutscher Ostdienst*, organ Związku Wypędzonych (przewodniczący — dr Herbert Czaja). — Tego rodzaju metody walki politycznej, w dodatku w środowiskach zagranicznych, nie wydają się nam właściwe. (Red.). ■ Aleksander Drożdżyński opracował cykl audycji, które zostały nadane w programie niemieckim rozgłośni *Deutschlandfunk*: *Niezależna literatura i prasa w Polsce, Latający Uniwersytet i Międzynarodowy Komitet Solidarności oraz Wielkorosyjski szowinizm we współczesnej literaturze sowieckiej*. ■ W Darmstadt (Hesja) otwarto uroczyste Instytut Niemiecki Kultury i Literatury Polskiej (*Deutsches Polen-Institut*). Instytut jest finansowany przez rząd Hesji (125 tys. marek rocznie), Nadrenię-Palatynat (100 tys.), rząd federalny (100 tys.). Fundacja im. Boscha w Stuttgarcie

żyć również będzie na utrzymanie *Institutu*, ponieważ Robert Bosch zrobił zastrzeżenie w swoim testamencie, że przeznacza środki pieniężne na popieranie wszelkich inicjatyw mających na celu doprowadzenie do przyjaznych stosunków z Francją i Polską. Zarząd miasta Darmstadt przeznaczył na siedzibę *Institutu* gruntownie odnowiony, zabytkowy *Olbrich-Haus* (Alexanderweg 28). Nadburmistrz Darmstadt Heinz Winfried Sabais otwierając *Institut* podkreślił, że celem tej naukowo-badawczej placówki będzie pogłębienie wiedzy na temat dorobku kulturalnego Polski. W imieniu rządu federalnego przemawiała sekretarz stanu w bńskim *Auswärtiges Amt* Hildegard Hamm-Brücher; zwróciła ona uwagę, że *Institut* zajmie się „całą literaturą polską, rozproszoną po świecie, bez względu na granice”. Hamm-Brücher wyraziła również nadzieję, że oficjalne czynniki w PRL zrewanżują się, dając zezwolenie na otwarcie *Institutu im. Goethego* w Warszawie. Wydawca hamburskiego tygodnika *Die Zeit*, honorowa przewodnicząca *Kuratorium Institutu* Marion hr. Dönhoff zauważyła w swym wystąpieniu, że pogłębienie dobrych stosunków między obu narodami wymaga cierpliwości („Myśmy przeżyli przeszłość, Polacy jeszcze nie”). Hrabina Dönhoff dorzuciła na marginesie, iż była mile zaskoczona gdy rodezyjski strażnik graniczny („okazał się być Polakiem”) powiedział, że zna jej nazwisko z... paryskiej *Kultury*. Prawdopodobnie z tego powodu prasa krajowa pominęła całkowitym milczeniem wystąpienie hr. Dönhoff (na sali byli obecni goście honorowi: Mirosław Wojtkowski, zastępca ambasadora i Janusz Szmyt, *attaché* kulturalny z ambasady PRL w Kolonii). Wykład inauguracyjny dyrektora *Institutu* Karla Dedeciusa był rzeczowy i bardzo historyczny („z Niemca Dietz stał się Decjusz, pisarz królewski polski, a analogia nazwisk staje się analogią działania: dowodem tego trójczłon Dietz-Decjusz-Dedecius”). W końcowej części wykładu Dedecius wymienił nazwisko Leszka Kołakowskiego jako laureata niemieckiej nagrody pokojowej. Trzeba jednak wspomnieć o różnych nieprzyjemnych zgrzytach, które towarzyszyły otwarciu, urządzonemu z wielką pompą (ok. 500 gości). Przy ustalaniu listy zaproszonych pominięto polskich pisarzy i dziennikarzy emigracyjnych, którzy od lat żyją w Niemczech. Wystarczy wymienić takie nazwiska jak Tadeusz Nowakowski, Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, Włodzimierz Odojewski, Witold Wirpsza, Krystyna Żywulska i Aleksander Drożdżyński. Nie zaproszono sprawozdawców polskojęzycznych programów *Radio Free Europe*, *Voice of America* i *BBC*. Nie przeoczono natomiast dziennikarzy z Polskiej Agencji Prasowej, *Trybuny Ludu* i *Polskiego Radia*. Na zapytanie redaktora *Kultury* p. Dedecius wyjaśnił, że otwarcie *Institutu* było imprezą fundatorów i zajmował się tym burmistrz Stuttgartu, zaproszenia wysyłał *Bundespresseamt* w Bonn a p. Dedecius był jedynie „statystą”. Nowej placówce naukowej życzyć należy rekrutacji młodej kadry naukowej i pełnej niezależności od jakichkolwiek czynników politycznych, które dążą do tego, aby kultura polska była właśnie „podzielna”.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Ilość Polaków w republice litewskiej w ciągu 9 lat prawie nie uległa zmianie i w styczniu ub. roku wynosiła 247 tysięcy. Ale gdy uprzednio Polacy i Rosjanie stanowili po około 8,5 % ludności, obecnie Rosjan jest

8,9 % a Polaków 7,3 %. Przyrost ludności za ten okres widocznie nie objął Polaków. Na Litwie ostatnio zaznaczył się spadek liczby urodzin i rozpad rodzin. W ub. roku było na 30 tysięcy zawartych małżeństw aż 10 tysięcy rozwodów.

Nie tylko syn i zięć Breżniewa robią kariery. Okazuje się, że generalny sekretarz litewskiej partii komunistycznej jest zięciem Susłowa.

Z Litwy dochodzą wieści o wciąż nowych aresztowaniach i procesach. W zdekompletowanym Komitecie „Helsinki” spośród założycieli została już tylko jedna osoba. Resztę stanowią nowi dokooptowani członkowie. Prześladowani są również sygnatariusze „protestu 45 Bałtów” i członkowie komitetu obrony praw wierzących. Jedni trafiają do zakładów psychiatrycznych, inni podlegają aresztom i trafiają do więzień w głębi Rosji. Ostatnio aresztowano docenta geologii i autora manuskryptu pt. „Duchowe ludobójstwo” Skuodidisa, urodzonego w Chicago, którego losem zainteresowała się ambasada amerykańska.

Paruset Bałtów wystosował do Breżniewa i sekretarza ONZ Waldheima protest potępiający inwazję Afganistanu, poprzedzoną zawarciem paktu o wzajemnej pomocy, podobnie, jak to niegdyś się stało z państwami bałtyckimi. Natomiast petycja do Breżniewa o zwrot kościoła katolickiego w Kłajpedzie opatrzona była ponad 148 tysiącami podpisów. Uprzednio Watykan kontaktował się z episkopatem litewskim za pośrednictwem biskupów ze Wschodnich Niemiec, ostatnio funkcje te przejął kardynał węgierski Laszlo Lekai, który w październiku ub. roku odwiedził Litwę, Moskwę, Leningrad, Kijów i Żytomierz. Oświadczył on, że na Litwie spotykały go liczne tłumy wiernych i podkreślił więzy historyczne łączące Litwę i Węgry, np. chrzest z udziałem Jadwigi i uniwersytet założony przez Batorego.

EMIGRACJA: kierownictwo polityczne litewskiej emigracji (VLIK) wydało odezwę popierającą sankcje gospodarcze w stosunku do Sowietów oraz bojkot olimpiady w Moskwie. VLIK zwraca się indywidualnie i poprzez organizacje do wszystkich Litwinów aby nie jechali do okupowanej Litwy i na moskiewską olimpiadę i przyłączyli się w ten sposób do moralnego i gospodarczego bojkotu stosowanego przez inne państwa. Inne organizacje litewskie nieco zmodyfikowały ten apel, ograniczając zakaz odwiedzania Litwy do okresu olimpiady i dopuszczając wyjątki w poszczególnych wypadkach.

Pewien litewski dysydent obznajomiony z organizacją sportu w Sowietach twierdzi, że głośnie porwanie w Niemczech litewskiego olimpijczyka Česiu-nasa było spowodowane jego zapowiedzią napisania książki o kulisach sowieckiego sportu z wielu jego kompromitującymi aspektami. Niektóre są wręcz humorystyczne. Zawodnik wyjeżdżający za granicę i osiągający dobre wyniki może poczynić zakupy, patrzy się na to przez palce. Natomiast jeżeli zawiedzie nadzieje, jego bagaż jest ściśle kontrolowany, a konsekwencje dla „przemysłowika” przykre. Wszyscy zawodnicy są właściwie zawodowcami, pracownikami na synekurach lub wiecznymi studentami, korzystającymi z wielkich przywilejów.

Amerykański Kongres i później Senat powzięły jednogłośnie „Rezolucję Bałtycką” zalecającą rządowi by na konferencji w Madrycie delegacja amerykańska domagała się pełnego zastosowania prawa samostanowienia narodów Estonii, Litwy i Łotwy. Przyczynili się do przeprowadzenia tych uchwał zwłaszcza kongresmeni Zabłocki i Derwiński.

W poselstwie litewskim w Waszyngtonie specjalnie uroczyste obchodzono w tym roku święto niepodległości; zaproszono kilku urzędników Departamentu Stanu i zagranicznych dyplomatów. Poselstwo otrzymało dosyć enigmatyczne zapewnienie, że koszty utrzymywania poselstwa i konsulatów będą pokrywane, ale nie z funduszy rządu amerykańskiego.

Prasa litewska donosi, że Papież, odwiedzając rozgłośnie watykańską, w sekcji litewskiej dał do zrozumienia, że popiera wprowadzenie nabożeństw litewskich w katedrze sejneńskiej.

Bałtowie są aktywni w demonstracjach antysowieckich i propagowaniu bojkotu olimpiady. W Australii zwrócili się oni do rządu o wydalenie nowego ambasadora sowieckiego Sudarikowa jako zbrodniarza wojennego; w czasie masowych deportacji Bałtów współpracował on jako enkawudzista z Sierowem w ich organizowaniu.

HISTORIA: prasa litewska w kraju i za granicą wciąż jeszcze omawia 400-lecie Uniwersytetu Wileńskiego. Pełny tekst przemówienia rektora Kubilusa na uroczystościach jubileuszowych wymienia 37 osób związanych z dziejami uniwersytetu, ale nie ma wśród nich Sniadeckich i nie ma wzmianki o założycielach — jezuitach. Pewne światło na tę sprawę rzuca litewski historyk Sapokas. Rektor Sniadecki bowiem wywalczył zastąpienie łaciny językiem polskim i wprowadzenie wykładów literatury polskiej, a uniwersytet za czasów cara Aleksandra I i Czartoryskiego spolszczył całe szkolnictwo na Litwie. Nigdy w dziejach Litwy polonizacja nie była prowadzona tak energicznie jak w owym okresie. Polacy bowiem konsekwentnie realizowali uchwały konstytucji 3 Maja włączającej Litwę do Polski. A w opracowaniu jej nie brał udziału ani jeden Litwin, ani nie podpisał jej ani jeden senator Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Kossakowski i Massalski zostali uśmierceni jako zdrajcy.

Ciekawe też są dzieje zakonu jezuitów na Litwie. W pewnym okresie wydzielono osobną prowincję litewską. Ale aby ją zasilić kaznodziejami znającymi język niemiecki, potrzebny w Inflantach, przydzielono do niej Prusy Królewskie, a aby zasilić liczebnie szczupłe szeregi litewskich jezuitów włączono do prowincji również Mazowsze. Toteż takie powstały dziwolągi, że Warszawa była objęta prowincją litewską, a Brześć Litewski należał do prowincji polskiej.

W ramach „Berliner Festwochen” odbyła się ub. jesieni wystawa prac malarza litewskiego Čiurlonisa oraz koncert jego utworów muzycznych. Litewska prasa emigracyjna skrytykowała koncert wykonany przez zespół przybyły z Wilna, lecz przyjęcie w prasie niemieckiej było entuzjastyczne, stwierdzające, że Čiurlonis był prekursorem Schönberga w muzyce, Kandiińskiego w malarstwie, i zapoznanym geniuszem.

W Chicago ma się ukazać nowe tłumaczenie na litewski poematu Kraszewskiego „Witolorauda”.

E. ŻAGIELL

Ci, co odeszli

Rozmowa o Iwaszkiewiczu

Konstanty A. Jeleński: — Zaczniemy od tego, że nie wierzę wcale w obiektywizm. Nie mam nawet ochoty starać się o „bezstronność” wobec człowieka który był jednym z ostatnich ogniw łączących mnie z dzieciństwem, z moją matką, powiedzmy z tym co jest dla mnie wspomnieniem Polski konkretnej. Poza tym argument (który tyle razy słyszałem) w rodzaju „bronisz tego człowieka, bo go lubisz” wydaje mi się z gruntu fałszywy. Myślę, że poznaje się tylko ludzi których się lubi — tylko wtedy można ich choć trochę zrozumieć. Dziś mam wrażenie że znałem Jarosława całe życie, a poznałem go dopiero podczas jego ostatnich tygodni, kiedy leżał w łóżku w paryskim hotelu a później w Saily, gdzie go ulokowałem u Tuty Niemojowskiej i gdzie spędziłem z nim niestety jeden tylko dzień. Odwiedziliśmy go tam z Józiem Czapskim, z którym znali się „od zawsze”, obchodząc się raczej z daleka, z pewną wzajemną nieufnością. Nigdy nie zapomnę tej chwili gdy obaj to sobie wyznali, nie było w tym cienia sentymentalizmu, po prostu nagłe zbliżenie i porozumienie, tak jak czasem u Dostojewskiego, gdzie jakiś wiatr nagły zmiata śmiecie i kurze nagromadzone między ludźmi.

Przez wiele lat Jarosław był mi „bliski” jak bywają członkowie rodziny, o ustalonym miejscu w konstelacji wspomnień, na przecięciu różnych linii naszego życia. Właściwie bliska mi była Hania, jego żona, tak podobna do mojej matki i fizycznie i w sposobie mówienia, o podobnym stylu i uroku. Jeśli tu wspomnę Annę Iwaszkiewiczową, to też dlatego, że dzieli ona z Jarosławem zasługę ich postawy w latach okupacji, gdy Stawisko było jednym z tak rzadkich niestety w Polsce schronień udzielanych znajomym i nieznajomym Żydom. Tego nie należy nigdy zapominać. Ani odpowiedzi Iwaszkiewicza na sugestię

Gomułki, aby Związek Literatów Polskich potępił „syjonistyczne spiski” (sam mi to opowiedział, jeszcze „na gorąco”): „Nie dlatego z narażeniem życia chronięm Żydów w czasie okupacji, aby teraz przyłączyć się do tej nagonki...”.

Gustaw Herling-Grudziński: — Naturalnie, nie wolno zapominać o postawie Iwaszkiewiczów w latach okupacji niemieckiej. Podkreślają to zresztą najbardziej nawet surowi krytycy Iwaszkiewicza powojennego. I często jak gdyby z pytaniem w podtekście: co się z nim stało po wojnie, skąd się ten jego serwilizm wziął?

Nie wierzysz w obiektywizm, zwłaszcza wobec ludzi których się lubi. Nie wiem czy potrafię się w naszej rozmowie zdobyć na jaki taki obiektywizm ja, który Iwaszkiewicza bardzo nie lubię. Zetknąłem się z nim osobiście kilka tylko razy. Po raz pierwszy na jakimś PEN-klubowym kongresie, jeszcze w czasach stalinizmu; natychmiast po przywitaniu oświadczył w obecności pozostałych członków delegacji polskiej, że widywanie się ze mną jest niedopuszczalne. Aż dziw, że się w ogóle przywitał. Opowiadano mi że w tym samym okresie odmówił przywitania się w teatrze paryskim z Miłoszem, któremu zadedykowane są *Pasje Błędmierskie*. Na krótko przed polskim Październikiem, czyli w okresie pełnej „odwilży”, odbyło się w Zürichu spotkanie redaktorów miesięczników „zachodnich” i „wschodnich”. *Twórczość* reprezentował Iwaszkiewicz, z Włoch pojechali na to spotkanie Silone i Chiaromonte, redaktorzy świeżo założonego *Tempo Presente*, do którego zacząłem podówczas pisywać, m.in. na tematy polskie. Iwaszkiewicz ostro zaatakował moją działalność „dezinformacyjną” (chodziło zdaje się głównie o mój artykuł o Poznaniu), redaktorzy *Tempo Presente* zaproponowali mu publiczną polemikę na łamach obu miesięczników, albo choćby tylko włoskiego; odrzucił propozycję. I oto zmiana sceny. Nazajutrz po Październiku przyjeżdżam któregoś dnia do Rzymu, w mieszkaniu twojej matki Reny zastaję Iwaszkiewicza. Zupełnie innego: serdeczności, dusery, „nie ma właściwie między nami żadnych różnic”, „naradzmy się nad tym”, „zastanówmy się wspólnie nad owym”... Nigdy go więcej nie widziałem. Prawdopodobnie, gdyby doszło do jeszcze jednego spotkania, zobaczyłbym Iwaszkiewicza wolnego od „październikowych miazmatów”.

K.A.J.: — Pozwól, że ci przerwę. Nie było w zachowaniu Iwaszkiewicza tej „logiki”, której doszukują się jego przeciwnicy. Jak wiesz, w zebraniu w Zürichu brałem sam udział, było to w pierwszej połowie września 1956, zaraz po ukazaniu się mego dużego artykułu w *Preuves* o sytuacji polskiej po wypadkach

poznańskich. Iwaszkiewicz powiedział, że ten artykuł to wzór obiektywizmu (odczytaj go, a zrozumiesz jak zdębieli obecni na zebraniu „lewicowi” Francuzi — jakby ich trafił grom z jasnego nieba).

G.H.G.: — Przytaczam te drobne epizody, bo szczerze zobowiązuje: po twojej deklaracji wstępnej nie mogłem nie powiedzieć jaki był mój osobisty stosunek do Iwaszkiewicza. Ale nie on jest w końcu istotny. Wciąż myślę o ukrytych sprężynach serwilizmu Iwaszkiewicza, autora wiersza na cześć Bieruta i nieszczęsnej *Ucieczki Felka Okonia*. Na pierwszym miejscu wymienilibym szacunek dla władzy, która z tytułu swojej siły ma prawo „wymagać” a nawet „żądać”. Tak było i przed wojną: opowiadał mi Grydzewski że Iwaszkiewicz, przyjechawszy na urlop do Warszawy z placówki dyplomatycznej w Kopenhadze, wytoczył przeciw *Wiadomościom Literackim* ciężkie wtedy działa oskarżenia o nadmierne uleganie wpływom „żydo-komuny”. Na drugim miejscu postawiłbym naturalny instynkt dworzanina: pisałem o tym przed wielu laty, zestawiając Iwaszkiewicza z Aleksiejem Tołstojem; i myślę że Iwaszkiewicz odegrał w PRL podobną rolę, a mianowicie użyczenia pewnego kulturalnego splendoru nowemu ustrojowi, rzecz jasna w zamian za... I wreszcie na trzecim miejscu coś, co nazwałbym filozofią mandaryna. W latach trzydziestych, w momencie największego nasilenia terroru w ZSSR, Tomasz Mann życzliwym okiem spojrzął na ustrój sowiecki: wychodził z założenia, że jedynym pewnym kryterium w ocenie danego ustroju jest jego stosunek do klasyków (także żyjących, oczywiście...); analogicznym łokciem posługiwał się, jak sądzę, Iwaszkiewicz.

Najbliższy Iwaszkiewiczowi mentalnością był w naszej literaturze Tadeusz Breza. Zabawne że i on napisał swoją *Ucieczkę Felka Okonia*, bardzo podobne w treści i intencji opowiadanie *W potrzasku*, obol zapłacony stalinizmowi...

K.A.J.: — To prawda że ten motyw był obolem ówczesnym, ale nie zapominajmy, że w tym wypadku Iwaszkiewicz i Breza są w towarzystwie ludzi, którzy później zachowali się wzorowo, są członkami KOR-u. Zabawne zresztą że postawy w sprawach Miłosz - Panufnik, i w sprawie rzekomo antypolskiego wywiadu udzielonego przez Gombrowicza w Berlinie, w niczym nie przesądają o późniejszych, o wiele ważniejszych podziałach. Nie mówmy zresztą o okresie stalinizmu, kiedy nie było żadnego wyboru poza być może bohaterstwem, męczeństwem. W tych warunkach „kolaboracja” nie znaczy właściwie nic, gdyż wynika z tego jak blisko się stoi ośrodku władzy, czego ta władza od

jednostki oczekuje, a oczekuje oczywiście czego innego od jednostek sławnych, wybitnych, które mogą być użyteczne na scenie politycznej, a czego innego od tzw. „szarych ludzi”. Ale od 24 lat Polska nie jest już w tym sensie krajem totalitarnym, mimo że należy do totalitarnego bloku. Nie będę tu powtarzał analizy Kisiela w ostatnim numerze *Kultury*, która wydaje mi się przekonywująca, mimo że wcale nie podzielam nadziei które pokłada w „geopolitycznej” karcie finlandzkiej, ani jego „realistycznej” oceny szans polskiej świadomej, aktywnej opozycji. Kiedy Kisiel pisze „to nic nie zmieni”, wydaje mi się to absurdalne, gdyż właśnie wszystko się zmienia gdy ludzie zaczynają mówić prawdę, odzyskują szacunek dla siebie samych — wartości takie jak „niepodległość” czy „demokracja” wydają mi się ważne nie tyle „same w sobie” ile dlatego, że powinny stwarzać warunki w których przyzwoite zachowanie staje się normalne. Czy nie należy się cieszyć z tego, że tak znaczny odłamek polskich intelektualistów i polskiej młodzieży zachowuje się „przyzwoicie” w warunkach tak radykalnie trudniejszych niż ta „przyzwoitość” wymaga odwagi, siły charakteru, wielkiego poczucia odpowiedzialności?

W tym sensie nie jestem więc bynajmniej „geopolitycznym realistą”, przeciwnie, „ideologia realizmu” w polskich warunkach wydaje mi się zgubna, gdyż z jednej strony może usprawiedliwić różne stopnie luźnej kolaboracji, z drugiej zaś strony zakłada ona racjonalne funkcjonowanie sowieckiego systemu, co wydaje mi się z gruntu fałszywe.

Wydaje mi się tym niemniej, że w różnych dziedzinach — a przede wszystkim na polu kultury — musi istnieć w polskich warunkach pewien podział ról — to znaczy zakładam potrzebę ludzi współpracujących z reżymem w takiej czy innej formie w celu zachowania pewnych wartości, w tym wypadku kulturalnych.

Omawiając przed kilkoma laty sprawę wydania przez Iwaszkiewicza listów które otrzymał od Witolda Gombrowicza nazwałem go — w poświęconym Gombrowiczowi zeszycie *Cahiers de l'Herne* — „Pétainem polskiej literatury”. Iwaszkiewicz miał mi to długo za złe, i prawdą jest że trudno uznać rolę Pétaina *ex postiori* za pozytywną w jakimkolwiek sensie. Miałem jednak co innego na myśli: to, że *ktoś* w Polsce musiał się podjąć tej oficjalnej roli „partnera” partii i rządu w sprawach literatury i że gdyby tego nie zrobił Iwaszkiewicz, los tej literatury byłby zapewne jeszcze o wiele gorszy. Jestem przekonany, że *w sumie* akcja Jarosława Iwaszkiewicza była w tej dziedzinie pozytywna. Mam na myśli nie tylko szereg jego interwencji, w obronie takich czy innych jednostek, ale choćby fakt, że stanowił „ochronny parasol” dla *Twórczości*, jednego z najlepszych pism literac-

kich w Europie. Nie wdaję się tutaj w subiektywną motywację Iwaszkiewicza — zapewne dużo w niej było elementów próżności, pychy nawet, a także tego snobizmu który był plagą przedwojennej Polski.

G.H.G.: — Ciekawym czyś zwrócił uwagę na nekrolog Iwaszkiewicza w tygodniku *Literatura*. Pod nazwiskiem seria tytułów, godności, odznaczenia: „Prezes ZLP, poseł na Sejm, wybitny działacz międzynarodowego ruchu pokoju, Budowniczy Polski Ludowej, laureat licznych nagród, doktor *honoris causa* UW i UJ”. Ale poprzedza tę serię zwrot: „Wielki pisarz i patriota polski”. Mogę się naturalnie mylić, wyczuwam jednak szczególny nacisk na słowo „patriota” (rzadko używane w nekrologach), jak gdyby po śmierci Iwaszkiewicza chciano definitywnie rozstrzygnąć starą kontrowersję. Ta kontrowersja przypomina — masz tu całkowitą rację — spór o „patriotyzm” Pétaina. Lecz „pétainizm”, zasada ratowania po klęsce tego co się da uratować za pewną cenę i kosztem pewnych ustępstw, nasuwa szereg pytań. Czy nie okazała się za wysoką zapłacona cena, w stosunku do tego co udało się ocalić? Czy nie wyrządził zbyt dużych szkód wychowawczych model pétainowskiego zachowania, szkód niewspółmiernie dużych wobec wyciągniętych korzyści? Jak dalece domniemany gracz umiał zapanować nad swoją grą, czy przypadkiem domniemana gra nie zapanowała nad graczem, czy mu aby zanedbano nie zasmakowała? Wszystkie te pytania o „Pétaina literatury polskiej” można w gruncie rzeczy porównać, na odcinku politycznym, z tytułowym pytaniem książki Micewskiego o Piaseckim *Współrzędzić czy nie kłamać?* Nawiasem dodam, że jak ty słusznie mówisz o zasługach *Twórczości*, tak wielu obrońców Piaseckiego słusznie podkreśla zasługi paxowskiego wydawnictwa książkowego.

Otóż mam odnośnie tych trzech pytań poważne wątpliwości. To znaczy nie wątpię (by posłużyć się jednym konkretnym przykładem), że Iwaszkiewicz stanowił „ochronny parasol” dla *Twórczości*, ale kiedy myślę o głupstwach jakie wypowiedział lub napisał w roli posła na Sejm, Budowniczego Polski Ludowej, „wybitnego działacza międzynarodowego ruchu pokoju”, nie potrafię żadną miarą uznać wraz z tobą że „w sumie jego akcja była pozytywna”, czyli że się *per saldo* opłaciła jego operacja dochrapania się rangi „ochronnego parasola” nad literaturą polską. I jeżeli dziś odbywają się w Polsce wśród intelektualistów i młodzieży procesy, o których wspominasz, to wbrew a nawet przeciw takim postawom jak Iwaszkiewicza.

Zastanawiam się jednak czy ma sens na serio o tym dyskus-

wać, skoro jestem zdania że początkowy „pétainizm” Iwaszkiewicza przeobraził się niebawem w to, co w trzecim pytaniu określiłem jako „zapanowanie gry nad graczem”. Wszystko jedno jak to będziesz tłumaczył — pychą, próżnością czy snobizmem, — faktem jest że Iwaszkiewicz zasmakował stopniowo w swoich tytułach, dostojenstwach i godnościach, że z dumą obnosił swoje order, że przechwalał się iż Gierek zabrał go ze sobą do Breżniewa itede, itepe. Niektórzy widzą dowód kabotyństwa albo błazeństwa w jego przedśmiertnym życzeniu, by go pochowano w mundurze górnika. Co do mnie, podejrzewam że postawił kropkę nad i w swojej ewolucji „politycznej”: innymi słowy, kazał się pochować w mundurze górnika jak niegdyś kazałby się być pochować w kontuszu, albo w dwudziestolecu w mundurze legionisty. Miał słabość do „elit”.

No ale dość o Iwaszkiewiczu „działaczu”. Był przede wszystkim pisarzem...

K.A.J.: — Iwaszkiewicz jest dla mnie naprawdę wielkim pisarzem. Mogę właściwie mówić tylko o jego nowelach i dziele poetyckim. Jego powieści — *Czerwone tarcze*, *Pasje Błędomierskie* — zachwycały mnie, kiedy je czytałem przed wojną, ale trudno mi odpowiadać za mój osąd w wieku 15 lat. Uważam go natomiast za mistrza noweli, i pozostał nim do końca. Weźmy choćby ostatnią jego nowelę, *Bitek*, która ukazała się w *Twórczości* przed kilkoma miesiącami. Na pewno nie należy do jego najlepszych, ale ile w tej noweli, osnutej na tle historii starego konia, wspaniale zaobserwowanych realiów współczesnej Polski — więcej się wie o Polsce po przeczytaniu tych 20 stron, niż z jakiegokolwiek socjologicznej rozprawy. A napisał to pisarz w 85-tym roku życia!

Iwaszkiewicza poezja przedwojenna nie dorasta, moim zdaniem, do jego nowel. Ale jaki to wspaniały, prosty, mądry poeta na starość! Wyzbywa się całkowicie swojej „mianiery” przedwojennej i staje się poetą niesłuchanie szczerym. Nie powiem, że ta poezja „usprawiedliwia” jego rolę społeczną i polityczną, ale absolutnie jej nie fałszuje, nie ma w niej cienia hipokryzji. Jest to poezja starego człowieka który o wszystkim zwątpił, który w nic nie wierzy, chyba w to że „nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las”. Nuta tragiczna wcześniej zaczyna brzmieć w tej poezji. Czy nie o sobie myśli Iwaszkiewicz w tym wierszu z roku 1976 o starych kobietach które przed wigilią —

„Wróżby sobie wróżą
Choć ich nic nie czeka

To za nasze dzieci
Dzieci zbuntowane
Lub nienarodzone
Lub zamordowane...

Wielkim wzruszeniem dla mnie były dwa ostatnie wiersze Iwaszkiewicza, napisane w czasie jego ostatniego pobytu we Francji, a więc w ciągu ostatniego miesiąca jego życia. W ciągu pierwszych dni pobytu skarżył mi się wciąż, że „nawet pisać już nie potrafi”. Chciał zająć sobie czas pisaniem sylwetek dawnych przyjaciół, ale mu to absolutnie nie wychodziło. Zaprosiłem go na śniadanie do domu (Leonor miała do niego, a jeszcze bardziej do Hani, wielką sympatię — chyba obopólną). Na tym śniadaniu był nasz przyjaciel malarz Stanisław Lepri, który podarował Iwaszkiewiczowi dużą ilustrowaną monografię o swoim malarstwie. Jarosław był oswiały i ponury, a nagle się ożywił, przeglądając książkę i natrafiwszy na serię fantastycznych obrazów przedstawiających najróżniejsze wieże, powiedział Lepriemu, że jest mu wdzięczny, bo chodzi mu po głowie taki wiersz o wieżach, „a teraz już wiem, że go napiszę”.

Byłem u niego w hotelu paryskim dwa dni później i przeczytał mi — przerywając zresztą kilka razy szlochom swą lekturę — długi, wstrząsający wiersz, złożony z czterech części, pod tytułem „Wieża” („powiedz Lepriemu, że jego obrazom zawdzięczać nagłą materializację tego wiersza”). Wiersz wydał mi się tragiczny. Te różne wieże, dziwnie związane z historią Polski, pożary, klęski, poeci i wróże — zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Do Saily pojechałem go odwiedzić w niedzielę 3 lutego. Tam mi wręczył wiersz, który tu chcę przytoczyć. Przed domem na Stawisku rośło dziewięć wielkich sosen (często przewijają się one przez ostatnie jego wiersze), które Jarosław nazwał imionami muz. Kilka z nich trzeba było ściąć, ale pozostała największa, najpiękniejsza — Urania. Oto ten wiersz.

Konstantemu Jeleńskiemu

URANIA

Uranio, sosno, siostró — tak ciebie nazywam
Bo palcem pnia twojego ukazujesz niebo.
Wiatr co się w twojej czarnej grzywie zrywa
Zacicha dołem. Siostró, wzywam ciebie,

*Jak niegdyś wróże w koronach z jemioty,
Abyś wytrwała w progu mego domu
I strzegła kwiatu, owocu i pszczoły,
I serc co tutaj gasną po kryjomu.*

*Uranio, muzu dnia ostatecznego,
Bogini końca, bogini trwałości,
Zniszczeń bogini i wszystkiego złego,
Stójże na straży domu i nicości.*

*Weźmij mnie w swoje grzywy, ty, Szalona,
Wyszarp mi ręce, co już nie wyrosną,
Pogrzeb mnie, ratuj, daj swoje korony,
Bym także był Uranią, nicością i sosną.*

Sailly, 2. II. 1980

W mojej pamięci Jarosław Iwaszkiewicz zostanie związany na zawsze z tą sosną — Uranią. Myślę, że on także „stał na straży domu i nicości”.

G.H.G.: — Nie, nie nazwałbym Iwaszkiewicza pisarzem wielkim, jest zbyt nierówny, obok rzeczy doskonałych rzeczy żenująco słabe. *Czerwone tarcze* są piękną powieścią, ale myślę że sprawiłaby ci ogromny zawód ponowna lektura *Pasji Błędomierskich*. O *Sławie i chwale* lepiej w ogóle z litości zamilczeć.

Najpewniej czułem się w długim opowiadaniu. Porównuję go się z Buninem, zwraca się w każdym razie uwagę jak wiele zawdzięczał literaturze rosyjskiej. To prawda. Może to zabrzmieć dość dziwnie, lecz w jego najbardziej udanych opowiadaniach wyczuwam połączenie Turgieniewa i Czechowa: Turgieniewa, powiedzmy, z *Pierwszej miłości*; i Czechowa, powiedzmy, z *Czarnego mnicha*. Szczególnie lubię przedwojenne opowiadania Iwaszkiewicza, *Panny z Wilka* czy *Brzezinę* (nawiasem mówiąc, Wajdzie nie udało się wydobyć uroków ich sensualistycznej prozy, większe szczęście miał Kawalerowicz z napisaną prawie „scenariuszowo” *Matką Joanną od Aniołów*). W miarę starzenia się Iwaszkiewicz nowelista doskonalił *métier*, natomiast zgubił jakby swój dawny sekret: wystarczy porównać dwa opowiadania o podobnym motywie, *Brzezinę* i *Kochanków z Marony*. A zupełnie już na starość zdolny był jako prozaik do pisania raczej wspomnień, niż opowiadań. Nie zachwycam się ani *Bitkiem*, ani drukowanym w ostatniej *Twórczości* opowiadaniem *Tano*. A za to jaki był świetny w memorialistyce!

I — zgadzam się z tobą — w poezji. Ja myślę że znalazł

w wierszach swoisty azyl, podobnie jak we wspomnieniach, choć inny. Starzał się w nim prawdziwiej, stawał w nim twarzą w twarz ze śmiercią, może szukał w nim oczyszczenia. Nie jedyny to zresztą we współczesnej literaturze polskiej wypadek dojrzewania, pogłębienia się i odnowienia poetyckiego na starość, coś analogicznego stało się z Kazimierzem Wierzyńskim.

Ktoś nie bez racji zauważył, że Iwaszkiewicz mógłby być postacią w powieści lub noweli Tomasza Manna. Jest i w Polsce pisarz, który potrafiłby napisać o nim dobrą powieść lub nowelę — autor *Miazgi*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Konstanty A. JELEŃSKI

Wspominając Nadię Boulanger

Pisząc o Nadii Boulanger dla warszawskiego *Ruchu Muzycznego*, zakończyłem cytatem z listu, otrzymanego po jej śmierci:

„Nie ma Nadii. Zamknął się ten jakże długi okres, któremu patronowała. Czy ktoś taki jak ona — przy tej sztuce dzisiejszej, tak efemerycznej, zagubionej, bez zasad, oblicza, porządku — będzie jeszcze kiedyś możliwy, potrzebny, jak wam wszystkim ona była potrzebna? Czy u schyłku życia wierzyła ciągle w przyszłość muzyki równie mocno, jak zawsze była pewna i świadoma wartości całej muzyki dawniejszej? Ucieleśniała ją przecie dla tych których uczyła, i dlatego mogła być tak otwarta i tolerancyjna, ale czy dziś ta delikatna więź między tradycją a nowatorstwem nie jest bez przerwy zrywana? Czy nie odeszła bezpowrotnie razem z ostatnią epoką prawdziwej sztuki, która nie była sztuką dla mas, ani sztuką kapliczek? Dogasła jak świeca”.

Autor tych słów nie jest uczniem Nadii. Widział ją zaledwie kilka razy. Wybrałem jednak ten cytat, bo lepiej określa sylwetkę Nadii niż wszystko co o niej pisałem, z paraliżującą świadomością, że dotykam czegoś, co warto jest osobnego rozdziału w historii muzyki naszych czasów.

Dla polskiego czytelnika Nadia była przyjaciółką Polski i Polaków, których zastępu uczniów nie próbuję wyliczać, bo — z moją okropną pamięcią — zapomnę wymienić najważniejszych. Dawała nam lekcje za pół darmo, czy za darmo, dostała mnóstwo orderów przed i po wojnie i do wszystkich swoich godności dorzucić mogła honorowe członkostwo Związku Kompozytorów Polskich.

Pierwszy raz przyjechała do Polski w 1956 roku. Właśnie nastąpiło panowanie Gomułki i przez trzy doby sytuacja wydawała mi się bardziej niż niepewna. Wygimnastykowany jak wszyscy moi rodacy przez naszą historię, wyobraziłem sobie sytuację, w której znowu nam przyjdzie uważać manierkę i tyżkę za najważniejsze przedmioty, żeby jakoś przeżyć „to wszystko”. Wyobraziłem sobie Nadię odciętą w Bristolu od ambasady francuskiej zamkniętym mostem Poniatowskiego. Z trudem więc nakłoniłem ją do przyspieszenia wyjazdu, a potem wyrzucałem to sobie, gdy się okazało — dzięki Bogu! — że jakoś to się wtedy udało i że moje przewidywania były zbyt alarmistyczne i pesymistyczne. Dodam tu — w nawiasie — że skrajny pesymizm nie jest najgorszą rzeczą, bo wtedy rzeczywistość jest zawsze nieco lepsza od własnych przewidywań i horoskopów.

Można pisać o Nadii, która się nauczyła pisać i czytać nuty zanim zaczęła stawiać litery abecadła. A więc o Nadii, która muzykowała, grała, dyrygowała, komponowała i przekazywała drugim wiadomości, jak to wszystko robić, żeby uniknąć trudności związanych z własną nieporadnością. Zdobyła ona drugie „Prix de Rome”, a jej siostra Lili zdobyła, jako pierwsza kobieta, pierwszą nagrodę rzymską. Kult owej zmarłej w 1918 roku Lili Boulanger pielęgnowała Nadia przez całe życie, doprowadzając do wykonania i nagrań kilku jej wybitnych utworów. W mieszkaniu przy rue Ballu, której narożnik zdołała przemianować na Place Lili Boulanger, zgromadziła przepastne archiwum nut, rękopisów, książek, przedmiotów i pamiątek — tym większe, że znajdują się tam dokumenty i listy jej ojca, muzyka Ernesta Boulanger, o którym nic nie wiem poza tym, że urodził się w 1815 roku (*sic!*) i był przyjacielem wielu największych romantyków. Ożeniony z młodszą o 43 lata księżniczką rosyjską, którą jeszcze znałem — Madame Ernest Boulanger née princesse Michetsky — osierocił czterdziestoletnią żonę i dwie małe córki. Ich egzystencja Anno Domini 1900 musiała być trudna. Jest więc Nadia francusko-rosyjską, muzyczno-arystokratyczną mieszkanką i to zapewne przyczyniło się, a może i ułatwiło jej stworzenie własnego świata, w którym panował demon i moloch muzycznego szafu, z nałożonym kagańcem porządku i dyscypliny, bez której nie ma wielkiej sztuki, architektury, książki, wiersza czy obrazu. Bo przecie i przedstawienie chaosu musi być skomponowane — a Nadia wykazywała przykładami, że musi to być zrobione w sposób „przejrzysty”. Zamiast więc mówić o neoklasyzmie Nadii, mówmy raczej o porządku, bez którego nic trwałego człowiek stworzyć nie może. Może tylko coś zrobić, zniszczyć, unicestwić, ale to będzie działalnością, a nie twórczością. Tu dopatruję się źródeł tego kultu formy, nawet rytuałów i autorytetów, który cechował Nadię. Zdumiewająca była jednak przy tym jej tolerancja. Była ona może związana z jej uchem, tym „słuchem wewnętrznym”, który wszyscy muzycy muszą posiadać i który wszyscy prawdziwi muzycy posiadają. Ale u Nadii to słyszenie szło gdzieś głębiej. Nie wchodziło w konflikt ze

spekulacją, bez której nie można zrobić muzyki, ale łączyło się z intencją twórczą, odgadywało ją, wzbogacało nuty o całe ich tajemnicze znaczenie. Na egzemplarzu partytury — bodajże „Persefony” — Strawiński napisał dedykację: „Nadiei, która słyszy wszystko”. Rozmawiałem z nim kiedyś o tym. Powiedział mi: „Ona nie tylko wszystko słyszy, ale słyszy każdą nutę niepotrzebną”. — „*Non seulement qu'elle entend tout, mais elle entend chaque note qui est de trop*”. Nie należy koloryzować i twierdzić, że niektóre utwory „komponowali razem” (!), ale jest faktem, że w okresie pisania *Symfonii Psalmów* i *Duo concertant* widziałem jego rękopisy na pulpicie u Nadii.

Ciekawy jest fenomen fascynacji którą odczuwali tak rozmaici ludzie (nie wszyscy zresztą!). Już w pierwszym saloniku stały dedykowane zdjęcia z podpisami: d'Annunzio, Eleonora Duse, Debussy, Gide, Fauré — którego była uczennicą — Valéry, Strawiński. Trudno pojąć czego szukali u niej najwięksi nieraz śpiewacy, pianiści, dyrygenci, skrzypkowie — nieraz już w trakcie swej wielkiej estradowej „kariery”. Żartowaliśmy, że u Nadii znajdzie się zawsze na śródownym przyjęciu jakiś geniusz, członek rodziny królewskiej, milioner i Murzyn czy Chińczyk. (W owym czasie, przeszło 50 lat temu, Murzyni i Chińczycy byli jeszcze czymś egzotycznym).

Przykłady czerpała tylko z arcydzieł, od chorału gregoriańskiego, przez długie linie trubadurów i *minnesängerów*, organum, szkołę burgundzką, renesans — i dalej — po współczesnych, których dzieła zestawiała zawsze z tym co wielkie w przeszłości. Wszystko to było wykonywane na żywo, bez teoretycznej gadaniny, czytane *a vista* w kluczach, transpozycjach i przy improwizowanej lekturze basów cyfrowanych. Nie uznawała zmęczenia, ospałości. Potrafiła uskrzydlić przeciętnych, geniusze przecie i tak sobie dadzą radę sami. Gdy ją namawiano na spisanie jakiejś metody nauczania, mówiła, że przecie nie ma metody, każdego ucznia uczy się inaczej tego samego. Nie istnieje równość w sztuce, ale i nie tylko w sztuce. Nie cierpiała „ciał zbiorowych”, w których decyduje większość głosów. Przecie nie chodzi o oddanie głosu, ale o osobę, która ten głos oddaje. Rezultatem większości głosów, czyli ilości, jest albo przypadek, albo kompromis, a tego nie znosiła. Co stworzyła, czego dokonała w sztuce zbiorowość? Nawet orkiestrę robi jeden człowiek: do bry dyrygent.

Powracam do słów które zacytowałem na wstępie: „Czy nie odeszła bezpowrotnie razem z ostatnią epoką prawdziwej sztuki, która nie była sztuką dla mas, ani sztuką kapliczek?”

Mamy całe mnóstwo wspaniałych wykonawców i zespołów, których perfekcja jest może większa niż kiedykolwiek. Czy jednak dzieje sztuki europejskiej, a zwłaszcza muzyki, nie są erupcją, która wyrzuciła w ciągu wieków szereg arcydzieł, których wątek tkwił w głębokich pokładach tej wiary i misji, boskiej, której służyli najwięksi? W pokładach wiary nie tylko w transcendentalne wartości, ale i w coś co jest trwałe i ciągłe, i co od

czasów Palestriny, Vittorii, Monteverdiego — po ostatnie rozbłyski, których nie chcę tu wyliczać — było szczytem sztuki historycznie zamkniętej. Szczytem tego, co nazywamy muzyką europejską, z jej ukształtowanymi instrumentami, orkiestrami i techniką? Może to w tym znaczeniu Nadia Boulanger była zamknięciem pewnej epoki — chociaż jej wielki optymizm, optymizm wszystkich ludzi którzy „coś robią”, nie dopuściłby takiej myśli do głosu.

Zygmunt MYCIELSKI

SPOTKANIA 5-6

Niebawem ukaże się na Zachodzie 5 i 6 numer ukazującego się w Kraju nieocenzurowanego Pisma Młodych Katolików — *SPOTKANIA*. Książka zawiera m.in. następujące artykuły: Ks. bp I. Tokarczuk: „Perspektywy rozwoju Kościoła w Polsce”; St. Kisielewski: „Kiedy spotkają się piśmiennicze nurty”; Bohdan Sahajdaczny: „Jak widzę przyszłość stosunków polsko-ukraińskich”; Gen. M. Boruta-Spiechowicz: „Z perspektywy lat”; Jerzy Turowicz: „Dialog, pluralizm i jedność”; J.S.: „Gen. Tumidajski i jego żołnierze” oraz liczne dokumenty opozycji demokratycznej w Kraju.

Cena egzemplarza: F. 50,00 lub £ 4.50; \$ 11,00; DM 20,00.

Ks. Adam Boniecki

BUDOWA KOŚCIOŁÓW W DIECEZJI PRZEMYSKIEJ

W BIBLIOTECE *SPOTKANIA* ukaże się zbiór reportaży napisanych w latach 1976-78 przez ks. Adama Bonieckiego. Są zwięzłym zapisem i kroniką wydarzeń jakie rozgrywały się na terenie diecezji przemyskiej (Ks. Bp. Tokarczuka) w związku z szykanami władz wobec ludzi biorących udział w budowie kościołów i kaplic.

Cena egzemplarza: F. 30,00 lub £ 3.00; \$ 7,00; DM 15,00.

Zamówienia oraz wpłaty prosimy kierować na adres:

Piotr Jegliński

64, Ave Jean Moulin
75014 Paris

Spotkania

15, Broxholm Road
London SE 27

Wołania na puszczy

O mojej manii samobójczej

Warszawa, koniec marca 1980.

Mijać już będzie trzeci rok, jak pisuję stale niniejsze felietony do *Kultury*. Zacząłem we wrześniu 1976 felietonem o naprawianiu polskiej gospodarki, zatytułowanym „Mój głos w dyskusji”. Felieton ów był odzewem na apel premiera Piotra Jaroszewicza (śp. Nieboszczyk polityczny), premier stwierdzał wówczas, że KAŻDY głos w dyskusji gospodarczej będzie uwzględniony. Niestety mój został przez cenzurę w *Tygodniku Powszechnym* też uwzględniony, bo skonfiskowany, widocznie ja nie jestem każdy, ja jestem NIKT. A gdzież ma pisywać nikt, jeśli nie w piśmie nieistniejącym, przeznaczanym dla nikogo, czyli właśnie w paryskiej *Kulturze*? I tak się zaczęło.

Jednakże to moje pisywanie na niniejszym miejscu poczyni już nabierać cech czynnego nonsensu i planowego samobójstwa (samouboju). Bo zważmy: pisuję opozycyjnie nie dla kraju, gdzie to byłoby ważne, lecz dla emigracji, która z natury rzeczy jest dostatecznie opozycyjna, a ma do dyspozycji całą prasę światową. Natomiast w kraju czyta mnie co najwyżej paru facetów z KC, którzy za to pisanie będą mnie karać i wykańczać. Jest to więc klasyczne a dobrowolne nastawianie tyłka do bicia, w dodatku nastawianie takowego bez świadków i rozgłosu, aby bijący mieli pełną swobodę działania. Bronić mnie mogłaby najwyżej „Wolna Europa” (obiektywnie i inteligentnie dziś prowadzona), ale tę akurat redaktor Jerzy Giedroyc zwalcza od lat, zapominając, że jest to dlań, jak dla legendarnego Anteusza, jedyna okazja, aby dotknąć nogami polskiej gleby. Giedroyc to wielki człowiek, ale manię samobójczą nie gorszą ma niż niejaki Kisiel.

Piszę więc z kraju do *Kultury*, nigdy nie wiedząc, jak i kiedy rzecz prześle, oraz rzadko czytając to, co mi wydrukowano, bo miesięcznik paryski to u nas rarytas, taki niemal, jak przedwo-

jenna kiełbasa zwykła. Natomiast czytelnikowi krajowemu znany jestem jako felietonista *Tygodnika Powszechnego* (znany też tylko ze słyszenia, bo pisma tego nigdzie nie ma), gdzie co tydzień pisuję z pracowitością bezmyślnej mrówki na tematy ściśle neutralne i apolityczne, bo każdą aluzję polityczną cenzura wykreśla bez litości i bezbłędnie. W ten sposób publiczność krajowa uważa mnie za milczącego tchórza lub starego idiotę, co nie ma nic do powiedzenia, towarzysze z KC za maniaka masochistę, który sam podrzyna własne gardło i nadstawia tyłek do bicia, zaś co myśli czytelnik emigracyjny, tego nie wiem, bo to do mnie nie dociera. I oślina pośród jadła — z głodu padła!

A jak jeszcze nie padła, to padnie. Rytm bojkotu i izolacji zacieśnia się z zabójczą dyskrecją. Przemilcza się mnie wszędzie, wykreśla moje utwory muzyczne (!) z programów koncertowych a nazwisko z wszelkich rejestrów, skończyły się też bezpowrotnie zagraniczne podróże, bo kolekcjonuję same odmowy wydania paszportu. Żona popadła w wielki gniew, wyrzucając mi, że dla chimery marnuję życie sobie i innym. Tłumaczę jej, że i tak żyję lepiej niż koledzy Kuroń, Macierewicz, Michnik czy Ziemiński, którzy bici są w tyłek dosłownie i często, ale to ją mało przekonywa. Tłumaczę też, że Paryż będzie jedyną stolicą, która ocali się w razie wojny atomowej (podobnie, jak za Hitlera), zaś w Paryżu ocali się parę numerów *Kultury*, a w nich moje felietony. Lecz i to jej nie bierze, nie interesuje jej widzieć życie pozagrobowe. Wobec czego...

Wobec czego, po tych paru słowach gorzkiej skargi, za które PT Publiczność i JWRedaktora gorąco przepraszam, z samobójczą determinacją powróćmy do rzeczy. A zebrało się tych rzeczy sporo.

Przede wszystkim godna podziwu Maszynka do utrzymywania władzy podziątała znowu bezbłędnie poprzez zjazd Partii i wybory. O zjeździe Partii już pisałem, przeprowadzono tam precyzyjnie OPERACJĘ ZASTĘPCZĄ, polegającą na wylaniu obciążonego wszelkimi winami (cudzymi też!) Jaroszewicza, przy życzliwej asyście tow. Susłowa i przy „burzliwym” poparciu zebranej na sali Klasy Robotniczej, owej gilotyny do ścinania głów mniej fortunnych rywali. Fakt przeprowadzenia OPERACJI dowodzi, iż odczuto jednak potrzebę rzucenia czegoś zdenerwowanemu i zdezorientowanemu społeczeństwu. Ono zresztą niewiele wie, a że Jaroszewicz był nie lubiany, czemuż by nie obciążyć go winami wszystkich innych, uzyskując w ten sposób generalną absolucję na parę najbliższych lat? Przy okazji pozbyto się gracko Olszowskiego (ambasada w Berlinie Wschodnim — jakież żart bolesny!), wykwitowano Szydłaka, uziemniono Kępę, pozbyto się świadka Tejchmy, pokazano figę DIP-om, KOR-om, nawet prof. Szczepańskiemu — jakaż świetna robota! (Żebyż inne sprawy umieli tak dobrze robić!). Premierem został Babiuch, który przepięknie potrafi mówić o dobroci, szlachetności, rzetelności, patriotyzmie, dobrej pracy, tylko nie wspomina JAK to będzie robione. Po staremu chce leczyć objawy choroby, nie dostrzega-

jąc jej przyczyn. A przecież program reform, choćby wysunięty odgórnie (jak to kiedyś zrobił Chruszczow a dziś próbuje Kadar), byłby teraz przez Rosjan zaakceptowany: nie są oni wszakże zainteresowani, aby w Polsce stale panował irytujący bałagan i mizeria. Ale obecne Kierownictwo nie lubi ryzyka i rozhuśtywania opinii — lepsza władza w garści niż reforma na sęku. A po nas — potop!

Tak więc, za jednym mistrzowskim zamachem osiągnięto parę rzeczy: zamarkowano wstrząs, nie zmieniając w istocie ani ekipy rządzącej (przeciwnie — konsolidując ją), ani programu, ani języka. Ugotowano zupę na gwoździu, karmiąc tym mało kalorycznym pokarmem społeczeństwo. A cierpliwa publika łyka i łyka! Również Zachód zadowolony, śle gratulacje, zachwycony, że porządek panuje w Warszawie. Forse też na pewno przyśle, mimo Afganistanu... Bo narody drugiej klasy demokracji nie potrzebują, Polska to nie Rodezja, wystarczy, aby było co do pyska włożyć... A KORniki do ciupy, zaś awansowany przez *Kulturę* do rangi opozycjonisty prof. Jan Szczepański zostaje jako ostatni obok Rakowskiego jajogłowy na pokaz...

Numer wyborczy też wyszedł, choć osiągnięto tylko 98,87 % frekwencji, wobec imponującego 99,99 % w Związku Radzieckim. (Pewien mój znajomy jechał w Warszawie taksówką i opowiadał szoferowi jakieś opozycyjne historyjki. A szofer na to: — Panie, w Polsce 99 procent ludzi jest za rządem, a ja, cholera, zawsze na ten jeden procent trafiam!). Jaroszewiczowi, który kandydował jako „działacz społeczny” przydzielono tylko 93,5 % — aby uważał. Jakby głosowanie na jedną listę mało jeszcze było dziwaczne i upokarzające dla narodu bądź co bądź europejskiego o demokratycznych tradycjach, wymyślono jeszcze bardziej dziwaczny obrządek sprawdzania list wyborczych. Wiele osób odgrażało się, że coś tam skreśli czy dopisze, ale akt to tchórzliwy, bo anonimowy. Nie głosowało, według oficjalnych statystyk, 282.512 osób. Tyłu więc jest w Polsce odważnych, wariatów, chorych, podróżujących i roztargnionych?! Nie za wiele. Zaiste, wybory to jedna z najbardziej tajemniczych zagadek polskiego życia i polskiej psychologii.

Tak czy owak, politykę oficjalną mamy z głowy na najbliższe parę lat. Najwyższe wrota partyjnego Olimpu, otwarte dla oczu profanów na parę miesięcy, zamknęły się znowu na długo, do czasu, gdy znów coś się tam ukrytego stanie i ktoś będzie zmuszony (ku własnemu ogromnemu zaskoczeniu i zdumieniu, taka jest reguła) zlecieć z owego Olimpu między zwykłych śmiertelników. Od czasów przypadku Berii gardel się już nie podrzyna, i nawet Mołotow ukończył w ciszy 90 lat. Ale jakaż to cisza, jakaż monotonia, jakże nudno! I nawet za granicę człowiek nie wyjedzie, poodychać lekkomyślnym gazem rozweselającym, póki jeszcze czas, jak to zrobił mój druh Zygmunt Mycielski. Tam dobrze, gdzie nas nie ma. A trzeba było słuchać żony!

Jedyna rozrywka i urozmaicenie tudzież emocja, to w moim życiu małe wściekłości. Ostatnio przeżyłem takową wściekłość,

czytając... *Kulturę* Nr 3, a w niej dyskusyjny artykuł p. Andrzeja Korbońskiego „Waszyngton, Moskwa czyli kosmate myśli”. Mało mnie krew nie załała — dlaczego Polak, ledwo się choć trochę zamerykanizuje, już przestaje cokolwiek rozumieć?! I to akurat w przeddzień momentu, gdy sam prezydent Carter coś wreszcie zrozumiał?!

Pan Korboński jest wyznawcą tezy, że najlepszy sposób na komunizm, to głaskać go i potakiwać, dokarmiać oraz napychać forszą bez stawiania najmniejszych warunków, wtedy komunizm zmięknie i stanie się anielski. Jeśli boimy się wschodniego tygrysa, to trzeba mu podrzucić trochę ludzkiego mięsa, najlepiej żywego. Naje się, złagodnieje i straci apetyt na ludzinę...

Od 60 lat metoda ta daje skutek przeciwny do zamierzonego. Tygrys owszem, zje, obliże się, pomacha ogonem, po czym, zachęcony, żąda więcej. Ale jakoś mało kto wyciąga z tego wnioski i coraz to znajdują się nowi zwolennicy dokarmiania małego zwierza. Wśród nich także Polacy...

Korboński (czyż nie szkoda pięknego nazwiska?) pisze, że trzeba „złagodzić dotychczasowy charakter i formę tych reżymów (komunistycznych) i jednocześnie umocnić je i usamodzielnic od wpływów Moskwy”. Czy nie widzi on tu wewnętrznej sprzeczności? Jak można kogoś zarazem osłabiać i wzmacniać, łagodzić i usztywniać?! W krajach komunistycznych pomoc Zachodu udzielana BEZ WARUNKÓW daje skutek przeciwny do zamierzonego: odsuwając bankructwo odsuwa również paradoksalnie kwestię rozsądnych, modelowych reform, skoro władza wie, że każdy niedobór wynikał ze sztywnego doktrynerstwa ustroju pokryją zagraniczne kredyty. W ten sposób, oddalając ewolucję tych ustrojów, petryfikuje się je i upodabnia do Moskwy, nie odwrotnie. Za zachodnie pieniądze i przy pomocy zachodniej technologii zbudowano wszakże hutę „Katowice”, utrzymaną bez reszty w koncepcji wschodniej i uzależnionej od Wschodu (choć, jak twierdzi kolega Kuśmierek, bez specjalnego tegoż Wschodu entuzjazmu). I jeszcze p. Korboński powołuje się na rozmowę z „jednym z czołowych dziennikarzy polskich”. O rety, człowieku!! Czyż naprawdę nie wiesz, jaką rolę pełnią w komunizmie „dziennikarze”?!

Obywatela Andrzeja Korbońskiego skazuje się na 10-letni przymusowy, reedukacyjny pobyt w Warszawie, którą tak nieopatrnie a bez korzyści umysłowych był opuścił.

I jeszcze jedna rzecz mnie w tejże *Kulturze* drasnęła: początek pracy Kamili Chylińskiej „O socjalizmie demokratycznym”. Nie wiem jeszcze, do czego Autorka mierzy, może to zwykłe, modne we Francji, scholastyczne rozszczepianie włosa na czworo, czym jest socjalizm a czym nie jest. Nie wiem po co to komu, a zwłaszcza po co pani Chylińskiej. Wiem tylko jedno: że nikt nie czytał mojej książeczki „Na czym polega socjalizm?”, w której napisanie i wydanie tyle włożyłem wysiłku, tudzież prze-myśleń. Proponowałem tam, aby, dla uniknięcia światowego zamętu w pojęciach, co, wobec mnogości nowych państw, kra-

jów i narodów przetwarza się w zamęt polityczny, wyrzec się wreszcie sklerotycznego słowa „socjalizm”, którego nawet Hitler używał. Mój wniosek: odstąpić słowo „socjalizm” komunistom, którzy i tak, korzystając z jego wieloznaczności, szermują nim po wszystkich kątach globu na różne sposoby. Socjalizm, który wytrzymał próbę historii to jest rosyjski marksizm-leninizm (czy, jak chce Leszek Kołakowski, engelsizm-leninizm), czyli zniesienie wszelkiej własności prywatnej i oddanie WSZYSTKIEGO pod zarząd grupy ideologów. Gustaw Herling-Grudziński twierdzi, że ideologia w Rosji jest martwa — absurdałne to twierdzenie dla kraju, gdzie absolutnie wszystko stworzone zostało sztucznie właśnie podług doktryny i gdzie w ogóle innej ideologii się nie zna. To właśnie jest socjalizm i jego skutki, innego nie ma. A socjaldemokratyzmy, reformizmy etc. powinny zawstydzic się tej nazwy i poszukać sobie innej — choćby dla porządku w głowach. Niestety p. Chylińska mniema inaczej, a szkoda — nieporządek w terminologii wiele już nieszczęść wywołał w świecie i warto by czegoś się z tego nauczyć.

I znów się rozgoryczyłem, że pracuję w próżni i nawet nikt najważniejszych moich myśli czytać nie raczy. Że Redaktor Giedroyc nie czyta tego, czego nie wydaje, to zrozumiałem, ale nasz Gustaw mógłby się czasem zniżyć do krajowych doświadczeń — to my w końcu żyjemy w nowego typu socjalistycznej alienacji i my mamy prawo się wkurzać na *contradictio in adiecto*, zawarte w słowach „socjalizm demokratyczny”. Takowego nie ma i być nie może, a jeżeli jest, to nie jest socjalizmem. Odczepcież się ludzie od tej maniakalnej nazwy, przynajmniej pani Chylińskiej przysłałoby już zaprzestać, skoro korzysta z wolnorynkowych swobód. Czego i sobie w Polsce życzę

KISIEL

Cóż poradzić zapłakanemu Kisielowi? — Słuchać się żony, nie pisywać do pism, których nikt nie czyta, nie wydawać bałamutnych książeczek o socjalizmie a poświęcić się geopolityce, w której to dziedzinie wraz z Jędrzejem Giertychem doszedł do rewelacyjnych wniosków.

REDAKTOR

Książki

Droga narodowa według Jana Szczepańskiego

Oto, co twierdzi wybitny socjolog, Jan Szczepański¹, w broszurze „Pozapolityczne wyznaczniki przyszłości narodu” wydanej nakładem londyńskiej ODNOWY:

(1) *Teoria Solidaryzmu Etatystycznego*. Każdy naród składa się z władzy i społeczeństwa, każda z tych części buduje przy tym potęgę całości sobie właściwymi sposobami. Władza przyczynia się do potęgi narodu w ten sposób po prostu, iż sama idzie w siłę — głównie mnożąc siłę przymusu. Społeczeństwo natomiast w trudzie i znoju budować ma pozapolityczne podstawy potęgi narodu: gospodarkę, naukę z techniką, kulturę (także — kulturę własną). Do potęgi narodu liczy się też gotowość społeczeństwa do obrony narodu (a więc — siebie, ale i władzy) przed zagrożeniami zewnętrznymi; gwarantem takiej gotowości jest postawa społeczeństwa wobec państwa, postawa, zgodnie z którą „państwo i jego racje” są „wartościami najwyższymi” (str. 9).

(2) *Doktryna Nieudanej Teodycei Etatystycznej Narodu Polskiego*. Przymierzenie tego wzorca do historii narodu polskiego ujawnia, iż my, Polacy, wcale rzeczonyj Teorii Solidaryzmu Etatystycznego nie rozumiemy: stale nie pojmujemy, iż trzeba budować pozapolityczne podstawy potęgi narodu, politykę zawiązując po prostu władzy. W tej sytuacji zrozumiałe jest, iż każda światła (tj. rozumiejąca ową Teorię) władza próbowała lub próbuje wychować społeczeństwo w duchu pokoju i pracowitości na właściwych mu polach roboczych, aby wspólnie zbudować potęgę narodu jako całości. Niestety, społeczeństwo polskie ujawnia niezrozumiałą i irracjonalną niechęć do władzy (a o tym, żeby

1. Broszura nie jest zaopatrzona w żadną notkę o Autorze. W tym zaś wypadku byłoby to szczególnie potrzebne, aby wyróżnić prof. Jana Szczepańskiego, znanego socjologa i historyka myśli społecznej, zastępcę przewodniczącego Rady Państwa PRL, spośród innych autorów o tym samym nazwisku.

ceniło ją jako wartość najwyższą, jak to w szczęśliwych nacjach sąsiednich ma miejsce — str. 9, to już w ogóle marzyć nie można). Wskutek tego kopie sobie stale nowe groby — jak tego wedle wspomnianej Teorii można oczekiwać. I tak:

- „W XVIII wieku władza arystokracji doprowadziła do rozbiorów” (str. 29).
- „Władza demokratyczna i parlamentarna w latach 1918-1923 skończyła się puczem wojskowym” (str. 29). Wtedy to właśnie państwo próbowało sanacji po raz pierwszy — efektem była „klęska wojenna” (str. 29),
- po wojnie państwo próbowało sanacji po raz drugi. Miało to wszakże miejsce w „zmienionym ustroju, w nowym układzie sojuszków i bloków” (str. 12). Toteż „dokonano olbrzymiej pracy, wybudowano setki zakładów przemysłowych, rozbudowano miasta, wykształcono miliony ludzi” (str. 14). Jednakowoż władza wiele może, ale nie może przecież wbrew społeczeństwu wszystkiego. Toteż nadal jest tak samo: „Władza stalinowców [skończyła się] rewoltą robotniczą w Poznaniu. Władza popaździernikowa rewoltą na Wybrzeżu. A władza ekipy technokratów zbiega się z kryzysem gospodarczym i głębokimi niepokojami polityczno-społecznymi. Przypadek?” (str. 29).

(3) *Program Etatyzmu Tragicznego*. Społeczeństwu polskiemu potrzebny jest, i to na gwałt, „poznanski kult pracy rzetelnej i długofalowej” (str. 22) — dla stworzenia pozapolitycznych elementów potęgi narodu. (Swoją, polityczną częścią zadania narodowego władza zajmie się już sama). Niestety, historia PRL uczy, iż nie ma na to nadziei: społeczeństwo nasze samo z siebie jest w stanie jeno wykrzesać kult alkoholu i niechlujstwa. A władzy tak światło wzywającej do kultywowania cnót poznanskich posłuchać, durne, nie chce. Kogóż innego mogłoby zaś posłuchać? Do opozycji nie może mieć zaufania ze względu na jej niewyrażną (a głównie zresztą — stalinowską) „przeszłość” (str. 16). Emigracja — skłócona i rozbita. I jedna i druga nie rozumie zresztą ani Teorii (por. pkt 1), ani Doktryny (por. pkt 2) i miast wszczepiać — choćby bez wiary w powodzenie — społeczeństwu cnoty rodem z byłego zaboru pruskiego, sadzi się na politykowanie. Nie rozumie, że narodowi polskiemu nie tego trzeba, nie tego! To już jest załatwione — wakuje natomiast stale druga część zadania narodowego, ta właśnie, od której naród ma swe społeczeństwo: uczciwa praca na schludno i trzeźwo. Nie masz więc w Rzeczpospolitej, ani poza nią, siły, która mogłaby skłonić społeczeństwo do przestrzegania Teorii (może Kościół, ale musiałby móc mieć większy wpływ niż mieć może) i uchyliłaby ciężące nad narodem fatum Doktryny. „Bardzo bym sobie życzył — powiada Autor w zdaniu końcowym — żeby moje oceny przeszłości i stanu narodu polskiego oraz jego szans bezpieczeństwa w przyszłości były fałszywe” (str. 32).

1. Zawarte w broszurze oceny można, istotnie, rozważać z punktu widzenia ich prawdziwości i fałszywości. Aby jednak wy-

kazać, że prof. Szczepański powyrywał z całkowicie różnych formacji historycznych fakty o całkowicie różnym sensie dziejowym i połączył je w ciąg oparty li tylko na zdroworoządkowej wizji procesu historycznego — należałoby napisać tekst obszerniejszy niż jego własny. Dlatego wolę zająć się w tej recenzji czym innym: pytaniem, co ta broszura *znaczy*. Potraktujmy ją więc nie jako komunikat, lecz jako symptom. Symptom miejsca i czasu, w jakim powstała.

2. Broszura ta powstała w społeczeństwie, w którym tak zwanej „władzy” z władzy pozostała już tylko nazwa. To tylko tak wygląda, że PZPR rządzi Polską (podobnie, jak — dajmy na to — konserwatyści rządzą Anglią, a rządy przedwrześniowe — Polską przedwojenną). Fałsz zawarty jest już w samym akcie porównania: że to niby partię (tyle, że „mono-”) porównuje się z partią. PZPR jest bowiem nie tylko partią, lecz czymś znacznie więcej. Właściwszym układem odniesienia jest np. klasa kapitalistów jako całość. Aparat partyjny robi to samo, co robią kapitaliści — decyduje o celach, dla jakich używane są środki produkcji w kraju socjalistycznym. Ale ponadto robi znacznie więcej — bo owe decyzje cząstkowe (składnają permanentnie bez powodzenia) koordynuje i planuje w wyższych swoich instancjach. Ponadto zaś kształtuje konsumpcję, decyduje o pracy, mieszkaniach, wczasach — i w ogóle o wszystkim, co dotyczy życia ekonomicznego społeczeństwa. Jakaż klasa kapitalistów miała kiedykolwiek i gdziekolwiek taką władzę ekonomiczną nad społeczeństwem? A to dopiero ekonomiczna strona „rządów monopartii”. A przecież jest to poza tym władza odwołująca się do przymusu i nadzoru. Taką przy tym władzą, która potrafiła dokonać sztuki niecodziennej — wydaje decyzje nie ponosząc za nie odpowiedzialności: ponosi ją bowiem aparat państwowy, który w tym właśnie celu został oddzielony od partyjnego. (O, reformatorzy spod znaku DiP-u: tłumaczcie i tłumaczcie, jak komu dobru, jaki to szkodliwy dla władzy ten rozdział. Ciekawe z jakimi uśmiechami czytają to w KC?). A przecież poza tym wszystkim jest to jeszcze Kościół. Tak jest, Kościół ze swoją doktryną (ojcami duchowymi, dogmatykami, heretykami) i takimi możliwościami kształtowania życia duchowego ludzi, jakich nigdy i nigdzie żaden Kościół nie miał. Żaden Kościół nie miał bowiem nigdy i nigdzie na swój wyłączny użytek telewizji, radia, prasy i wydawnictw, programów szkolnych i przedszkolnych, organizacji młodzieżowych i dziecięcych... Porównajmy tylko potęgę społeczną tych ludzi z pozycją społeczną klasy kapitalistów, feudałów czy właścicieli niewolników. Nie ma przecież żadnego porównania — tamci nawet nad życiem ekonomicznym swoich społeczeństw dominowali w znacznie mniejszym stopniu. A tu — wszystko w garści tych kilkunastu tysięcy ludzi: i środki produkcji, i środki przemocy, i środki indoktrynacji. Oni nie są „władzą”, lecz łącznie władzą, własnością (tyle że grupową) i Kościołem. Są wszystkim w tym najbardziej klasowym ze społeczeństw, które nazwali bezklasowym.

Toteż kiedy czytam w tej, a także w innych wydawanych za granicą pracach, że w Polsce czy w innych krajach socjalistycznych „rządzi monopartia”, to zdejmuje mnie przerażenie — tak ogromny ładunek niezrozumienia zawarty jest w tym krótkim określeniu. Przede wszystkim: nie „rządzi”, a panuje — wypycha swoje uzbrojone w pieczęci agendy w każdą komórkę życia społecznego, zastępuje więc wszelkie stosunki społeczne „człowiek — człowiek” przez biurokratyzowane, skostniałe związki „petent — Moloch — petent”, niszczy tkankę życia zbiorowego tak, jak rak niszczy organizm. A potem głosem swoich, albo i stowarzyszonych uczonych wydziwia, że cała ta przerażająca machina biurokratyzowanych widm nie działa. Pewno petenci winni!

Jeżeli społeczeństwo socjalistyczne jeszcze w ogóle funkcjonuje, to nie dzięki, ale wbrew Molochowi. Dzięki temu, że periodycznie ci, którzy pozbawieni są i środków produkcji, i środków przymusu, i środków porozumienia społecznego, pędzeni rozpaczą rzucają się z gołymi rękami przeciw uzbrojonym po zęby służalcem Molocha. Nie jest przypadkiem, że zdarzyło się to najpierw w Poznaniu. U nas, w byłym zaborze pruskim, tradycje dobrej roboty były rzeczywiście, jak chce prof. Szczepański, najsilniejsze. Istniały jeszcze w 1956 (dziś równamy szybko do normy socjalistycznej). I dlatego właśnie alienacja społeczność wielkopolskiej była większa niż w innych częściach kraju: i doprowadziła do wybuchu.

To protest mas zmusza Molocha do ustępstw doraźnych. I zmusza co bardziej światłych jego przedstawicieli do myśli o reformach. Wszystkie one polegały na jednym — na próbie wyzwolenia ułamka życia zbiorowego — przemysłu — spod nadmiernej kontroli „monopartii”. I nigdy kontrola ta nie zdołała utrzymać się we „właściwej” normie, lecz zawsze wracała do normy właściwej systemowi: kiedy to byle instruktor KW, szczeniakowaty wiekiem i kulturą, może „ustawić” najpoważniejszego dyrektora największego przedsiębiorstwa regionu za pomocą jednego telefonu. Powszechna kontrola jest sama procesem niekontrolowanym. Kierownictwu partii, w jaką przybrana jest klasa panująca nad każdą komórką życia społecznego kraju, jedynie się zdaje, że rządzi. W rzeczywistości jedynie lawiruje ono pomiędzy potężniejącym naciskiem mas a rosnącą zachłannością Molocha. Toteż periodyczne starcia pomiędzy ludem a klasą totalnie panującą są równie nieuchronne, jak nieuchronny jest kres reform biorących się z „oświeconego obsolutyzmu socjalistycznego”. Są one bowiem następstwem rozbitcia społeczeństwa socjalistycznego na dwie antagonistyczne klasy: tych, co dysponują wszystkimi środkami materialnymi, i tych, którzy nie dysponują żadnymi.

Nie było w historii społeczeństwa, w którym mniejszość skupiła w swych rękach potęgę tak wielką. Nie było społeczeństwa tak rozbitego, podzielonego na zbiorowego wyzyskiwacza, dyktatora i doktrynera zarazem, i na pozbawiony niezależnych źródeł

utrzymania, bezbronny i otumaniony oparami oficjalnej ideologii lud. I o takim to społeczeństwie Autor pisze:

„Przeciwstawienie narodu i władzy jest... przeciwstawieniem mylącym i zacierającym istotę rzeczy” (str. 30).

Nie wątpię, iż prof. Szczepański pisze tak, bo po prostu tak uważa. Wątpię jednak, czy rozumie w pełni, co ta jego teza znaczy jako fakt społeczny. Wątpię, czy rozumie, iż Teoria Solidaryzmu Etatystycznego funkcjonuje — już czy dopiero będzie — jako ideologiczna osłona najbardziej dramatycznego konfliktu klasowego w historii naszego narodu. Nie wiem, czy J. Szczepański chciał to powiedzieć, ale to powiedział: że furda wyzysk, ucisk i masowe ogłupianie, boć przecież wszyscy jesteśmy Polakami...

3. Czy ci, o których lud nasz powiada: „oni”, czy *oni* są Polakami? Jest to pytanie z brodą. I to dłuższą niż mogłoby się zdawać.

Jakie bowiem stosunki zachodzą pomiędzy Molochem polskim a Molochem radzieckim? Wbrew częstym opiniom nie są to bynajmniej stosunki łączące małego brata z wielkim. Gdyby polegały one na tym, że nasza struktura biurokratyczna wykonuje po prostu polecenia tamtej, wówczas towarzysze nasi nic by z panowania nie mieli — z Panów zmieniliby się w służę. Dopóki zaś jesteśmy odrębnym krajem, interes Molocha Sowietów wymaga, by w narodzie naszym istniała mniejszość, która mieć będzie interes własny w — nazywajmy to tak, niech się ten termin zohydzi do szczytu! — socjalizmie. Toteż wielki brat nie panuje nad małym bratem w taki sposób, jak ten panuje nad nami. Jak tedy urzeczywistnia dominację?

Otóż tak, jak ongi Mongołowie urzeczywistniali swą dominację nad Rusią. Zachowali oni w nienaruszonym stanie stosunki społeczne panujące w księstwach ruskich i nie wtrącali się sami w żadne ich wewnętrzne sprawy, poprzestając na rokrocznym haraczu. Wprowadzili natomiast na powrót stolec wielkiego księcia zapewniający — w oparciu o ich własną, mongolską siłę zbrojną — zwierzchnią władzę nad całą Rusią. Wymogli jedno tylko: by kandydat do wielkiego stolca uzyskiwał ich zgodę. Wystarczyło.

„Aby podżegać niezgodę między książętami ruskimi i zapewnić sobie ich służalcę uległość, Mongołowie przywrócili godność wielkiego księcia. Walka książąt ruskich o tę godność była ... walką nikczemną — walką niewolników, których główną bronią były oszczerstwa i którzy stale gotowi byli denuncjować się wzajemnie przed swymi okrutnymi władcami; wydzielali sobie ów zdegradowany tron, który zagarnąć mogli tylko rękami ojcobójców, pełnymi złota i splamionymi posoką; ów tron, na który ośmielali się wstępować tylko czołgając się, a utrzymać się mogli tylko na klęczkach, płaszcząc się i drżąc przed bułatem Tataara... W tej to haniebnej rywalizacji linia moskiewska odniosła wreszcie zwycięstwo” (K. Marks, „Rewelacje z dzie-

jów dyplomacji XVIII wieku”, (w: *Dzieła*, tom 12, Warszawa, 1967, str. 98).

Chytry zdobywca miast ucisku bezpośredniego, który mógłby naród zjednoczyć przeciwko niemu stworzył po prostu system konkurencji między władcami tego narodu — o najwyższe stanowisko i wynikającą zeń możliwość odwołania się do mongolskich sił zbrojnych jako do ostatniej instancji. Wystarczyło tego systemu, aby dumni kniaziowie ruscy przekształcili się w moskiewskie kreatury bez czci i sumienia, prześcigające się w manifestowaniu swej uległości wobec najeźdźcy. Oto jak Karol Marks opisuje poczynania mistrza w tym fachu, Iwana Kality:

„Polityka Iwana Kality polegała po prostu na tym, że odgrywał on nikczemną rolę narzędzia w ręku chana, aby przejąć jego władzę i z kolei obrócić ją przeciwko swym książęcym rywalom i swoim poddanym. Chcąc osiągnąć swój cel musiał wśliznąć się w łaski Tatarów, obsypując ich cynicznymi pochlebstwami, często podróżując do Złotej Ordy, pokornie zabiegając o rękę mongolskich księżniczek, okazując bezgraniczny zapał dla interesów chana, wykonując bez skrupułów jego rozkazy, rzucając straszliwe oszczerstwa na jego krewnych, łącząc w sobie cechy tatarskiego kata, pochlebej i poganiacza niewolników” (*tamże*, str. 99).

Sądzę, że rzeczywista nasza zależność od Związku Radzieckiego jest realizowana na sposób „mongolski” właśnie: nie przez Rosjan, a przez naszych Panów. Rosjanie stworzyli po prostu dla krajów socjalistycznych system konkurencji o najwyższe stanowiska w partii. I stoją, jak ongi Mongołowie, z boku. Nie muszą się sami wtrącać, wydzierać czegokolwiek: rozmaite frakcje partyjne same wypychają im narodowy bakszysz. Bo mechanizm konkurencji jest taki, że im większy ów bakszysz, tym większa szansa na stolec. To nie ze Związku Radzieckiego, lecz z krajów socjalistycznych szły po wojnie propozycje samoprzekształcenia się w kolejne republiki. To nie Stalin, a Bolesław Bierut wystąpił z projektem zmiany naszych insygniów narodowych. Nie musiało też być tak, iż to Rosjanie zażądali uwłaczających naszej godności zmian w konstytucji PRL. Podejrzewam, że to od nas wyszła ta inicjatywa. Niekoniecznie zresztą od frakcji obecnego I-go sekretarza — mogło po prostu być tak, iż jakaś inna frakcja ten godny projekt wysunęła, a Gierek nie miał innego wyjścia jak nie dać się wyprzedzić w wyścigu o względy sąsiada...

Jeżeli tak, pytam, to czy *oni* są jeszcze Polakami? Czy był Rosjaninem Iwan Kalita?

Nie są to — wbrew pozorom — pytania moralisty. Są to pytania socjologiczne. Założmy bowiem, że z jakichkolwiek powodów: zaburzeń wewnętrznych w Związku Radzieckim (tam też mają swój lud, a pewnie i ich Nowoczerkask niedługo się powtórzy), korzystnej konfiguracji międzynarodowej lub tp. powstanie szansa uniezależnienia się Polski od Związku Radzieckiego.

Jak oni się wtedy zachowają? Ryzykuję prognozę: całkiem inaczej niż Josip Broz-Tito. Ten był bowiem autentycznym wodzem autentycznej partyzantki ludowej. Mógł więc, mając oparcie w ludzie, w rozstrzygającym momencie zdusić promoskiewskie frakcje. A ci? Ci, którzy prześcigają się w zabiegach o łaski Kremla — bo jest to warunkiem utrzymania się w kraju? Ci mogą zachować się tylko tak, jak ongi Iwan Kalita, który stchórzył w decydującym momencie przed chanem. Rozumieją bowiem dobrze, jak rozumiał to ich pierwowzór przed wiekami, że kiedy zostaną sam na sam ze swoim ludem, to prędzej czy później system, na którym się opierają, zostanie zniesiony. Rozumieją dobrze, że skoro lud już się obudził po zniewoleniu okresu stalinizmu, to — w warunkach niepodległości — przy najbliższej fali rewolucyjnej strząśnie z siebie rakowatą narośl systemu. Dlatego woła uczestniczyć w tej upokarzającej — zapewne i dla nich samych — licytacji interesów narodowych niż narazić się na ryzyko zagrożenia swych interesów klasowych.

Dlatego też Panowie nasi nie są Polakami. I wbrew temu, co utrzymuje Autor: „odpowiedzialność za przyszłość narodu w każdej sytuacji dziejowej rozkłada się pół na pół, na obywateli i na władzę” (str. 24), lud nasz, lud społeczeństwa socjalistycznego, zaczyna pojmować, że w tej sytuacji dziejowej na nim spoczywa sto procent odpowiedzialności za przyszłość narodu. Walka o wyzwolenie narodowe znowu wiąże się w Polsce z walką o wyzwolenie społeczne. I raczej już to niż ahistoryczne komunały o lenistwie, wódce i niechłujstwie jest prawdziwym niezmiennikiem naszej historii.

KRAJOWIEC Z POZNAŃSKIEGO

Czysty, mały głos

Nie znam niestety debiutanckiego tomiku autorki tego zbioru, któremu tytuł dał pierwszy wiersz: *Tylko ziemia*¹.

„Ojcowizna to nie moja / ni niczyja / tylko ziemia / z kamieniami w swym wnętrzu / tylko ziemia z właściwością przyciągania / chodzę po niej / czasem dotknę jej ręką / ale w zimie zamarza jezioro / i spadają w śnieg szyszki sosen (...)”.

Domyslałam się, że owo „ale” służy nie przeciwstawieniu, lecz podkreśleniu podobieństwa tej „tylko ziemi” do tamtej, wcześniejszej, która była także „ojcowizną”. Anna Frajlch mieszka w Ameryce, ziemi niczyjej, „tylko ziemi”, ojczyźnie emigrantów.

1. Anna Frajlch, *Tylko ziemia*. Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn, 1979, str. 45.

Jest to poezja kameralnych, pozornie sielskich pejzaży i kameralnych nastrojów. Gdyby w niektórych wierszach autorka wyraźnie nie mówiła, że mieszka w Nowym Jorku — zresztą w kontekście krokusów przed domem i pęczniejących klonów — nikt by się tego z lektury zbioru nie domyślił. Są to wiersze liryczne, w większości miłosne, a raczej wiersze o miłosnych i post-miłosnych nastrojach. Liryka przypominanego obrazu, zdystansowanej zadumy nad przeżyciem, nad wspomnieniem przeżycia.

Są to wiersze czyste, bezpretensjonalne, pisane z naturalną, niewymuszoną dyskrecją. Wiersze, które raczej tonują przeżycie — albo pamięć o nim — aniżeli je przybliżają, wzmacniają. Wiersze powierzchni uczuć, co nie znaczy wiersze powierzchowne. Ich głównym elementem jest obraz, albo sytuacja, i przynależna im konstatacja o naturze uczucia, albo raczej nastroju który uczucie przywołał. W niektórych przypadkach wiersze pensjonarskie, ale pisane przez „pensjonarkę”, która zmieniła „ojcowiznę” na „tylko ziemię” i ta zmiana — dyskretnie ale uporczywie pobrzmiwająca w wierszach — nadaje im pewną głębię i wzmacnia kolor pastelowych pejzaży.

Są to wiersze konwencjonalne, ale konwencjonalne świadomie. Wiersze z „panieńskiego pokoju”, ale szczerze i nie mizdrzące się. Wiersze o wybranej świadomości poetyce, nadającej się właśnie do tej warstwy uczuć i doświadczeń, które Frajlch zdecydowała się uczynić tematem swojej poezji. Ta „pensjonarka” wiele doświadczyła i wierszami „patrzy” z dystansu na swoje doświadczenia. Z dystansu przyjętego przez nią za poetycką normę, odpowiadającego zapewne jej psychice: umiarkowanej, skłonnej do estetyzowania, niechętniej egzaltacji, auto-ironicznej.

Wierszom Frajlch patronuje Lechoń i znacznie mniej — Pawlikowska. Szczególnie rytm i rymy przypominają Lechonia (ale czar poezji Lechonia krył się przede wszystkim w jego rytmach i rytmie). W nielicznych wierszach słychać Annę Achmatową. Jeśli nie dałam się po prostu zasugerować jednym z nich, w którym o Achmatowej mowa.

Zatrzymajmy się na tych, które wydają się najwdzięczniejsze i — respektując kierunek starań autorki — najbardziej udane formalnie.

Nie będzie to drugi w tomiku wiersz, *Postanie*, nadpowiedziany i zepsuty ostatnią linią. (Dyskretna Frajlch dotyczy tylko tonacji uczuciowej, nie autokomentarza). Ale już trzeci wiersz, *Powrót*, jest ułożony misternie, z końcowym powtórzeniem, które przydaje fabule lirycznej ciężkości, odśladając dwuznaczność uczucia:

„To nie rzeka nas dzieli / to na niej sto mostów / ból ostygł / — już możemy poruszać / wargami / jak po ciężkiej chorobie / po tamtej miłości / wracamy / wracamy”.

Jeden z najładniejszych wierszy tomiku nosi tytuł *Erotyk ironiczny*:

„Odrzuciliśmy miecze / połamali szpady / zgiełk bitew / jęk

zranionych / pozostał za nami / siedzimy sobie w cieniu liścia avocado / — tak się kochamy... (...) Wiatr mnie tobą owiewał / pachniałeś jak sady / gdy biegłam kamień płonął / pod mymi stopami / patrzy na nas z doniczki / listek avocado / — tak się kochamy”.

Aksesoria ironii są proste: pastiszowe, tylko na poły poważne porównanie miłości do wojny, i owa otchłań między cieniem liścia avocado — jakby liścia palmy — w pierwszej strofie, a mieszczańską doniczką i „listkiem” w ostatniej.

Zaskakujące, że nawet wiersz *Nad listami Brunona Schulza*, którego tematem jest śmierć autora *Sklepów cynamonowych* (z pięknymi linijkami: „Taki był wąty — jedna kula / to aż za nadto na tę śmierć”) zaczyna się od naszkicowania osobistej sytuacji uczuciowej. Wejście mężczyzny nie jest tu pretekstem do zadumy nad losem Schulza, ale jakby elementem, którego nie można pominąć. Do tego wejścia Frajlich w wierszu nie wraca. Zanotowała je spontanicznie, jako niezbędne tło:

„A po upałach przyszedł deszcz / i ty przyszedłeś / powściągliwy / milczący prawie / ... / Czytałam właśnie listy Schulza...”.

Do ładniejszych wierszy należą *Wariacje na temat Drambuie* i *Z gałązką jarzębiny* (choć wołałabym zakończenie po polsku, niż po angielsku, niechby nawet kosztem niekoniecznego tu rymu). Frajlich ma łatwość rymowania i rytmizowania. To cały wdzięk jej wierszy. W tej liryce osobistej, lecz zdystansowanej, przyćmionej autoironią, muśniętej tragedią, rymy i rytmy wydają się najbardziej na miejscu. Bowiem nie dzieje się w tych wierszach nic ostatecznego, nic czego nie można by ozdobić. Jedna akwarela ładnie przechodzi w drugą, pocztówka — w dobrym gatunku! — „z gałązką jarzębiny” w pocztówkę morską z albatrosem (śliczny wiersz-żart *Andante spianato*). Melancholijny wiersz *Bal* poprzedza również melancholijny wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów: Ta nasza łódź do nikąd nie odpłynie... Melancholijne — a więc pogodzone. Wyczuwam w tych wierszach upartą, właśnie pogodzonym melancholijną bierność: tkwienie, przytwierdzenie, siedzenie, wrośnięcie w miejsce sąsiadujące bezpiecznie z elementem wiecznego ruchu — wodą. Punktem zakotwiczenia jest miłość, ale miłość niepozbawiona biernej rezygnacji.

Dopiero w wierszu *O słowach*, jednym z ostatnich w tomiku, prześwitują większe poetyckie ambicje. Charakterystyczne, że są one adresowane jakby do drugiej osoby, do innego pisarza:

„... ty w słowach robisz jak w kamieniu / młotem i dłutem / i przestrzenią / ... / a w słowach żyły są i ziarna / i tajemnica siedmiobarwna / zamknięta w ciszy jest jak w bieli / i tylko trzeba ją rozdzielić / rozszczępić odkryć / rozwibrować...”.

Jeśli jednak — wbrew formie osobowej — jest to wiersz o wyczuwanych w sobie odmiennych poetyckich możliwościach, będą one wymagały opuszczenia — bodaj w wyobraźni — tej łąki-azyłu, o której mowa w wierszu zamykającym tomik:

„Trzeba mieć łąkę / jakąś łąkę / gdzie mgła rozsiewa w trawach rosę / gdzie skrzyp się gnieździ z koniczyną / gdzie jaskier typie żółtym okiem / trzeba mieć / obcą lub niczyją / ... / i boso chodzić po tej łące / bezziemne stopy w ziemię wtulić...”.

Janina KATZ HEWETSON

« Porcja wolności » Marka Tarniewskiego

Mylący tytuł. Świetna książka*.

Być może tytuł jest zamierzoną ironią. Czy wolność może być wydzielana porcjami? Czy coś danego i odbieranego może się ciągle nazywać wolnością? Książka traktuje o tzw. „polskim październiku” — kalendarzowo szeroko rozumianym, gdyż sporo jest w niej i o czasach stalinowskich i o okresie, kiedy mowa już była o odwrócenie od października. Poza tytułem Tarniewski nie używa już słowa „wolność” w odniesieniu do tego co działo się w tym czasie w Polsce. Mówi o „liberalizacji” — definiując ją zresztą negatywnie: „System społeczny w państwach komunistycznych [...] w różnym stopniu [...] zagraża życiu obywateli”. O liberalizacji mówi się bowiem tam gdzie nie ma wolności — czy kto kiedy mówi o „liberalizacji” Szwajcarii? „Liberalizacja” o której pisze Tarniewski to jak ten żydowski dowcip o kozie: jak wielkie okazuje się mieszkanie po przegnaniu (może zjedzeniu) kozy, jak wielka może być liberalizacja po okresie stalinowskim!

Tarniewski postanowił zająć się czymś co nazywa „historią jawną” — relacjonuje fakty, nie dając się ani razu złapać w pułapkę „kremlinologii” — zabawy w to kto komu co i jak robi w kierownictwie partyjnym. Takie potraktowanie tematu ma wiele wdzięku, zwłaszcza w kontekście dotychczasowego ujmowania „października” jako olimpijskiej wojny bogów. Nie ma więc u Tarniewskiego frakcji partyjnych, dobrych czy złych komunistów; są komuniści którzy robią i publikują pewne rzeczy, i jest reszta społeczeństwa, która wychodzi (czasem) na ulicę, próbuje się zawiązać w kluby, coś pisać i wydrukować. Tarniewski usiłuje pokazać, może znaleźć odpowiedź na pytanie, jak społeczeństwo może wpływać na decyzje rządzących. Witold Jedlicki w „Chamy i Żydy” patrzył na ten sam okres od strony przeciwnej: jak rządzący mogą manipulować społeczeństwem we własnych rozgrywkach o władzę. Historia Jedlickiego jest bardziej pesymistyczna i sprowadza się do pioseneczki Stalińskiego „od wieków my spali i nas obudzili / i w dupę nam dali i znów

* Biblioteka Kultury, Tom 311, str. 144; cena F. 35,00.

położyli". Ale i historia Tarniewskiego nie jest „ku pokrzepieniu serc”. Wbrew intencji Tarniewskiego — a widoczną intencją jest pokazanie, że działanie społeczne ma sens — październik jest w „Porcji wolności” okresem zmarnowanych szans i niewytłumaczalnego zubożenia społeczeństwa. Wersja Jedlickiego — kładąc nacisk na manipulacyjny aspekt wydarzeń — lepiej tłumaczy dlaczego żądania ukarania ubeków tak szybko zniknęły z wokandy, dlaczego i jak Gomułka dano słynny „kredyt zaufania”, jak przyczynił się do tego kardynał Wyszyński i — przynajmniej — *Kultura*. Tarniewski kładzie nacisk na pozytywne aspekty, na to co społeczeństwo wymusiło i czego sobie odebrać nie dało. Ale jak tego było mało! Optymizm Tarniewskiego — jeśli wyczuwalny — widoczny jest w logicznych konsekwencjach jego wniosków, że komunizm jako jedyna silna struktura jest śmiertelnym niebezpieczeństwem dla słabych, niezorganizowanych struktur społecznych — ergo — silne niezależnie zorganizowane społeczeństwo może jednak obronić się przed komunizmem. Ale — jak powiadał Lenin — należy znać własnego wroga, i tu przydatniejszy jest Jedlicki, gdyż Tarniewski odrzucając pokusę zerknięcia na to co naprawdę i jak robiła partia w swoich kłuiarach pozbawia czytelnika pewnej bardzo istotnej wiedzy. „Związek Młodzieży Demokratycznej zmuszono do rozwiązania się” — pisze Tarniewski. Dla następców ZMD równie istotne co geneza tej organizacji jest pytanie, jak doszło do jej auto- czy semi-auto-rozwiania. Fascynująca jest równoczesna lektura Jedlickiego i Tarniewskiego. „Gdy frakcje biorą się za rby — powstaje wyjątkowa koniunktura na demokratyzację” — mówi Jedlicki. A zatem w „czarnej skrzynce” Tarniewskiego — czyli w centrum podejmowania decyzji — czyli w PZPR — od czasu do czasu coś się dzieje i społeczeństwo może wykorzystać sprzyjający moment by wymusić, wymanewrować jakieś ustępstwa. „Wydarzenia wewnątrz elity władzy [...] uzależnione są od zewnętrznego otoczenia” — pisze Tarniewski. „A zatem działanie ma sens w każdym momencie”. Mamy więc do czynienia z dwiema sprzecznymi teoriami na temat wzajemnego oddziaływania partii i społeczeństwa. W dodatku obie te teorie mogą się wzajemnie dopełniać. Autor tej recenzji nie ma żadnych ambicji w kierunku rozwiązania tego sporu. Wydaje mu się jednak, że jest to spór być może najważniejszy w tej chwili w Polsce. Jest to bowiem spór o to, co można i jak można zrobić. Jest to spór kontynuowany na łamach niezależnej prasy w Polsce przez Kuronia, Macierewicza i Moczulskiego. Brakuje jednak w tym sporze, zwłaszcza tam gdzie dotyczy on oceny historycznej, głosów autorów wydarzeń. Jedlicki miał dostęp do plotek partyjnych sam nigdy nie będąc członkiem PZPR, Tarniewski może plotki zna, ale go one nie interesują. Wielu jest jednak w Polsce i na emigracji ludzi, którzy w tych wydarzeniach uczestniczyli — z obu zresztą stron barykady. Niezwykle ważne jest, by oni, a zwłaszcza ci, którzy wtedy byli w partii i obserwowali bądź współuczestniczyli na co dzień w jej działaniu, opowiedzieli jak

to wtedy wyglądało w „czarnej skrzynce”. Za granicą przebywa i sympatyzuje z opozycją człowiek, któremu podobno partia zawdzięcza to, że uczestnicy słynnego wiecu na Politechnice nie wyszli na ulicę, w Warszawie spotyka się człowieka, który podobno rozdawał broń robotnikom na Żeraniu, ludzi, którzy zakładali i rozwiązywali organizacje młodzieżowe i gazety. Ludzie ci odeszli już od partii. Ale w partii zostali i nawet bardzo awansowali ci, którzy manipulować społeczeństwem uczyli się właśnie w Październiku. Wiedza o *wszystkim* co odegrało rolę w Październiku jest nam potrzebna na co dzień. Niech więc książka Tarniewskiego będzie apelem do potencjalnych autorów o spisanie pełnej historii. Niemniej „Porcja wolności” jest sama w sobie książką wyśmienitą i niezmiernie ważną. Czyta się ją z zapartym tchem. Dużo jest w niej cytowanych dokumentów i stosunkowo nieznanych faktów. Szkoda jednak, że tradycja już *Kultury* jest niedawanie przypisów i indeksów. Brak przypisów ogromnie utrudnia czytanie tej żywo i z pasją napisanej książki. Nie tylko zresztą utrudnia ale i frustruje czytelnika. Bo oto na stronie 41 na przykład pisze Tarniewski: „Z innych źródeł wiadomo [...] kto i jak w powojennej Polsce więził i maltretował [...]”. Nie każdy jest tak odczytany jak Tarniewski. Ja na przykład wolałbym tu znaleźć przypis bibliograficzny. Inny przykład: fenomenalnie opisany i opatrzone świetnymi cytatami przebieg sesji Rady Kultury (str. 42-43) zachęca do przeczytania a może i opublikowania w prasie niezależnej przebiegu całej dyskusji. Gdzie ją znaleźć?

Poza opisową częścią niezwykle istotna jest w książce Tarniewskiego diagnoza systemu komunistycznego — jego mechanizmów działania, myślenia i komunikacji. Diagnoza ta powplataną jest w chronologiczną narrację i bardziej jeszcze przez to przekonywująca. Złudzeń co do władzy komunistycznej Tarniewski nie ma¹, ale dostrzega jej słabe punkty — miejsca w które można celować gdy chce się „porcji wolności”.

Mikołaj PIĄTEK

1. („Jest problematyczne, czy jest możliwa komunistyczna wolność i demokracja”)

Wydawnictwo T.K.N-u

Bez przesady można powiedzieć, że ukazała się książka niezwykle ważna, jeden z najważniejszych głosów w powojennych dziejach literatury polskiej. Jest nią drugi zeszyt Towarzystwa Kursów Naukowych, wydany nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Tom ten opracowali Stefan Amsterdamski, Tomasz

Burek i Tadeusz Kowalik. Zawiera on szkic Tomasza Burka zatytułowany „Jaka historia literatury jest nam dzisiaj potrzebna?”* oraz stenogram dyskusji nad tym szkicem, przeprowadzonej w ramach kolokwium TKN. „Wobec tego — piszą autorzy książki — że nie wszyscy uczestnicy dyskusji życzyli sobie sygnować swe wypowiedzi, oznaczyliśmy wszystkich dyskutantów zmyślonymi inicjałami. Okoliczność ta nie powinna utrudniać zrozumienia meritum poruszonych zagadnień”. Jak widać, zastoso-
 owano tu zabieg analogiczny do tego, jaki przeprowadzony został w pierwszym zeszycie TKN o języku propagandy. Tak samo też jak w pierwszym tomie, tak i tutaj mamy do czynienia z problemem niemal zupełnie nie poruszonym w oficjalnej humanistyce w Polsce. Nie znaczy to, że są to zagadnienia w życiu umysłowym kraju nieistniejące. Przeciwnie: poświęca się im sporo czasu, tyle, że w dyskusjach prywatnych lub na zamkniętych seminariach, których ustalenia nie przedostają się do wiadomości publicznej. Jak widać, historia literatury polskiej, zwłaszcza najnowszej, żyje życiem utajonym, zepchniętym z pola publicznej uwagi w rejony specjalistycznych, izolowanych dyskusji. Tym bardziej istotne staje się wydobyć tej problematyki na światło dzienne. Potrzeba poddania tych zagadnień publicznej dyskusji jest tym bardziej pilna, że na dobrą sprawę brak jest opracowań historii literatury najnowszej, obejmującej dwudziestolecie międzywojenne i okres powrześnieowy. Ale nie tylko o opracowania tych okresów tu chodzi. Chodzi też o próbę nowego spojrzenia na cały dorobek naszego piśmiennictwa. Dotychczasowe podręczniki, zatrzymujące się w najlepszym razie na roku 1918, mają tę wadę, że są opracowaniami przestarzałymi, zarówno merytorycznie jak metodologicznie. Zaś z kolei te wszystkie próby, jak na przykład kontynuacja historii literatury Juliusza Kleinera w wykonaniu Włodzimierza Maciąga czy tegoż autora „Literatura Polski Ludowej” lub opracowania Mariana Stępnia — wszystko to jest doszczętnie zafałszowane, pełne przerażających uproszczeń, narzuconych przez cenzurę luk oraz skreślanych nazwisk, bez których nie ma mowy o zrozumieniu przemian literackich obecnego stulecia. Przy czym, jak zauważa Burek, nie jest to nawet kwestia obowiązującej metody uprawiania historii literatury: „Materializm historyczny nie musi prowadzić nieuchronnie do symplifikacji i zamazywania prawdy o historii. Znam przykłady, że prawdę tę on dopiero umiał wydobyć w całej jej konkretnej złożoności i zagęszczeniu sytuacyjnym”. Lecz niezależnie od przyjętej metody historyka literatury polskiej czeka przede wszystkim „oczyszczenie terenu, usunięcie przerażającej góry głupstwa”. Nadto, zauważa Burek, każde pokolenie powinno mieć własną historię literatury, na nowo odczytywać spadek przeszłości. Poszukując dróg takiego nowego ujmowania historii wskazuje autor na koncepcje Miłosza i Gombrowicza, które

* Tomasz Burek, *Jaka historia literatury jest nam dzisiaj potrzebna?* Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa, 1979.

pozwalają na nowo zobaczyć dorobek literacki. Zwłaszcza interesująca wydaje się Burkowi „historia literatury na opak” zaproponowana przez Gombrowicza w „Dziennikach”. Jest to historia zaprzepaszczonej, zagubionej możliwości twórczych będących wynikiem nie tyle niedostatku talentów pisarskich, co efektem podporządkowania się koniecznościom, jakie nasze dzieje narzuciły literaturze. Zastanawiając się nad charakterystyką polskiej literatury nowożytnej i współczesnej wyróżnia Burek cztery jej zasadnicze, splatające się cechy. Są nimi polityczność, historiozoficzność, religijność i nadliterackość. Polityczność to „wielka literatura polityczno-obywatelska” zapoczątkowana w XVI wieku i stanowiąca po dzień dzisiejszy jedno z centrów zainteresowań pisarzy. Historiozoficzność to z kolei ta cecha naszego piśmiennictwa, która nakazuje mu powracać do problemów naszych doświadczeń dziejowych i rozpamiętywać przeszłość, by w ten sposób odnaleźć korzenie współczesności. Zwraca następnie Burek uwagę na cechę, która niemal doszczętnie wyrugowana została z badań, a co gorsza i z nauki literatury w szkole: „Ale czyż fenomen religijności — pyta — nie był w jednakowym stopniu cechą konstytutywną literatury polskiej? Czyż namysł nad dziejami i losem politycznym ojczyzny nie prowadził prawie nieuchronnie ku sprawom ostatecznym? [...] I czyż z tematów grozy historyczno-politycznej nie wyłaniał się zawsze [...] wymiar eschatologiczny, metafizyczny, głębinowy?”. Wydobycie tego wątku na plan pierwszy jest zwłaszcza dzisiaj sprawą niezwykle ważną — tu bowiem skupiły się zagadnienia najbardziej aktualne: sprawy systemu wartości, sensu wyborów etycznych w świecie wydartym, wykorzenionym z transcendencji, na siłę zlaicyzowanym. I wreszcie cecha ostatnia — nadliterackość, względnie nieliterackość. Jest to cecha wynikająca z poczucia niewystarczalności literatury, z konieczności przekraczania przez nią własnych ograniczeń, z wychylenia bardziej ku rzeczywistości, zwłaszcza rzeczywistości społecznej, niż ku fikcji. To cecha bardzo swoista dla polskiej kultury, ale też prowadząca ku swoistej jej ułomności formalnej, ku powstawaniu czegoś, co Burek nazywa literaturą nieliteracką. Propozycja Burka jest bodaj pierwszą próbą merytorycznego uporządkowania dorobku naszej literatury. Dotychczasowe rozważania na ten temat miały raczej charakter metodologiczny, odznaczały się szkolarskim akademizmem. To rozumiały: podstawowe zagadnienia naszego piśmiennictwa obwarowane są w oficjalnych opracowaniach szeregami zastrzeżeń cenzuralnych. Tutaj, jak widzimy, tego rodzaju ograniczenia zostały odrzucone. I dopiero ten tekst uświadamia — wraz z bardzo interesującą dyskusją, która mu towarzyszy, a której nie sposób tu omówić — ten tekst uświadamia, w jak wielkim stopniu ograbieni jesteśmy w naszej nauce z ważkich, wręcz fundamentalnych treści. I to nie tylko w historii literatury — w całej sferze nauk humanistycznych. Próba rekonstrukcji tych treści, nawet w tak skrótowym z konieczności ujęciu, jest ważnym znakiem odnowy naszego życia umysłowego. Przy czym

tekst Burka nie jest tu tekstem jedynym. Podobny walor posiada szkic Hanny Buczyńskiej w 4-tym numerze wydawanego poza zasięgiem cenzury kwartalnika *Krytyka*, w którym pisze ona o upadku filozofii w Polsce. Powoli w niezależnym ruchu naukowym zainspirowanym przez TKN obserwować możemy renesans polskiej humanistyki, obfitującej przecież w niezwykle talenty, które pełnię swych możliwości mogły dotychczas — jak choćby Leszek Kołakowski w swej fundamentalnej pracy o marksizmie — rozwinąć wyłącznie na emigracji. Zniewolona i zatomizowana nauka polska mimo poddania jej w ciąg ostatnich 40-tu lat silnej presji rozkładowej znajduje jednak dość sił, by rozpocząć, mimo szykan i represji, ruch odnowy. Jednym z jego przejawów jest właśnie szkic Burka, dążący do scalenia i zakorzenienia w tradycji doświadczeń współczesnej literatury polskiej. Niestety — wciąż jeszcze działalność ta jest skazana na przemilczanie, odcięta od oficjalnego obiegu myśli. Czyż nie jest to jednak paradoksalny powrót do tego, co z krótką przerwą od niemal dwustu lat jest udziałem polskiej literatury rozwijającej się wbrew niesprzyjającym okolicznościom i cenzorskim zakazom?

Jadwiga KWIATKOWSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

Afganistan, sprawa Sacharowa, Olimpiada (w karykaturze). Str. 40. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1980; wydanie niekomercyjne, wyłącznie do prywatnego rozpowszechniania).

Chrześcijanin wobec praw człowieka. Sesja odbyta w Klubie Inteligencji Katolickiej w Warszawie w dniach 8-16 listopada 1977 r. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue — Société d'Éditions Internationales, Paryż, 1980).

GARLIŃSKI (Józef). *Enigma; Tajemnica drugiej wojny światowej*. Str. 255 i 1 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1980).

GONCZYŃSKI (Franciszek). *Hat-szepsut*. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn, 1980).

GORTAT (Wincenty). *Wieża Góra*. Monografia. Str. 279 i 1 nlb. (Wyd. Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1980).

GRYNBERG (Henryk). *Życie osobiste*. Str. 84 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1979).

JANIN (Józef). *Oblicza Paryża*. Powieść. Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1980).

JENNE (Beniamin Józef). *Muł Don Chucho*. Powieść. Tom I str. 333 i 3 nlb., tom II str. 374 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1979).

KALUSKI (Marian). *Jan Paweł II. Pierwszy Polak Papieżem*. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Towarzystwo Przyjaciół KUL w Australii, Melbourne, 1979).

KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). „Lustro”. O beletrystyce Aleksandra Janty. Str. 9 [nadbitka z *Ruch Literacki* R. XX, 1979, Z. 1 (112)].

LACHOCKI (Franciszek). *Na brzo-zowej korze*. Wiersze. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn, 1980).

MIKOŁAJCZYK (Maria). *Droga za Nysę*. Powieść. Str. 163 i 5 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn, 1980).

Polacy w Nowej Zelandii. Wspomnienia deportacji do ZSRR. 1940-1980. W czterdziestą rocznicę. Str. 49 i 11 nlb. (Wyd. Międzyorganizacyjny Komitet Obchodu Czerdziestej Roczniicy Deportacji do ZSRR, Wellington, 1980).

POLANOWSKI (Tadeusz). *Na pstrym koniu*. Wiersze i fraszki. Str. 131 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Sztokholm - Londyn, 1979).

POZNAŃSKI (Lech) - UTRATA (Emil). *Trzeba się zastanowić. Sejm PRL. Głosy i dokumenty ilustrujące fasadowy charakter „najwyższej” władzy w państwie*. Str. 48. (Wyd. Wydawnictwo Pisma Polskiej Partii Socjalistycznej „Przemiany”, Monachium, 1980).

STAMBROWSKI (Aleksander). *Czas przeszły niedokonany*. Str. 151. (Wyd. OPiM, Londyn, 1980).

SZELAŻEK (Adolf Piotr, Ks. biskup dr). *Moralne odrodzenie świata*. Str. 245 i 5 nlb. (Wyd. ks. prałat Juliusz Janusz nakładem własnym, Mannheim, 1979).

VINCENZ (Stanisław). *Barwinkowy wianek*. Str. 485 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

WOJTYŁA (Karol, kardynał). *Znak sprzeciwu. Rekolekcje w Watykanie od 5 do 12 marca 1976*. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue — Société d'Éditions Internationales, Paryż, 1980).

ZOCHOWSKI (Stanisław). *Monografia generała dywizji Tadeusza Kutrzeby*. Str. 187 i 9 nlb. (Wyd. nakładem Marii i Stanisława Zochowskich, Brisbane - Londyn, 1979).

PORAY-BIERNACKI (Janusz — Janusz JASIEŃCZYK). *Z przekonania* (Roman Sanguszko w

oczach Conrada i historii). Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. PCA Publications Ltd., Londyn, 1979).

STANCZYKOWSKI (Ludwik). *Chłopcy 1920 roku*. Powieść. Tom I i II. Str. 351 i 1 nlb. (Wyd. Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1979).

PIAST (Rafał). *Z herbem w plecaku*. Opowieść o Tadeuszu Wieniawie-Dzieskanowskim — czyli studium polskiego patriotyzmu. Str. 479 i 1 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Polsko-Amerykańskie Legion, Newark, N.J., 1979; cena egzemplarza oprawnego \$ 25).

Cztery wieki Uniwersytetu Wileńskiego. 1579-1979. 24 str. nienu-merowane. (Wyd. „Mintis”, ZSSR, 1979).

CIOLKOSZOWA (Lidia, dr). *Cele i formy działania ruchów wolnościowych w kraju na podstawie prasy niezależnej*. Referat wygłoszony na Zjeździe Jedności z Walczącym Krajem, Londyn, 1-2. 9. 1979 r. Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Badania Zagadnień Krajowych, *Studia Krajowe* nr 5, Londyn, 1979).

Antemurale XXIII. Str. 160. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum Romae, 1979).

WOJTYŁA (Karol — Andrzej JAWIEŃ). *La boutique de l'orfèvre*. Méditations sur le sacrement du mariage se transformant, de temps à autre, en drame. Texte français de Koukou Chanska, préface de Jean-Louis Barrault, avant-propos de Jean Offredo. Str. 81 i 7 nlb. (Editions Cana — Editions du Cerf, Paris, 1979).

WOJTYŁA (Karol). *Poèmes*. Traduit par Pierre Emmanuel et Constantin Jelenski avec la collaboration d'Anna Turowicz. Préface de Pierre Emmanuel. Str. 156 i 4 nlb. (Editions Cana — Editions du Cerf, Paris, 1979).

BESANÇON (Alain). *Présent soviétique et passé russe*. Str. 401 i 15 nlb. (Wyd. Le Livre de Poche, Collection Pluriel, Paris, 1980).

- LANGENDORF (Jean-Jacques). *Un débat au Kurdistan*. Str. 117 i 3 nlb. (Editions L'Age d'Homme, Collection Métropolis, Lausanne, 1969).
- BOROWSKI (Stefan). *L'orchestre, grande famille et purgatoire*. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. La Pensée Universelle, Paris, 1978).
- MORAND (Bernadette). *Combats pour la foi en URSS*. Témoignages. Str. 210 i 4 nlb. Wyd. Nouvelles Editions Mame, Paris, 1979).
- DZIOUBA (Ivan). *Internationalisme ou russification? Le problème national en URSS*. Introduction et postface de Leonid Pluchch. Traduit de l'ukrainien par Kalena Uhryn. Str. 350 i 2 nlb. (Wyd. Nouvelle Optique - Savelli - P.I.U.F., Montreal - Paris, 1980).
- GAŁEŻOWSKA (Irène). *Metanoie*. (Fragments). Avant-propos d'Izydora Dąmbska. Str. 57 i 3 nlb. (Edité par Wanda Borkowska avec collaboration technique François Chruslicki, Paris, 1980).
- MAREK (Edmond). *Curieuses rencontres romantiques: „Mazeppa”, une orientale de Victor Hugo et le „Faris” de Mickiewicz*. Str. 24. (Nadbitka z Annales publiées trimestriellement par l'Université de Toulouse-leMirail, nouvelle série, tome XIV — 1979, No spécial Littératures, mélanges offerts à Monsieur le Professeur André Monchoux).
- MOND (Georges). *Relations polono-ukrainiennes après 1945 — Entre la culture et la politique vues du côté polonais* (Nadbitka z *Annuaire de l'U.R.S.S. et des pays socialistes européens*, 1978, str. 505-531; wyd. Librairie Istra, Strasbourg - Paris).
- ZIELINSKI (Adam). *Les „Cartas Regias” polonaises aux archives de Lisbonne Torre de Tombo*. (Nadbitka z *Antemurale XXIII*, 1979, str. 9-49; Institutum Historicum Polonicum Romae).
- O'CARROLL (Michael, C.S.Sp.). *Poland and John Paul II* Str. 110. (Wyd. Veritas Publications, Dublin, 1979).
- HOSKINS (Janina W.). *Casimir Pulaski 1747-1779*. A Selective List of Reading Materials in English. Str. 24. (Wyd. The Library of Congress, 1979).
- Charakter of Workers' Rights — Document of the Labour Movement*. Str. 11 i 1 nlb. (Wyd. Committee for Solidarity with the Free Trade Unionists in Poland, Augsburg, 1979 — Warsaw).
- POPIEL (Gerald). *Views and Reviews — Intellect and Intelligence in Modern Society*. (Nadbitka z *Survey*, vol. 23, No 4 (105), Autumn 1977-78; wyd. The Eastern Press Ltd., London - Reading).
- Letter to a Russian Friend*. A „Samizdat” Publication from Soviet Byelorussia. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Association of Byelorussians in Great Britain, London, 1979; cena £1.00).
- ALVIN MARCUS FOUNTAIN II. *Roman Dmowski: Party, Tactics, Ideology 1895-1907*. Str. 240 i 4 nlb. (Wyd. East European Monographs, Boulder distributed by Columbia University Press, New York, 1980).
- FEDENKO (Panas, dr). *Remarks on Modern History*. Str. 5 (Wyd. Our Word, München. Nadbitka).
- KOSAKIŠKYJ (Mykta). *Remarks on Modern History Part II*. Str. 14. (Wyd. Nashe Slovo, München, July 1978).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *The Polish Complex*. Recenzja z „Kompleksu polskiego” T. Konwickiego. Str. 13. (*The Polish Review*, vol. XXV, No I, 1980, wyd. Polish Institute of Arts and Sciences of America, Inc.).
- Polish settlers in Alberta — Reminiscences and Biographies*. Edited by Joanna Matejko. Str. 487. (Wyd. Polish Alliance Press Ltd., Toronto, 1979).
- The Nationality Question in the Soviet Union*. Str. 16. (Wyd. The League of Ukrainian Social Democratic Youth, Paris, 1960).

- WOZNICKI (Andrew N.). *A Christian Humanism: Karol Wojtyła's Existential Personalism*. (Wyd. Mariel Publications, cena dol. 2,95).
- PODGÓRECKI (Adam), ŁOŚ (Maria). *Multi-dimensional Sociology*. Str. 344+15 i 2 nlb. (Routledge Social Science Series). (Wyd. Routledge and Kegan Paul, London, Boston and Henley, 1979; cena £10.50).
- Die weissruthenische Sowjetrepublik (BSSR)*. Informationshefte — II Halbjahr 1979. Str. 29 i 3 nlb. (powielacz). (Wyd. Weissruthenischer Arbeitskreis, Stuttgart).
- GORSKI (Bohdan J.). *Zur Konzeption des optimalen Entwicklungsprozesses und andere Schriften*. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Studienverlag Dr. N. Brockmeyer, Bochum, 1979).
- LAUB (Gabriel). *Alle Macht den Spionen!* Str. 156 i 4 nlb. (Wyd. Bastei - Lübbe - Taschenbuch, Band, 18023, cena DM 4,80).
- LAUB (Gabriel). *Dabeisein ist nicht alles*. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. Albrecht Knaus Verlag, Hamburg, 1980).
- Mitteilungen Nr 16*. Str. 296. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., München, 1979).
- WAGNER (Gerhard). *Deutschland und der polnisch-sowjetische Krieg 1920*. Str. 294 i 4 nlb. (Wyd. Franz Steiner Verlag GMBH, Wiesbaden, 1979).
- WOJTYŁA (Karol). JOHANNES PAUL II. *Von der Königswürde des Menschen*. Str. 327 i 3 nlb. (Wyd. Seewald Verlag, Stuttgart, 1980).
- CWIETAJEW (Marina). *Włoszebyj fona*. Wtoraja kniga stichow. Str. 148 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979 — wydanie fotograficzne z wyd. Knigoizdatielstwa „Olie-Łukoje”, Moskwa, 1912).
- GIERSZENZON (M. O.). *Kliucz wiiery*. Str. 124 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979).
- GORBANIEWSKAJA (Natalia). *Pierielietaja sniezinuju granicu*. Stichi 1974-1978. Rysunki Jarosława Gorbaniewskiego. Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979).
- REMIZOW (Aleksiej) *Wzwichriennaja Ruś*. Izdanie wtoroje. Kommentarii (imiennoj ukazatiel) Andrieja Kozina. Str. 710. (Wyd. Overseas Publications Interchange Ltd., London, 1979).
- SWIRSKIJ (Grigorij). *Na łobnom miestie*. Litieratura nrawstwiennogo soprotiwlieniija (1946-1976 gg.). Priediskowije Jefima Etkinda. Str. 623 i 1 nlb. (Wyd. Nowaja Literaturnaja Biblioteka — Overseas Publications Interchange Ltd., London, 1979).
- NIKON (Igumen). *Pisma duchownym dietiam*. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979).
- GESSEN (I. W.). *Gody izgnanija*. Żizniennyj otczot. 268 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979).
- Zapysky Umman*. Zeszty No I/1978. Str. 19. (Wyd. Academiae Scientiarum Mohylo-Mazepianae Ukrainensis, Monachium).
- KURELEK (William). *The Ukrainian Pioneer*. Przedmowa Mykola Kolanki. Tekst angielsko-francusko-ukraiński. Str. 75 i 1 nlb. (Wyd. Niagara Falls Art Gallery — Kurelek Collection, Niagara Falls, Canada, 1980).
- Zakinczim rozpoczate dilo*. Str. 24. (Wyd. Harvard University Ukrainian Studies Fund, Committee in Canada, Missisauga, Ont., 1979).
- STEPANENKO (Mykola). *U 100-littja narodziennja s.p. Symona Petlury prezidenta Ukrainkoji Narodnoji Respubliki*. Str. 74 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo „Ukraina”, Washington - Philadelphia, 1979).
- ŁOSIK (Anton). *Bielaruski Prapis*. Str. 72. (Wyd. Wydawietwo Padručnikau i Litaratury dla Moładzi u Miensku, Mińsk, 1943).
- Anagrafy*. No 2-3, November 1978-1979. Str. 29 i 1 nlb. (Wyd. Byelorussian Charitable Educational Fund, Gainesville, Fla.; donation \$ US 3,00).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

6-3-80

Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego obchodził 50-lecie swojej działalności. Powstał on z inicjatywy prof. Marceliego Handelsmana. W tym okresie wykształcono ponad 5 tys. magistrów, w tym w Polsce Ludowej 4.300, promowano ponad 300 doktorów i zatwierdzono 80 przewodów habilitacyjnych.

9-3-80

W bież. roku dostawy ropy naftowej i produktów naftowych ze Związku Sowieckiego do Polski wyniosą 15,9 mln. ton, zaś zapotrzebowanie Polski na ropę wyniesie w bież. roku 18,5 mln. ton. ■ W PRL jeden z dwóch promów morskich „Pomerania” został oddany w dzierżawę zagranicznemu armatorowi. Inny zaś prom „Gryf”, sprzedano armatorowi greckiemu. W obecnym sezonie nie zostanie wznowione połączenie promowe Świnoujście - Felix-tow (Anglia). ■ W Katowicach zmarła, w wieku 68 lat, Jadwiga Jędrzejowska, jedna z wybitniejszych tenisistek świata w okresie międzywojennym. ■ W Moskwie ogłoszono oficjalne wyniki wyborów do Rad Najwyższych Republiki związkowych. W głosowaniu wzięło udział 99,95 % na 99,99 % uprawnionych. Na jednolitą listę kandydatów oddano 99,00 % głosów. Natomiast w wyborach do rad terenowych w 77 okręgach kandydaci nie otrzymali ponad połowy głosów i nie zostali wybrani, w 79 okręgach wybory się nie odbyły w związku z wycofaniem się kandydatów, a w 6-ciu okręgach wybory zostały unieważnione z powodu naruszenia ordynacji wyborczej.

16-3-80

Tegoroczne nagrody Polskiego PEN-Clubu zostały przyznane: Kamili Mondral za przekłady prozy węgierskiej, Julii Hartwig za tłumaczenia poezji francuskiej, nagrodę im. Mieczysława Lepeckiego otrzymał Marian Brandys za „Koniec świata szwależerów”, nagrodę zaś Roberta Gravesa — ks. Jan Twardowski za „Poezje wybrane”.

20-3-80

W PRL ponownie powstają polsko-sowieckie przedsiębiorstwa mieszane, które zostały zlikwidowane po roku 1956. O ile poprzednio dotyczyły one przemysłu podstawowego i górnictwa, to obecnie dotyczą rolnictwa i przetwórstwa spożywczego.

27-3-80

W Warszawie zmarła w wieku lat 71 prof. Zofia Lissa, założycielka i wieloletni dyrektor Instytutu Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 55 lat, Czesław Czapow, socjolog i pedagog, zajmujący się przede wszystkim problemami młodzieży.

1-4-80

Dopiero teraz dotarł na Zachód pełny tekst listu grupy Bałtów w ZSSR, potępiającego inwazję Afganistanu. List skierowany jest do przewodniczącego Wierchownego Sowietu ZSSR, do generalnego sekretarza ONZ i do narodu afgańskiego. Figurują pod nim podpisy siedemnastu Litwinów, trzech Estończyków i jednego Łotysza. Sygnatariusze porównują inwazję Afganistanu z wkroczeniem wojsk sowieckich do państw bałtyckich w roku 1940. Ta sama grupa podpisała w sierpniu ub. roku memoriał, w którym napiętno-

wano (z okazji rocznicy) pakt Ribbentrop - Mołotow i domagano się przywrócenia suwerenności krajów bałtyckich. Rzecznikiem grupy jest uczony estoński Juri Kikk, który wystąpił z partii w maju zeszłego roku i zrzekł się obywatelstwa sowieckiego w liście do Wierchownego Sowietu ZSSR. ■ Represje Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej stosowane wobec działaczy opozycyjnych w Polsce od 1 do 23 marca 1980 roku: 126 rewizji, 59 zatrzymań na 48 godzin, 2 zatrzymania na 50 godzin, 9 zatrzymań na kilkanaście do 24 godzin, 59 zatrzymań na kilka godzin — łącznie 168 zatrzymań. Zenon Pałka z Wrocławia, współpracownik KSS „KOR” i NOW-ej był zatrzymany 5-krotnie: 5. 3. br. i następnie od 18. 3 do 23. 3. br. bez przerwy. Henryk Wujec był zatrzymany 4-krotnie: 1, 7, 10 i 20. 3. br., a Dariusz Kupiecki (współpracownik Robotnika i KSS „KOR”) czterokrotnie — 1, 7, 10 i 20. III. br., Witold Łuczywo (współpracownik Robotnika) — zatrzymany dwukrotnie, Jacek Kuroń, Bolesław Miklaszewski, Zbigniew Rojek i Renata Opolińska również dwukrotnie, a Elżbieta Barka — trzykrotnie.

4-4-80

Zmarł w Warszawie, w wieku 94 lat, Władysław Tatarkiewicz, wybitny uczony, filozof, estetyk, historyk sztuki.

5-4-80

Powołano do życia w PRL dwa nowe zespoły filmowe, powiększając ich ilość do 9-ciu. Kierownikami artystycznymi tych nowych zespołów zostali: osławiony Ryszard Filipiński — zespół „Kraków” i Jerzy Hoffman — zespół „Zodiak”.

12-4-80

W Warszawie zmarł, w wieku 52 lat, Alojzy Sroga, prozaik, publicysta i reportażysta. ■ Podpisano porozumienie o obrocie towarowym i płatnościach na rok 1980 między PRL a ChRL. Polska importować będzie m.in. ryż, herbatę, orzechy, miód, olej tungowy, olejki eteryczne, metale kolorowe, wyroby przemysłu włókienniczego i szkolno-biurowego. Eksport do ChRL przewiduje przede wszystkim maszyny i urządzenia dla górnictwa, samochody ciężarowe, sprzęt medyczny, wyroby hutnicze i telewizory.

ZACHÓD — EMIGRACJA

8-3-80

W Londynie odbyło się walne zebranie Koła Oficerów dyplomowanych na obczyźnie. W roku sprawozdawczym Koło zorganizowało 7 odczytów i wydało kilka publikacji. Pierwszą nagrodę w konkursie na najlepszą pracę na temat „Współczesna polska myśl wojenna” otrzymał płk T. Boguszewski z USA. Wybrano nowy zarząd — prezesem został ppłk dypl. pilot Roman Czerniawski, sekretarzem ppłk dypl. Oskar Grzeczowski.

14-3-80

W Instytucie Polskim w Londynie Jerzy Iranek-Osmecki z Monachium wygłosił odczyt o „Wspólnym programie polsko-ukraińskim”, zorganizowany staraniem Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego. Zebraniu przewodniczył prezes T-wa, Konstantyn Zełenko. W ożywionej, dwujęzycznej dyskusji wzięli udział liczne zgromadzeni Polacy i Ukraińcy.

16-3-80

Zmarł nagle w Londynie, w wieku 84 lat, Antoni Hermaszewski — publicysta specjalizujący się w zagadnieniach ukraińskich. Był redaktorem *Przeglądu prasy ukraińskiej*, wydawanego przez emigracyjny M.S.Z. w Londynie.

25-3-80

Zmarła w Londynie Maria Ponikiewska z Garczyńskich, działaczka społeczno-polityczna w okresie międzywojennym, jedna z założycieli Legionu Młodych.

30-3-80

W Lens (Francja) odbyło się doroczne zebranie Kongresu Polonii Francuskiej. W sprawozdaniu podano przejście Kongresu na statut francuski. W *Journal Officiel* z 25. 1. br. Kongres przyjął nazwę francuską: *Congrès Polonia en France*.

1-4-80

W sierpniu bież. roku odbędzie się w Londynie światowy zjazd kadry wychowawców i wychowanków szkół junackich i lotniczych z okresu ostatniej wojny.

2-4-80

Zmarł w Monachium, w wieku lat 67, Jan Krzysztof Markowski, uczestnik Kampanii Wrześniowej i Powstania Warszawskiego, kompozytor, twórca „Marsza Mokotowa” i „Sanitariuszki Małgorzatki”.

10-4-80

Zmarł w Londynie w domu starców na Ealing, w wieku 87 lat, Władysław Dziadosz, legionista I-szej Brygady, wieloletni wojewoda kielecki. ■ Koło A.K. w Londynie ogłosiło konkurs „Armia Krajowa w sztuce”. B. żołnierz A.K. złożył na cele tego konkursu bezimienną ofiarę w wysokości £ 5.000. Są przewidziane dwie nagrody za malarstwo i rzeźbę po £ 1.500 każda i cztery wyróżnienia po £ 500.

12-4-80

Zmarł w Londynie, w wieku 75 lat, Stanisław Jan Przyłuski — żołnierz i poeta.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

29. 2. br. odbyło się w Nowym Jorku doroczne walne zebranie członków Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych. Prezesem został wybrany ponownie dr Jan Morelowski. ■ Na ostatnim dorocznym zebraniu Rada Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce jednogłośnie wybrała nowy Zarząd na rok 1980 w składzie następującym: prezes — Tadeusz Pawłowicz; wiceprezisi — Michał Budny i dr Anna Mars; sekretarz — Stanisław Jordanowski; skarbnik — Wiesław Domaniewski i dyrektor Instytutu — Michał Budny. Jednocześnie Rada dokooptowała do swego grona prof. Jerzego Krzywickiego. ■ 25. 3. br. prof. Leszek Kołakowski wygłosił na zaproszenie Uniwersytetu George Town w Waszyngtonie odczyt „Samozatrucie otwartego społeczeństwa” (*The Self-poisoning of the open Society*). *The Washington Star* poświęcił sylwetce polskiego uczonego obszerny artykuł. Kołakowski został przyjęty na lunchu przez prof. Z Brzezińskiego w Białym Domu. ■ Tadeusz Walendowski, działacz opozycji, który wraz z żoną prowadził w Warszawie Salon Myśli Niezależnej i musiał przymusowo opuścić kraj — złożył obszerne sprawozdanie o sytuacji w Polsce i prześladowaniu opozycji przed Komisją Helsińską Kongresu amerykańskiego.

Listy do Redakcji

Hollywood, Florida, 9 marca 1980.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Mój skromny artykuł pt. „W poszukiwaniu Boga”, zamieszczony w 1/388-2/389 numerze *Kultury* został zaopatrzony w 3 przypisy.

1. Oczywiście nie można powiedzieć, że Mińsk leżał „akurat” na szlaku „wodnym” (od Waregów do Greków), chociaż np. w wydany w 1977 roku w Moskwie fotoprzewodniku „Moskwa-Brześć” (str. 87) i w innych, wcześniejszych (niesowieckich) publikacjach jest tak powiedziane. Mińsk, leżący nad rzeką Swisłocz, dopływem Berezyny, był połączony ze szlakiem wodnym Dźwina-Dniepr. Ponadto w Mińsku krzyżowały się szlaki handlowe z zachodu na wschód i z północy na południe. Z Wilna szlak prowadził na wschód przez Oszmianę, Krewę, Mołodeczno do Mińska. Z Mińska przez Borysów, Bobr, Druck, Orszę, Dubrownę — do Smoleńska. Mińsk był połączony szlakami handlowymi z Połockiem i Witebskiem na północy i z Pińskiem i Brześciem na południu Białorusi.

2. Przykro mi, że nie wiedziałem o tym iż nie Stanisław (Cat) a Józef Mackiewicz zajmował się sprawą wysadzenia kaplicy prawosławnej i on jeździł do Mołodeczna. Może dlatego, że znakomity dzisiaj pisarz Józef Mackiewicz był mi wówczas mało znany.

3. Natomiast absolutnie nie mogę się zgodzić z twierdzeniem Józefa Mackiewicza, że „bolszewicy już w 1940 roku przed wszystkim wyaresztowali i wywieźli wszystkich (podkreślenie moje — W.B.) Rosjan” z Wilna. Bolszewicy już wkrótce po zajęciu Wilna we wrześniu 1939 roku przed wszystkim aresztowali działaczy białoruskich (prezesa Białoruskiego Towarzystwa Naukowego i dyrektora Muzeum Białoruskiego Antona Łuckiewicza, senatora Władysława Bohdanowicza, aresztowanego w przededniu wojny i osadzonego w Berezie Kartuskiej, który przed paroma tygodniami z niej powrócił, redaktora chadeckiej gazety *Biełaruskaja Krynica* Jana Paźniaka, inż. Antona Nekanda-Trepkę, publicystę i krytyka literackiego Władimiera Samojła, pedagoga Wincentego Hryszkiewicza, literata Makara Kościwicz, inż. Busiela i innych). Prawie wszyscy oni zostali przez NKWD zamordowani. Zostali wówczas wyaresztowani również bundowcy i członkowie rozwiązanej KPZB. Natomiast redaktor-wydawca przedwojennego wileńskiego dziennika rosyjskiego *Russkoje Slovo* Eugeniusz Kotlarewski (który w głosnej powieści Józefa Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić” figuruje pod nazwiskiem Botlarewski) nie tylko ocalał, ale nawet został w 1940 roku administratorem sowieckiej gazety *Krasnaja Zwiezda*. W 1940, a szczególnie w 1941 roku w czasie masowych aresztowań i deportacji mieszkańców Wilna bolszewicy aresztowali również sporo Rosjan, ale twierdzenie, że zostali wyaresztowani i wywiezieni „wszyscy” wileńscy Rosjanie należy włożyć między bajki. Jeśli chodzi o ks. Aleksandra Kouśa, to jako członek Hromady był wprawdzie przez władze polskie aresztowany, ale sąd go uniewinnił, gdyż uznał, że jego udział w Hromadzie był tylko „techniczny” — był on

głównym buchalterem Hromady. Ks. Koś był białoruskim patriotą. Walczył o wprowadzenie (a raczej przywrócenie) języka białoruskiego w kazaniach cerkiewnych. Wydawał przed wojną w Wilnie białoruskie czasopismo religijno-społeczne *Bielaruskaja Zarnica* (Rozbłyś białoruski) o wyrażonej antyteistycznej i antykomunistycznej treści, czym się naraził dorosłym komsomolcom. Był też obiektem napaści ze strony gazety Kotlarewskiego „*Russkoje Slovo*”. Na początku okupacji niemieckiej w czasie ostatniej wojny wyjechał z Wilna na wschód, poza b. granicę polsko-sowiecką w celu odbudowania życia religijnego na tamtych terenach. Był tam proboszczem parafii w miasteczku Pleszczanice, gdzie został aresztowany przez litewski oddział SD w służbie niemieckiej z Wilna za to, że chrzczył Żydów, co było traktowane przez Niemców jako pomoc Żydom. Został przez gestapo rozstrzelany w Mińsku w maju 1942 roku. O tym, że go zadenuncjowali Rosjanie wileńscy powiedział mi ks. protoprezbyter Mikołaj Łapicki, który był wówczas proboszczem jednej z cerkwi w Mińsku i członkiem Konsystorza.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i prawdziwego poważania,

Włodzimierz BRYLEWSKI

Do Redakcji *Kultury* paryskiej.

Szanowni Państwo!

Przyjechawszy niedawno z wizytą na Zachód, rzuciłem się jak zawsze na ostatnie roczniki *Kultury*, zaczynając oczywiście od końca, od najaktualniejszych. I oto w pierwszym numerze który wzięłem do ręki natrafiłem na list „Polaka z Kraju”, odwołujący się do artykułu Socjusza. Chwyłem więc za artykuł Socjusza. Na temat obu, listu i artykułu, chciałem parę słów napisać.

Pan Kuroń, którego osobiście nie znam, którego poglądy wyłożone w jego „Zasadach ideowych” po części tylko podzielałem, ale dla którego żywię najwyższy szacunek za jego odwagę i całą działalność, jest jako działacz osobą publiczną i jako taka może być *ex definitione* przedmiotem ataków ideowych, sporów i polemik. Dlatego podobnie jak Polak z Kraju (choć jak podejrzewam z zupełnie innych powodów) uważam artykuł Socjusza za interesujący; zawiera on szereg ciekawych spostrzeżeń i uwag i niewątpliwie wnosi coś do obrazu polskiej opozycji. Uważam za zjawisko pozytywne, że *Kultura*, pismo prawdziwie demokratyczne i pluralistyczne, otwiera swe łamy także dla p. Kuronia co dla jego przeciwników ideowych.

Inaczej ma się, moim zdaniem, sprawa z listem „Polaka z Kraju”. Ten, że nie jest polemiką a należy do zupełnie innego gatunku literackiego, sam przez się nie zasługiwałby na uwagę. Jednak fakt, że ukazał się w piśmie cieszącym się takim autorytetem politycznym i moralnym jak *Kultura* paryska każe mu poświęcić kilka słów.

Polak z Kraju myli się, twierdząc, że brak artykułów „demaskujących prawdziwe oblicze p. Kuronia”. Prasa krajowa w nie obfituje, a wychodzą one spod piór pp. Misiornego, Machejka, Kłodzińskiej, Krasickiego, Gontarza i im pokrewnej dziennikarsko-ubeckiej bandyterii. Spierają się z Kurońem także od strony opozycji, na szczęście nie w tonie listu Polaka z Kraju, i z innych pobudek.

Co zaś do samego oblicza p. Kuronia, to różni się ono od oblicza Polaka z Kraju m.in. (choć nie przede wszystkim) tym, że wiadomo, do kogo

należy. Polak z Kraju, waleczny bojownik sprawy niepodległościowej, boi się podpisać swój list (że nazwisko jest znane redakcji, wydaje się oczywiste — trudno sobie wyobrazić, żeby pismo tej miary co *Kultura* drukowało anonimy. Tym niemniej ogół nazwiska Polaka z Kraju nie pozna. Szkoda). Owa bezimiennność nie jest bez znaczenia. Oznacza ona bezkarność. Pan Kuroń, oblicze swoje odsłoniwszy, zapłacił za to kilkoma latami więzienia, a dziś płaci napasiami komuno-faszystowskich bojówek. Polak z Kraju takiego ryzyka nie podejmuje.

Odważny zza węgła, wyraża za to nadzieję, że „może emigracja zrozumie wreszcie to, co w kraju już jest jasne, że mianowicie KOR to nie cała opozycja”. Polak z Kraju dysponuje najwyraźniej wynikami badań opinii publicznej, pozwalającymi mu wiedzieć, co w kraju jest jasne, a czego naiwna emigracja jeszcze nie rozumie (ale zrozumie!). Polak z Kraju ma nadzieję, że KOR (w cudzysłowie rzecz jasna!) „utraci wreszcie absolutny monopol — w każdym razie absolutną większość — na emigracyjne pieniądze”, chociaż z tejże *Kultury* która użycza mu swych łamów mógłby się dowiedzieć, rzuciwszy okiem na listę wpłat uchodźstwa polskiego na opozycję w Polsce, że pieniądze wpływają tyleż na KOR co na ROPCiO i inne ugrupowania, i bodaj czy nie więcej na ROPCiO. Polak z Kraju jednak dowiadywać się nie potrzebuje; on wie. (Proszę mnie źle nie zrozumieć: ja również uważam, że KOR to nie cała opozycja. Zastugi jego jednak są ogromne i żadne inwektywy tego nie zmieniają).

Polak z Kraju wie także, że kilkudziesięcioosobowy zespół KOR-u, w skład którego wchodzi tacy ludzie jak ksiądz Zieja, prof. Lipiński, pp. Steinsbergowa, Pajdak, Mikołajska, Cohn, Andrzejewski i inni, że wszyscy ci ludzie to figuranci, pajace na sznurku Kuronia i Michnika, których oblicze — nareszcie! — zostało zdemaskowane.

Polak z Kraju wie także, że „Wolna Europa jest praktycznie tubą KOR-u”. To także brzmi znajomo — czyż to już tubą nie była Wolna Europa...

Tu chciałbym wtrącić, że słucham oczywiście, jak większość Polaków, Wolnej Europy i sam miałbym niejedno zastrzeżenie do jej programów. Chciałoby się oczywiście więcej materiałów o Polsce i o opozycji, chciałoby się, żeby Wolna Europa udostępniała nam regularnie treść wolnej prasy polskiej, *Zapisu*, *PPN-u*, *Robotnika*, *Bratniaka*, a także *Kultury* paryskiej, która jest dla ludzi mieszkających jak ja na tzw. prowincji jeszcze trudniej dostępna aniżeli krajowe wolne pisma, a której Wolna Europa niemal nigdy nie nadaje. Wady Wolnej Europy nie polegają jednak na tym, że użycza swego czasu antenowemu KOR-owi (użycza go także ROPCiO-wi i PPN-owi), lecz na tym, że im wszystkim, z KOR-em włącznie, użycza go za mało. Ale Polakowi z Kraju nie o to przecież chodzi.

Wśród inwektyw pod adresem p. Kuronia Polak z Kraju pomieszcza, oprócz ogólnikowego zarzutu o „prawdziwe oblicze”, „chętną zgodę na współpracę z pewnymi frakcjami partyjnymi” i rzekomą pogardę dla sprawy niepodległości. Co do chętniej zgody na kolaborację, dziwić się tylko wypada, że pewne frakcje tak marnie się p. Kuroniowi odpłacają. Ta władza zwykła kolaborantów lepiej opłacać... Problem niepodległości zaś trudno oczywiście rozważać w liście. Dyskusja nad nim toczy się od dwu stuleci. Pokróćce jednak: że p. Kuroń odrzuca możliwość uwolnienia się *hic et nunc* spod kurateli ZSRR świadczy, moim zdaniem, o niemałej dozie zdrowego rozsądku. Polak z Kraju zdaje się sądzić, że spod kurateli ZSRR uwolnić się można (wystarczy chcieć...). Na dowód zacytowałby pewnie Węgry, Czechosłowację, samą Polskę, nie mówiąc już o Afganistanie... Nie będę tu analizował koncepcji powstańczej i koncepcji „finlandyzacji” Polski — myślę, że ani jedna ani druga nie jest realna, choć nie znaczy to, że należy rezygnować z walki.

Na zakończenie swego listu Polak z Kraju dziękuje „w imieniu czytelników krajowych” za głos Socjusza. Kto mu dał mandat? To również znamy aż za dobrze: od władz nami Najbardziej Postępowy Ustrój Świata, wciąż ktoś przemawia, daje odpór, protestuje i demaskuje prawdziwe oblicza w naszym imieniu. W naszym, wciąż w naszym imieniu zalewają pisma — od kampanii do kampanii — oddani sprawie budowy socjalizmu, stojący na posterunku, miłujący pokój, wierni niezwykłej idei marksizmu-leninizmu lub do głębi oburzeni... Pytanie za grosz (bo łatwe) — kto?

Ale wszystko to, jako się rzekło, nieważne. Jesteśmy przyzwyczajeni, karmią nas tym na co dzień.

Ważne natomiast jest, że list Polaka z Kraju ukazał się w *Kulturze* paryskiej. To dopiero nadaje mu wagi, bowiem staje za nim autorytet tego pisma.

Wiem oczywiście, że głosy czytelników nie wyrażają opinii redakcji, tylko opinie ich autorów. Tym niemniej uważam, że ze względu na łamy, na których się ukazał, list Polaka z Kraju nie powinien pozostać bez odpowiedzi.

Dlatego proszę Państwa bardzo o zamieszczenie mego listu *in extenso* i opatrzenie go moim pełnym imieniem i nazwiskiem.

Edmund KARWIŃSKI
(Gdańsk)

South River, N.J., 20 marca 1980.

Szanowni Państwo!

W imię prawdy proszę umieścić w Waszym czasopiśmie niniejsze sprostowanie.

W numerze 1/388-2/389 za rok 1980 *Kultury* został umieszczony artykuł Włodzimierza Brylewskiego „W poszukiwaniu Boga”. Między innymi Pan Brylewski wspomina imię mego ojca ks. Aleksandra Kośsa (w polskiej transkrypcji Kowsz) rozstrzelanego przez Niemców w Mińsku Białoruskim w końcu 1941 albo na początku 1942 roku. Mówiąc o egzekucji mego ojca przez Niemców, Pan Brylewski powiada: „Krażyły pogłoski, że zadenuncjowali go (ks. Kośsa — uwaga autora niniejszego sprostowania) wileńscy Rosjanie”. Na tej samej stronie Redakcja umieściła następujący przypis: „Ks. Kośsa był działaczem prokomunistycznej 'Hromady' przed wojną i aresztowany bodaj jeszcze przez władze polskie. J. Mackiewicz nie wierzy w donosy 'Rosjan wileńskich'. Bolszewicy już w 1940 roku przede wszystkim wyaresztowali i wywieźli wszystkich Rosjan”.

Naturalnie J. Mackiewicz nie wierzy w donosy Rosjan na mego ojca, bo nie chce wierzyć, ponieważ on sam w swojej powieści „Nie trzeba głośno mówić” przez usta swego „bohatera” Władimira Leonidowicza Panisienki (a czemuż to nie Rosjanin?) okłamał mego ojca następującymi słowami: „W statucie tej nowej, niby to białoruskiej Cerkwi, kazali wstawić paragraf, że zabrania się chrzczyć Żydów. No jakże to święta Cerkiew, która zabrania chrzczyć kogokolwiek. Śmiech jeden”.

— No, „śmiechu” to chyba niedużo.

— Ja dlatego mówię — rozgadał się nagle — że w taki sposób to i każde przykazanie Chrystusa Pana można paragrafem zmienić. Jest tu takich trzech popów białoruskich, Łapicki, Kuszner i Kowsz, z naczelnikiem policji do kompanii. Jak tylko pojawi się nowy duchowny, to zaraz piszą donosy, biegają do Jurdy, naczelnika wydziału politycznego w komisariacie. Że to nowy rusyfikador, żeby jego aresztować. Chcą i liturgię zbiałorusz-

czyć. I świętych nie według cerkiewno-słowiańskiej transkrypcji, a białoruskiej pisać. A skąd ją wziąć? Układają na kolanie. A taki Kowsz, to przecież bolszewik, jeszcze z Wilna znany”.

Takowe oszczerstwo Władimira Leonidowicza Panisienki jest właśnie tym donosem o jakim mówi W. Brylewski w swoim artykule „W poszukiwaniu Boga”. Na skutek donosów rozmaitych panisienków Niemcy wymordowali tysiące Białorusinów tylko za to, że byli Białorusinami. Władimir Leonidowicz Panisienko beczelnie kłamie mówiąc o „statucie tej nowej, niby to białoruskiej Cerkwi i wpłatając w tę historię imię mego ojca. Statut Białoruskiej Autokefalfnej Cerkwi Prawosławnej został przyjęty przez Sobór Cerkiewny w Mińsku w dniach 30 sierpnia - 2 września 1942 roku. Niestety mój ojciec wtedy już nie żył, ponieważ został rozstrzelany przez Niemców daleko wcześniej. Naturalnie byłby na tym Soborze gdyby żył. Ta okoliczność, że Władimir Leonidowicz Panisienko mówi o statucie białoruskiej Cerkwi jako o fakcie dokonanym świadczy o tym, że jego rewelacje musiały mieć miejsce już po Soborze, to znaczy co najmniej jesienią 1942 roku. Otóż Panisienko kłamie, bo mówi o moim ojcu jako o żywym człowieku wówczas gdy on, mój ojciec, już dłuższy czas nie żył. W tym miejscu należy zaznaczyć, że rozporządzenie władz niemieckich zabraniające chrzczyć Żydów w równym stopniu zobowiązywało duchowieństwo prawosławne, katolickie i protestanckie, a miało siłę obowiązującą nie tylko na Białorusi, ale również na wszystkich terenach okupowanych przez Niemców. Panisienko o tym wiedział, ale nie powiedział, ponieważ o tym nie trzeba głośno mówić.

Udział wileńskich Rosjan w prześladowaniu księdza Kośsa podczas okupacji niemieckiej nie ulega żadnej wątpliwości. O tym świadczy I Kosiak w swej pracy „Z historii Prawosławnej Cerkwy Białoruskaho Narodu”, New York, 1956. Na 92 stronie I. Kosiak twierdzi, że prowokacja ojca Kośsa jest „dziełem sowiecko-rosyjskich rąk”, z prawdopodobnym udziałem sowieckiego Egzarchy Sergiusza, który wówczas działał w krajach bałtyckich i w Wilnie. Ten ostatni zajął bardzo wrogi stanowisko wobec autokefalfii Cerkwi Białoruskiej i mówił duchownym prawosławnym (Rosjanom) w Wilnie, że gotów na kolanach błagać Metropolitę Pantelejmona, aby powstrzymał go przed wstąpieniem na drogę autokefalfii białoruskiej. Na początku 1943 roku on sam został zabity w zagadkowych okolicznościach.

Twierdzenie J. Mackiewicza o tym, że „ks. Kośsa był działaczem prokomunistycznej 'Hromady' przed wojną i aresztowany bodaj jeszcze przez władze polskie” jest wypróbowanym *trickiem* kompromitacji osób nie lubianych ze względu na przekonania polityczne. W tym że ojciec Aleksander Kośsa został aresztowany przez władze polskie jako Białorusin nie ma nic dziwnego.

J. Mackiewicz radzi: nie trzeba głośno mówić. O czym nie trzeba głośno mówić? Naturalnie o barbarzyństwach Polaków z pomocą Rosjan popełnionych w stosunku do Białorusinów. Natomiast Pan Mackiewicz bardzo głośno oskarża Białorusinów o wyssane z palca winy, a największą ich winą jest to, że chcą kierować własnym krajem. Z wiarą w Boga i w prawdę Białorusini kroczą do ich świętego celu — Niepodległej Białorusi — pamiętając zawsze proroctwo swego wieszczki Janki Kupały:

Napasciaj, łajankaj naprasnaj
Hrudziej nia warta mazalic —
Nie pahasić wam praudy jasnaj:
Żyju Bielarus i budzie żyć!

(Woraham Bielaruszczyzny)

Protopresbyter Swiatosław KOUS

Augsburg, 31 marca 1980.

Drogi Panie Redaktorze,

W ostatnim numerze *Kultury* z marca 1980, w dziale Wydarzenia Miesiąca (Zachód - Emigracja) na str. 134 mylnie podano informację o powołaniu Polskiej Rady Narodowej w Niemczech. Radę tę powołano bowiem już w grudniu 1978 w Kolonii, a nie, jak donosi *Kultura*, dopiero w dniu 9 grudnia 1979.

W grudniu 1979 roku PRN w Niemczech wydała swój *Biuletyn Informacyjny* w języku polskim i niemieckim.

Łączę wyrazy szacunku,

Jacek KOWALSKI
Sekretarz PRN w Niemczech

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze zrozumiałym zainteresowaniem przeczytałam w 3/390 nr. *Kultury* przedmowę Pierre Emmanuela do pism poetyckich Karola Wojtyły, opublikowanych we Francji w grudniu 1979 roku.

Komentarz do tego cennego tekstu zawiera jednak pewną ważną nieścisłość. Nie jest prawdą, że włoski przekład tych utworów sprowadza się jedynie do „wyboru fragmentów”. Nakładem Libreria Editrice Vaticana ukazały się już dwa tomy wierszy Karola Wojtyły: „Pietra di luce” (marzec 1979 r.) oraz „Il sapore del pane” (listopad 1979 r.), oba w przekładzie Aleksandry Kurczab i Margherity Guidacci. Zawierają one w sumie wszystkie dotychczas udostępnione i drukowane pod różnymi pseudonimami poematy i wiersze Karola Wojtyły. Ponadto już w grudniu 1978 roku, a więc natychmiast po historycznym konklawe ukazał się, nakładem tegoż wydawnictwa watykańskiego, dramat poetycki „La Bottega dell'Office” („Przed sklepem jubilera”), w tłumaczeniu niżej podpisanej i Jerzego Pomianowskiego, w obszernym komentarzem krytycznym tego ostatniego. Dodać warto, że „La Bottega dell'Office” nie tylko miała we Włoszech 4 wydania, lecz nado — w tej wersji — doczekała się prapremiery światowej w II Programie Radia włoskiego (1 lutego 1979 r.), w inscenizacji i reżyserii niżej podpisanej. Również utwory poetyckie, w tymże przekładzie, wydane zostały w postaci płyty (RCA - PL 31490), w wykonaniu Giulietty Masiny i Romolo Valli. W tym wypadku, ale tylko w tym, można mówić o wyborze fragmentów.

Ze szczerym poważaniem,

Aleksandra KURCZAB
Rzym

Szanowny Panie Redaktorze!

Tak jak przed dwoma laty, gdy przyjechawszy do Londynu na operację serca musiałem odpowiadać p. J. Drewnowskiemu, który na łamach *Kultury* zaatakował środowisko i ruch, z którym jestem związany — podobnie dziś, będąc znowu w Londynie, dokąd wezwano mnie na badania pooperacyjne, czuję się zmuszony do wyrażenia swej opinii o liście, którego autor ujawnia swe nazwisko tylko Redakcji *Kultury* (1980 r., Nr 3, str. 148-149).

Przed wszystkim z całym naciskiem zwracam uwagę, że zarówno KSS „KOR” jak i Jacek Kuroń jako publicysta (szczególnie ostro w liście ata-

kowany) niejednokrotnie deklarowali, iż stoją na stanowisku niepodległościowym. „Człowiek młody (30 lat)”, jak przedstawia się Anonim, z którym tu polemizuję, uważa się kwestionować naszą postawę niepodległościową i zarzuca nam okłamywanie współobywateli. W KSS „KOR” są ludzie, którzy walczyli o Polskę z bronią w ręku jeszcze w Legionach i wojnach 1918-1920 r., w kampanii wrześniowej, w AK; są więźniowie stalinizmu, są więźniowie polityczni okresu gomułkowskiego i gierkowskiego (Jacek Kuroń — 6 lat, drobniak); są uczeni, artyści i działacze społeczni, którzy wnieśli istotny wkład do kultury polskiej. Ich słowo, ich świadectwo zdaniem Anonima będzie miało mniejszą wagę dla społeczeństwa niż jego brzydki list. Sądzę, że jest w błędzie. Ludzie wiedzą przeważnie, kim są członkowie KSS „KOR” i wiedzą, że nie wolno rzucać w twarz kawalerowi krzyża Virtuti Militari, naczelnemu kapelanowi Szarych Szeregów, a w powstaniu kapelanowi pułku „Baszta”, księdzu Janowi Zięci; kawalerowi krzyża Virtuti Militari, komendantowi Kedywu Okręgu Warszawskiego AK, więźniowi stalinizmu Józefowi Rybickiemu; kapelanowi Kedywu Warszawskiego księdzu Zdzisławowi Kamińskiemu; legionście, a później po latach z ramienia PPS-WRN zastępcy Delegata na Kraj, steranemu w moskiewskim procesie przywódców Podziemia Antoniemu Pajdakowi; Ludwikowi Cohnowi, obrońcy Warszawy w 1920 i 1939 roku oraz więźniowi stalinizmu; Edwardowi Lipińskiemu, nie tylko wielkiemu uczonemu, lecz od wczesnej młodości działaczowi niepodległościowemu, a w latach okupacji hitlerowskiej jednemu z organizatorów tajnego wyższego szkolnictwa; nam wszystkim, szeregowym żołnierzom AK, działaczom społecznym od lat walczącym o lepszą Polskę — że tylko udajemy zwolenników niepodległości Polski, tzn. że naszym celem jest niewola naszej ojczyzny. „Nazwisko znane Redakcji”... To bardzo wygodne: być może, iż ktoś z nas poda rękę temu panu, nie wiedząc, z kim ma do czynienia.

Co do „absolutnego monopolu” KOR-u na emigracyjne pieniądze — mam nadzieję, Panie Redaktorze, że wytłumaczy Pan sam sprawę na odcinku znanym Panu bezpośrednio, podobnie jak zapewne dadzą świadectwo prawdziście członkowie Komitetu Funduszu Wolności Słowa. Co do zarzutu niepodległościowemu przez KSS „KOR” współpracy z resztą opozycji — wyrażam nadzieję, że nasi koledzy z *Opinii*, *Spotkań*, *Bratniaka*, Wydawnictwa im. Konstytucji 3 Maja, Wydawnictwa „Klin”, komitetów wolnych związków zawodowych, studenckich komitetów solidarności, komitetów ludzi wierzących, wrocławskiego i wielkopolsko-kujawskiego komitetów samoobrony społecznej — a również Towarzystwa Kursów Naukowych (wyodrębniam to towarzystwo, gdyż stawiając sobie cele wyłącznie naukowe i dydaktyczne może nie powinno być nazywane „opozycją”, chociaż jest ważnym ogniwem walki z totalizmem w Polsce) — odpowiedzą, gdy będą pytani przez kogoś poważniejszego.

Co do tego, iż KSS „KOR” „godzi się na współpracę z pewnymi frakcjami partyjnymi” — chciałbym wreszcie usłyszeć odpowiedź na pytanie: co to za frakcje, z którymi godzimy się na współpracę? Proszę nie trzymać mnie dłużej w niepewności.

Wiem, że KSS „KOR” nie potrzebuje w zasadzie tej obrony. Kto ma oczy i uszy otwarte, ten widzi, jak pracujemy i o co walczymy. Chodzi mi raczej o zwrócenie uwagi na nieprzychylność zarzutów działania przeciw niepodległości Polski i działania na rzecz monopartyjnej PZPR oraz okłamywania społeczeństwa co do celów działalności — zarzutów, których się nie uzasadnia, a na dodatek anonimowych.

Przy okazji chcę wystąpić w obronie Socjusza, na którego artykuł w 11 numerze *Kulturze* z 1979 roku powołuje się Anonim. Socjusz popełnia wiele omyłek interpretacyjnych i uproszczeń. W szczególności nie do przyjęcia jest dla mnie jego interpretacja też Kuronia dotycząca stosunku

do ewentualnych frakcji partyjnych, gdyby powstały (to, co zauważa się w krajowym życiu politycznym, to kliki, nie frakcje, i Kuroń umie to odróżnić). Niemniej jednak artykuł Socjusza traktuję jako bardzo nieudaną, lecz poważną próbę analizy i krytyki tego, co Kuroń ma do powiedzenia jako publicysta. Artykuł Socjusza to zupełnie co innego niż list Anonima.

Anonim cieszy się, że Socjusz „demaskuje prawdziwe oblicze p. Kurońa, pozbawione aspiracji prawdziwie niepodległościowych”. Do diabła z tym obraźliwym żargonem godnym *Trybuny Ludu*. Ja ze swej strony nie jestem ciekaw prawdziwego oblicza Anonima ani też aspiracji jego oblicza. Widać je aż za dobrze.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku,

Jan Józef LIPSKI

Cooma, 24 marca 1980.

Drogi Panie Redaktorze!

W liście otwartym (*Kultura* nr 3/390) do p. Zofii Bobowicz, p. Wacław Iwaniuk, po posądzeniu adresatki o wypaczenie i fałsz w odniesieniu do polskiej literatury emigracyjnej — dodał: „Ale, niestety, tylko my, pisarze emigracyjni, możemy to sprawdzić, bo przecież głupi Francuz weźmie Pani robotę za dobrą monetę”.

Może nie jestem jedynym z przyjaciół Francji, który po przeczytaniu zacytowanego zdania zadał sobie pytanie co p. Iwaniuk rozumie przez słowa „głupi Francuz”: — Cały naród francuski? Wszystkich, bez wyjątków, francuskich czytelników *Cahiers de l'Est*?

Wydaje mi się iż list p. Iwaniuka miałby ten sam (lub lepszy) *impact* bez obraźliwego przymiotnika; i że przecież nie każda osoba świadomie wprowadzona w błąd automatycznie zasługuje na miano głupca.

Łączę najlepsze pozdrowienia.

Adam NASIELSKI

Dokumenty

APEL PRAWNIKÓW KRAKOWSKICH

Ojciec Święty,

Towarzysząc duchem, modlitwą, myślami wszystkim słowom, poczynaniom, inicjatywom Waszej Świątobliwości i nawiązując do Twojej, Ojciec Święty, niezapomnianej, wieloletniej wśród nas obecności, stanęliśmy katoliccy prawnicy Krakowa wobec nieodpartej potrzeby zrobienia prawniczego rachunku sumienia.

Ty, Ojciec Święty, podjąłeś niezmierny trud unaocznienia ludzkości jej godności, narodom ich niezbywalnych praw do sprawiedliwości społecznej, poczucia bezpieczeństwa, pokoju, ludziom do życia, wolności, wzajemnej miłości. My nasze wyznanie prawniczych przekonań zawarliśmy w apelu grona prawników krakowskich, którym zwracamy się do wszystkich prawników świata.

Apelem tym chcemy dać wyraz pełni naszego powołania zawodowego, środowiskowego. Jesteśmy też przekonani, że do apelu tego przyłączą się również inne środowiska nie tylko prawnicze, dla których wartości duchowe, humanistyczne posiadają istotne znaczenie.

Przypadł mi zaszczyt reprezentowania tych podpisanych pod apelem i tych wszystkich prawników, którzy czują jak my, i złożenia go w pierwszym rzędzie w najgodniejsze ręce Waszej Świątobliwości.

Dr Andrzej ROZMARYNOWICZ

Kraków, grudzień 1979 r.

A P E L GRONA PRAWNIKÓW KRAKOWSKICH

Apel ten stanowi próbę włączenia się krakowskiego katolickiego środowiska prawników w realizację celów, zadań przypominanych i wyznaczonych encykliką REDEMPTOR HOMINIS. Apel ten wypływa z poczucia prawa i obowiązku prawników miasta Ojca Świętego Jana Pawła II do poruszenia problemów stwarzających nagłą potrzebę połączenia wysiłków

wszystkich ludzi dobrej woli w przeciwdziałaniu wszelkiej dyskryminacji, terrorowi, nienawiści i poniżaniu godności ludzkiej.

Mamy bowiem na uwadze, że wielkie osiągnięcia cywilizacyjne ludzkości często służą mnożeniu i udoskonalaniu środków przemocy, zniewalania a nawet wyniszczania mas i jednostek.

Mamy na uwadze, że idea humanizmu stworzenia świata bez krzywd, opartego na prawdzie, sprawiedliwości, wolności, miłości jest nieustannie podważana walką o dominację w sensie militarnym i gospodarczym.

Mamy na uwadze, iż niezależnie od nieuniknionych napięć, sprzeczności politycznych, ekonomicznych, społecznych, w świecie narosło takie zaostrenie rywalizacji, antagonizmów w stosunkach między państwami, między rządzącymi i rządzonymi, między środowiskami oraz poszczególnymi ludźmi, że dla rozwiązania ich zbyt wielu i nader łatwo sięga po środki niegodne, przerażające.

Mamy przed oczyma liczne przykłady tego, iż straszliwa epoka ludobójstwa nie ma końca, iż ingerencje zewnętrzne godzą w byt prawny i faktyczny państw i narodów, że zdeprawowane czynniki rządzące ustępują niejednokrotnie dopiero pod presją powstańczego zrywu narodu, że samowola władzy niweczy podstawowe prawa narodu i człowieka.

Niestety nie ma dzisiaj kontynentu, z którego nie dochodziłyby głosy ludzi prześladowanych.

Ze smutkiem patrzymy na narastające zubożenie opinii publicznej szczególnie tam, gdzie charakter masowej informacji rodzi poczucie bezsilności wobec gwałtów i bezprawia, jak również tam, gdzie środki masowego przekazu świadczą przeciwko prawdzie, prawu, poczuciu sprawiedliwości.

Zaniepokojeni jesteśmy udziałem prawników w takich decyzjach czynników rządzących, które określając losy społeczeństw, hołdują w różnej formie i zakresie zasadzie, iż cel uświęca środki, a czyniąc z człowieka przedmiot manipulacji, poddają jednostkę żyjącą w lęku przemożnej presji ze strony państwa.

Apel ten jest wyrazem przekonania, że sprawą najważniejszej wagi jest dążenie do zwielokrotnienia wysiłków na rzecz podtrzymania, rozwinięcia i ugruntowania w stosunkach międzyludzkich moralnego, społecznego ładu, z położeniem nacisku na poszanowanie prawa.

Powołujemy się na Pakty Praw Człowieka, uchwalone przez Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych w dn. 16. XII. 1966 r., stanowiące o wolności i sprawiedliwości jako niezbywalnych prawach wszystkich członków społeczności ludzkiej.

Powołujemy się na Postanowienia Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Wspólnoty w Europie, uchwalonego w Helsinkach w dniu 1. VIII. 1975 r., stanowiącego, iż poszanowanie podstawowych praw człowieka przez państwa jest istotnym czynnikiem pokoju.

Lecz w głównej mierze powołujemy się na encyklikę Ojca Świętego Jana Pawła II REDEMPTOR HOMINIS z dnia 4. III. 1979 r., zaniepokojonego tym, iż niejednokrotnie duch życia społecznego, publicznego pozostaje w bolesnej sprzeczności z deklaratowaną literą praw człowieka, a równocześnie wyrażającego troskę Kościoła, by pomiędzy ludźmi, społeczeństwami, narodami i państwami nastała sprawiedliwość, solidarność, miłość społeczna i poszanowanie praw każdego tak człowieka, jak i narodu czy też ludu.

Mamy wreszcie świeżo w pamięci doniosłe słowa Ojca Świętego Jana Pawła II, wypowiedziane przy różnych okazjach w trakcie pielgrzymek w Meksyku, Polsce, Irlandii, Stanach Zjednoczonych A.P. — szczególnie słowa o godności osoby ludzkiej, jej zagrożeniach ze strony aparatów przemocy, słowa potępiające terroryzm i te, wypowiedziane na Forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, o przyczynie niepokojów, wojen i skutkach naruszania podstawowych praw człowieka.

Apelem tym zwracamy się do wszystkich prawników w całym świecie, a więc do naukowców, polityków, sędziów, adwokatów, prokuratorów, pracowników administracji, działaczy społecznych, którzy pracując w swoim zawodzie mają lub winni mieć w zakresie prawa wpływ na reprezentowaną obsługiwana przez siebie dziedzinę życia społecznego, którzy mają lub winni posiadać świadomość, że w aktualnym stanie cywilizacji spoczywa na nich wzmożona odpowiedzialność za funkcjonowanie prawa, którzy wiedzą lub winni wiedzieć, że ich kwalifikacja względnie brak tych kwalifikacji, dobra względnie zła wiara w działaniu, uczciwe względnie oportunistyczne zachowanie mogą mieć zasadniczy wpływ na treść życia i współżycia obywateli, narodów, państw — aby sumienie ich było stale na posterunku.

Świadomi, że realizacja tych zadań wymaga odporności na wszelkie naciski psychiczne i materialne, wymaga wysokiej etyki zawodowej, poświęcenia, a niejednokrotnie ryzyka osobistego, męstwa i wyrzeczeń, zwracamy się z pozycji chrześcijańskiego uniwersalizmu do prawników wszelkich środowisk, wyznań, przekonań aby:

— poddali własne postępowanie osądowi sumienia i odpowiedzieli sobie, czy dotychczas czynili wszystko, by w reprezentowanej przez nich dziedzinie prawa spełnione zostały wymogi moralne i zasady praworządności.

Zwracamy się aby w przyszłości:

— nie kierowali się relatywizmem prawnym, przekonaniem o zmienności i przemijalności wartości etycznych, ani też pragmatyzmem stawiającym doraźne interesy władzy ponad wyższe wartości ludzkie i podstawowe prawa człowieka,

— nie wypaczali pojęcia prawa dla organizowania życia obywateli w zakłamaniu,

— nie stosowali zasady odpowiedzialności zbiorowej wytwa-

rzającej stosunki, w których życie społeczne kierowane jest strachem,

— nie odstępowali od powszechnego, normalnego trybu postępowania sądowych czy administracyjnych na korzyść trybów niejawnych, wymykających się spod kontroli publicznej, nie posuwali się do stosowania środków pozaprawnych.

Zwracamy się aby w swej działalności byli świadomi tego, że:

— prawo nie stanowi jedynie jednostronnego instrumentu działania władzy wobec obywatela, lecz posiada wymiar społeczny i dlatego winno gwarantować każdemu współuczestnictwo i współodpowiedzialność za oblicze moralne systemu prawnego,

— gwarancje praworządności uwarunkowane są zgodnością aktów prawnych, ich treści i interpretacji z wymogami rozsądku, logiki, prawa moralnego i sprawiedliwości,

— naruszenie godności osoby ludzkiej w życiu prawnospołeczno-politycznym powoduje głęboki kryzys, utratę zaufania do prawa, powoduje narastanie postaw ludzkich biernych i zastraszonej, daje pożywkę do rozwijania się systemów represyjnych i ustrojów totalitarnych, do denuncjacji,

— niezbędna jest ochrona praw dzieci nienarodzonych i żyjących, ochrona praw rodziny, zapewnienia obywatelom równości wobec prawa bez względu na ich rasę, wyznanie, światopogląd, troska o poszanowanie każdej społeczności, o ochronę jej zdrowia psychicznego i fizycznego, prawa do pracy i życia w nieskażonym środowisku naturalnym.

Dla zagwarantowania tego by proces realizacji podejmowanych przez nas wysiłków zmierzających do poszanowania prawa był rzeczywisty, pełny i głęboki zwracamy się specjalnym apelem do tej grupy prawników, którzy uczestniczą w rządach i organizacjach międzynarodowych, a w pierwszym rzędzie Organizacji Narodów Zjednoczonych, by wzmogli wysiłki na rzecz nadania podjętym przez państwa w Paktach Praw Człowieka i w Deklaracji Helsińskiej zobowiązaniom konkretnego, realnego, rzetelnego charakteru, szczególnie przez doskonalenie systemu kontroli wymagań od poszczególnych państw w zakresie przestrzegania praw człowieka i obywatela, by podjęte uprzednio w tym przedmiocie uchwały nie stawały się martwą literą.

Apelem tym chcemy uświadomić tym prawnikom, którzy swą pracą zawodową, swą działalnością dają oparcie systemom przemocy, terroryzmowi, wszelkim ustrojom totalitarnym, że stawiają się na równi z twórcami i producentami broni masowej zagłady.

Apel stać się winien dla nas wszystkich podjętą do przeprowadzenia rozrachunku z sumieniem — przesłanką sprawdzenia postępowania, naszych stanowisk, wytyczną działania na rzecz otwarcia przed człowiekiem pełni horyzontów wartości duchowych. Apel jest wołaniem aby przy pomocy prawa stawały się dla ludzkości, dla jednostek rzeczywistością: dobro, prawda, sprawiedliwość.

Kraków, październik/grudzień 1979 r.

Kazimierz Bugajski, Zbigniew Chojnacki, Zbigniew Dyka, Antoni Gleixner, Tadeusz Głodkiewicz, Janusz Grzybowski, Zbigniew Hess, Ignacy Hirschel, Maria Jaglarz, Jacek Kański, Zbigniew Kłuz, Maria Kopecka, Stanisław Kowenicki, Adam Agenor Ligas, Maria Medwicz, Stanisław Mierzwa, Jolanta Ostrowska-Jaźwiecka, Kazimierz Ostrowski, Kazimierz Piękoś, Stefan Płażek, Andrzej Rozmarynowicz, Leszek Rzeszowski, Marian Sadowski, Krystyna Sieniawska, Tadeusz Staśko, Bolesław Szczepanik, Tomasz Targosz, Zbigniew Tarnowski, Helena Turowicz, Eugeniusz Tyblewski.

172 KONFERENCJA PLENARNA EPISKOPATU POLSKI (Fragmenty)

W Warszawie, w dniach 27 i 28 lutego 1980, pod przewodnictwem kardynała Stefana Wyszyńskiego Prymasa Polski, obradowała 172 Konferencja Plenarna Episkopatu. W przeddzień Konferencji Plenarnej obradowała w Warszawie Rada Główna Episkopatu. Posiedzeniu jej przewodniczył Prymas Polski.

1. ...Od 1948 roku Konferencji Episkopatu Polski przewodniczy, z tytułu swego prymasowskiego urzędu, Stefan kardynał Wyszyński. Do roku 1978, do momentu wyboru na Stolicę Piotrową, wiceprzewodniczącym był kardynał Karol Wojtyła. Na jego miejsce został wybrany kardynał Franciszek Macharski, arcybiskup metropolita krakowski.

W ramach Konferencji Episkopatu Polski pracuje 30 komisji, których skład jest odnawiany co pięć lat. W związku z upływem pięcioletniej kadencji, Konferencja Plenarna Episkopatu oceniła działalność poszczególnych komisji i odnowiła skład ich członków...

2. Trudna sytuacja społeczna i moralna w naszym kraju to sprawy, które nie przestają być przedmiotem bacznej uwagi oraz troski Kościoła i jego duszpasterskiej odpowiedzialności także w sprawach całego Narodu. W celu przewyciężenia wielorakich kłopotów w życiu naszego społeczeństwa jest potrzebne świadome zespolenie wysiłków wszystkich córek i synów Kościoła oraz wszystkich obywateli...

Wolność Kościoła jest podstawową zasadą w stosunkach pomiędzy Kościołem i Państwem. Oznacza to, że Kościół między innymi powinien mieć prawdziwą swobodę w głoszeniu wiary oraz nauki moralnej i społecznej, w spełnianiu nieskrępowanie wśród ludzi swojego zadania, a także wydawania oceny etycznej w kwestiach dotyczących spraw politycznych kiedy domagają się tego prawa osoby lub zbawienie dusz (por. KDK nr 78). Te zasady sformułowane przez Sobór Watykański II są fundamentem ułożenia prawidłowych stosunków i rzeczywistej współpracy między Kościołem i Państwem.

3. Koniecznym wymogiem społecznej i moralnej odnowy naszego kraju jest oparcie życia społecznego na prawdzie i wolności. Prawda natomiast odsłania się w dialogu. A prawdziwy dialog jest niezbędny między społeczeństwem a władzą...

Przywrócenie prawdy w życiu społecznym jest nie tylko sprawą środków społecznego przekazu i instytucji politycznych, ale sprawą każdego chrześcijanina, każdego Polaka. Każdy z nas ma obowiązek bronić prawdy i świadczyć prawdzie w życiu osobistym, rodzinnym i społecznym, świadczyć

swej religijnej wierze i moralnym przekonaniom. Wymaga to często odwagi cywilnej i siły ducha...

Praca nad odnową moralną w naszym kraju musi być podjęta przez cały naród i musi obejmować wszystkie dziedziny życia: rodzinnego, społecznego, politycznego, gospodarczego. Ład moralny jest podstawą całego porządku społeczno-gospodarczego i politycznego. Nie jest to zatem sprawa jakiegos jednego tylko ugrupowania, ale wszystkich Polaków, którzy powinni mieć prawo i możliwość działania poprzez własne zrzeszenia. Poprzez te zrzeszenia, swobodną dyskusję i rozmowy można osiągnąć niezbędną zgodę społeczną i poparcie dla trudnych zadań, jakie stoją przed krajem. Każdy obywatel bowiem powinien „działać zgodnie z własną inicjatywą, poglądami i poczuciem obowiązku, a nie — jak to często bywa — pod przymusem lub za namową z zewnątrz” — tak nas uczy Papież Jan XXIII w encyklice „Pacem in terris”, 34. W naszych warunkach zasada ta oznacza zadanie upartego wysiłku zmierzającego do rozszerzenia uprawnień istniejących organizacji społecznych, powoływanie nowych i nadanie im autentycznego charakteru oraz chronienie i obronę każdej uczciwej inicjatywy zmierzającej do odnowy życia społecznego. Nikt nie powinien być represjonowany lub obawiać się represji za odmiennosc poglądów czy podejmowanie społecznie pożytecznych inicjatyw.

4. Kościół nie ustaje w pracy nad podnoszeniem moralności społecznej i formowaniem postaw obywatelskich. Zadania wychowawcze i pola pracy Kościoła są zawsze aktualne. Dla ich dalszego i szerszego wykonania Kościół potrzebuje niezbędnych środków działania, a przede wszystkim możliwości swobodnego tworzenia zrzeszeń i instytucji dla celów religijnych, kulturalnych i wychowawczych. Potrzebna jest Kościołowi realna możliwość prowadzenia działalności w dziedzinie pomocy i opieki społecznej na rzecz ludzi chorych, starych i potrzebujących pomocy. Praca ta ma także charakter wychowawczy, gdyż budzi wrażliwość sumień ludzi zdrowych na potrzeby bliźnich. Kościół Katolicki w Polsce został pozbawiony w okresie powojennym szerokich możliwości działania w dziedzinie pomocy i opieki społecznej. Przywrócenia Kościołowi tych możliwości domaga się dobro społeczne.

Kościół oczekuje dla tych społecznie doniosłych prac zasadniczego rozszerzenia możliwości publikacji dla wydawnictw i czasopism religijnych. Kościół, który obejmuje ogromną większość Narodu, oczekuje zaspokojenia tych potrzeb i widzi w rozwoju swej pracy ważny czynnik współdziałania ludzi różnych poglądów dla dobra wspólnej Ojczyzny.

5. Przyszłość Narodu i postęp społeczny zależą w istotnej mierze od zdrowej moralnie młodzieży, której wychowanie musi się opierać na niezmiennych zasadach moralnych i zdrowych tradycjach narodowych. Dlatego Kościół ogarnia młodzież szczególną troską duszpasterską ucząc jej wiary i zasad moralności. Ta chrześcijańska nauka i formacja moralna należą się zarówno młodzieży uczącej się, jak i już pracującej, zwłaszcza gdy jest ona wyrwana ze swego naturalnego środowiska rodzinnego i mieszka w internatach, domach akademickich oraz hotelach robotniczych. Grozi jej bowiem często zagubienie się i podejmowanie nietrafnych życiowo wyborów, a nawet uleganie wypaczeniom moralnym. Swobodny dostęp duszpasterzy do internatów, domów akademickich i hoteli robotniczych jest rzeczą konieczną, bo umożliwia wychowawczy wpływ Kościoła na tę część młodzieży, kształtującą ją na prawych obywateli. Jest rzeczą niegodziwą wywieranie nacisków na młodzież wierzącą, katolicką, aby deklarowała przynależność do określonych organizacji i ugrupowań politycznych, narzucających światopogląd sprzeczny z chrześcijańskim nastawieniem olbrzymiej większości polskich rodzin. Wspomniane naciski wiodą do dwulicowości i oportunistów, które wypaczają młode charaktery.

6. Od czerwca ub. roku w diecezji częstochowskiej odbywa się Nawiedzenie parafii przez kopię obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Obraz ten od 1957 roku wędrował z parafii do parafii poprzez wszystkie diecezje Polski. Diecezja częstochowska jest ostatnią diecezją, w której odbywa się Nawiedzenie w parafiach... praca duszpasterska przyczynia się do odrodzenia duchowego wiernych. Każda parafia przygotowuje się duchowo na Nawiedzenie. Tym uczuciom daje wyraz zewnętrzny w formie dekoracji swoich domów i ulic, którymi obraz przechodzi.

Konferencja Episkopatu zapoznała się z przebiegiem Nawiedzenia w diecezji częstochowskiej. Od połowy lutego bież. roku odbywa się Nawiedzenie w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie pewne czynniki podjęły zorganizowane niepraworządne działania, aby przeszkodzić tej formie uroczystości religijnych, zastraszając mieszkańców, niszcząc pod osłoną nocy dekoracje. Takie czyny są godne ubolewania i napiętnowania.

10. Konferencja Episkopatu poświęciła wiele czasu na rozeznanie sytuacji, jaka się wytworzyła pod Jasną Górą, w związku z podjęciem prac przebudowy węzła drogowego. Konferencja Plenarna Episkopatu stwierdza utrzymujący się nadal niepokój o wolny dostęp wielkich rzecz pielgrzymich do Sanktuarium Jasnogórskiego. Konferencja Episkopatu oczekuje, że prace budowlane, wyłączające między innymi budowę tunelu, będą wykonane szybko, z zachowaniem całkowicie wolnego dostępu do Sanktuarium zgodnie z ustalonym programem między przedstawicielami Episkopatu i władzami państwowymi...

Warszawa, dnia 29 lutego 1980.

BP 9/80/184 a

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 313 — SERIA „DOKUMENTY”

RAPORT O STANIE NARODU I PRL

Tom poprzedzony Przedmową Andrzeja Brzeskiego zawiera opracowania: Stefana Kurowskiego: *Doktrynalne uwarunkowania obecnego kryzysu gospodarczego PRL*; Raport o stanie Rzeczypospolitej i o drogach do jej naprawy opr. przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”; Józefa Kuśmierka: *O czym wiedziałem*; Robotnicy nabrali odwagi — wywiad z B. Borusewiczem; wyjątki z Komunikatu 171 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski. Str. 224. Cena F. 65,00.

TOM 314 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera opracowania A. Ciołkosza: *Kartki z przeszłości*; P. Wandycz: *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej*; K. Kraczkiewicz: *Przyczyny drugiej wojny światowej i rola polityki polskiej w ostatnich latach przed jej wybuchem*; J. Erdmana: *Wyrok na brata*; dokończenie wspomnień ks. inf. Teofila Skalskiego; RECENZJE: J. Ciechanowskiego: *Generał ostatniej nadziei*; P. Wandycz: *Nowe książki*; M. Hellera: *Historia sowiecka w interpretacji amerykańskiej*; T. Heinricha: *Niewykorzystane doświadczenie sukcesu*; W. Babińskiego: *Polskie siły zbrojne w drugiej wojnie światowej*; POLEMIKI; OKRUCHY HISTORII i obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI. Str. 240. Cena F. 45,00.

(Dalszy ciąg Wpłat ze str. 2-giej)

WPŁATY NA NIEZALĘŻNĄ OFICYJNĄ WYDAWNICZĄ

Bezimiennie z Cambridge, Mass. (USA) — \$ 518,50	F.2.180,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 90,00	F. 200,00
Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA) — połowę nagrody literackiej im. Zygmunta Hertza, przyznanej mu przez <i>Kulturę</i>	F.2.500,00

WPŁATY NA KASĘ POMOCY NAUKOWEJ T.K.N.

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — trzecia rata rocznego stypendium ufundowanego dla osoby wybranej przez T.K.N. — DM 100,00	F. 240,00
Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA) — połowę nagrody literackiej im. Zygmunta Hertza, przyznanej mu przez <i>Kulturę</i>	F.2.500,00

Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej, Cleveland, Ohio (USA):	
na KSS „KOR” — \$ 100,00	F. 420,00
na Radę Sygnatariuszy Ruchu Oporu (A. Czuma) — \$ 100,00	F. 420,00
na T.K.N. — \$ 100,00	F. 420,00

WPŁATY NA ROPCİO

Z. S. z Sydney — \$ A. 5,00	F. 22,50
Jan Kaczanowski, Kerpen (RFN) — na Radę Funduszu Praw Człowieka (L. Moczulski) — DM 20,00	F. 46,49
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło nr 13 w Winnipegu (Kanada) — na Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (L. Moczulski) — \$ can. 500,00	F.1.750,00
oraz na Konfederację Polski Niepodległej (L. Moczulski) — \$ can. 500,00	F.1.750,00
Tadeusz Brzostek, Paryż — na Konfederację Polski Niepodległej Klientka p. T. Brzostka z Paryża — Aleksandra D. — na Konfederację Polski Niepodległej	F. 200,00
Jan Zuchowski, Szwecja — zamiast kwiatów na grób Mieczysława Jagiełłowicza, żołnierza 2-go Korpusu — na Konfederację Polski Niepodległej — Krs 100,00	F. 150,00
	F. 100,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal: 2^e trimestre 1980.

PRZEDPŁATA NA KSIĄŻKĘ

WIERA GRAN
„SZTAFETA OSZCZERCÓW”

Autobiografia śpiewaczki
35 lat walki z prześladowcami.

Książka będzie liczyła ok. 300 stron. Ukaże się na jesieni br. Cena egzemplarza F.55,00.

Zamówienia wraz z należnością (czekami) proszę łaskawie przysyłać pod adresem:

Boite Postale 1211-16
75765 Paris - Cedex 16

NOWOŚĆ!

DWUTOMOWA POWIEŚĆ:

BENIAMINA JÓZEFA JENNE
MUŁ DON CHUCHO

książka

AMERYKI POŁUDNIOWEJ
 o nieznaney dotąd formie i strukturze
 zrodzona z czasu wydarzeń

1925 - 1975

Książka epoki.

Unikalna w literaturze emigracyjnej.
 Uniwersalna powieść polityczna z gatunku literatury
 pięknej od lat oczekiwana przez krytykę.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

CENA: £ 12; \$ 25.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien I, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 219-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Willemlingenlaan 6, Vlietin- gen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kra- uski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA : Br Lubinek, Klommenstengt 8, Moss ...			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonton Nr 48 82 34-6	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopecki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio. 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orze- chowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103 POLONIA , Bookstore, 2886 Milwaukee Ave. Chicago II 60618, tel. 312) 489-2554; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Lu- dowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd. London, S.W 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27 Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.180; półroczna — F.95.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

TOM 315 — SERIA „DOKUMENTY”

GŁOS

Wybór z dziesięciu numerów niezależnego miesięcznika społeczno-politycznego ukazującego się w kraju poza cenzurą. Zawiera działy: *Programy i idee, Gospodarka, Prawo i obywatel, Kultura, cenzura i szkoła, Kościół i społeczeństwo, Tradycje i teraźniejszość, Sąsiedzi i Różne.*

Str. 272.

Cena F. 75,00.



TOM 316 — ANTONI T. REKULSKI

CZY DRUGI KATYŃ?

Wstęp Józefa Czapskiego

Sprawa zaginionych w Rosji oficerów polskich z obozu jenieckiego w Starobielsku. Szesnaście fotografii.

Str. 48.

Cena F. 20,00.